

Rozdział pierwszy

Dzień był gorący i duszny. Nad zatoką Wash słońce prażyło bezlitośnie. Wypalone kępy traw nie chroniły przed słońcem, woda nie orzeźwiała. Wszystko dokoła umierało z gorąca. Gdzieś w górze przeraźliwie wrzeszczała czajka, krążąc nad leżącymi w gnieździe jajeczkami. Wyczuła, że w trzcinach u ujścia rzeki zaczął się człowiek i bacznie ją obserwuje, więc po chwili wylądowała na ziemi i ruszyła do gniazda śmieśnie podskakując. Dla niej najważniejsze jest bezpieczeństwo oliwkowych, nakrapianych jajeczek. Po co człowiek ma wiedzieć, gdzie się znajdują? Trzeba zrobić wszystko, żeby ich nie znalazł. Tego ptak był pewien. Natura nauczyła jak bronić i u-krywać dzieci, jak wyprowadzać w pole wrogów. Ale człowiek nawet nie miał zamiaru się ruszać.

Ile Ballinger z nudów obserwował, przez lornetkę, ptasie wyczyny i nie był nimi specjalnie zainteresowany. Jemu zależało na czaplach. Wiedział, że gdzieś niedaleko ukryty się. Właśnie z ich powodu tu był. Kiedy przechodził przez Gedney Drove End, wyraźnie słyszał w ciszy letniego wieczorny krzyk samca, nawet widział go przez lornetkę. Samiec czapli wylądował tak, żeby obserwujący go człowiek myślał, że tam właśnie jest gniazdo. Ale jeśli ktoś zna ptaki, nie daje się nabierać na takie fortele.

Trzeba dobrze słuchać, patrzeć i liczyć. Ballinger dzięki temu właśnie znalazł się w Holbeach St. Matthew w pobliżu poli-¹ gonu RAFu. Teraz jest już pewien, że gdzieś tam w trzcinach musi być samica-czapla. Spodziewał się, że samiec, którego widział, doprowadzi go do gniazda. Spurrier obiecał, że dobrze zapłaci za czaple jaja. Lepiej nawet niż za łęg orła złotego, który udało się Ike'owi ściągnąć w kwietniu.

Ike Ballinger zawsze dostarczał świetny towar, ale tym razem wiedział, że będzie musiał poświęcić dużo czasu, zanim odkryje gniazdo czapli. Może nawet dwa tygodnie? Nie było to wcale tak długo, wzięwszy pod uwagę olbrzymi obszar samego Wash i terenów otaczających. Zanim ruszył na poszukiwania, musiał zebrać w jakąś całość docierające do niego informacje. Na przykład to, co powiedział mu przyszczaty młodzik w barze "Pod Bykiem" w Long Sutton. Chłopak twierdził, że słyszał w krzakach stukanie dzięcioła. Ptaki te nigdy nie zatrzymują się w nadmorskich krzakach. Dzieciak po prostu nie rozróżniał dzięcioła od czapli. Ballinger po uzyskaniu tej informacji ruszył we wskazanym przez chłopaka kierunku i nie pomylił się. Znał ptasie zwyczaje. Teraz miał przed sobą najgorszą część podchodów - czekanie.

Położył lornetkę na wysuszonej, kłującej trawę. Zaczął upychać grubo cięty tytoń do wygiętej dziwnie fajki. Był wysokim, chudym jak szkielet, tysiącletnim mężczyzną o bezlitosnej, jastrzębiej twarzy. Lubił samotność i właściwie z nikim nie spotykał się.

Gdzieś tam, w tym trzcinowym lesie, siedziała w gnieździe samica czapli. Odnalezienie jej na tak o-gromnym terenie byłoby bardzo trudnym zadaniem.

Ptaki te, kiedy wyczują, że są śledzone, zamierają w bezruchu i siedzą ukryte tak, że można przejść obok i niczego nie zauważyć. Samiec mógł wrócić w ciągu dnia i w gęszczy czeka aż zapadnie zmrok.

Ballinger palił fajkę i uważnie rozglądał się wokół. Nic nie mogło ujść jego uwadze. Na pobliskim bagnie coś się kotłowało. Spojrzał tam przez lornetkę. Na pewno nie było tam czapli, ale na wszelki wypadek postanowił sprawdzić. Kiedy tylko spojrzał w tamtą stronę, zeszywniał i zagryzł mocno szczęki na plas-kikowym ustniku. Prawie zapomniał o ptakach, na które polował i które lada chwila mogły się w pobliżu pojawić.

Co się tam dzieje, do ciężkiej cholery! - odezwał się na głos. W ciągu kilku lat wiele czasu spędził w swoim towarzystwie i rozmowy z samym sobą uważał za najnormalniejszą rzecz na świecie.

Rozpoznał kołujące nad bagnem gęsi kanadyjskie. Przymrużył oczy. Coś było nie tak. Półdzikie ptaki zbite w duże stado, szybowyły nad Wash. Nie były to same te gęsi, które przylatują tu na zimę, zresztą na ich przylot było jeszcze za wcześnie.

Przecież to sezon karmienia i wychowywania młodych! Samice powinny teraz siedzieć w gniazdach i martwić się o swoje maluchy. Chyba, że coś je bardzo przstraszyło i wszystkie zleciały się tutaj w panice. Ballinger przyglądał się im uważnie, chwilowo zapominając o czaplach. Wielki gąsior wyprowadzał stado poza mokradła. Wyciągał wysoko szyję i patrząc w stronę morza 'przenikliwie krzyczał. Ostrzegał!

Po chwili Ike Ballinger zobaczył to, co tak przerazi-

ło ptaki. Rozdziawił szeroko usta, nie wierząc własnym oczom. Pomyślał, że to jakieś nieznanne zwierzęta, które mieszkają tu, na brzegu przy Wash albo, że to grupa wielkich nutrii czy wyder, które jakimś cudem przeżyły zagładę.

Ale nie, to niemożliwe! Wyraźnie widział olbrzymie pancerze piaskowego koloru, unoszące się długie czułki i ogromne jak półmiski oczy. Nienaturalnej wielkości kraby sunęły brzegiem jak niezwykłony, u-zbrojony po zęby batalion.

- Jezu Chryste Wszeczmogący! - Ballinger poczuł krople zimnego potu, oblepiające czoło, po plecach raz po raz przebiegały dreszcze. Fajka wypadła mu z ust. Poprawił ostrość lornetki, widział teraz wszystko wyraźniej i bliżej. Nie mylił się. Przed nim, wzdłuż mokradła szedł oddział dwudziestu, czy trzydziestu przerośniętych krabów, które miały najwyraźniej jakiś konkretny cel w tym przerażającym, złowrogim marszu. Uderzające o siebie wielkie szczytce wydawały charakterystyczny dźwięk, przypominający grzechot karabinów maszynowych.

KLIK-KLIK-KLIK.

Gęsi poderwały się i z trudnością wzbily się w powietrze. Ich przerażone gęganie roznosiło się nad całą zatoką. Ballinger nawet na nie nie patrzył. Cały czas obserwował niesamowite skorupiaki, ale trzęsące się ręce z trudem utrzymywały lornetkę, obraz stawał się niewyraźny i zamazany.

Domyślał się, co to były za stworzenia. Przed oczami stanęły mu nagłówki gazet sprzed sześciu czy siedmiu lat. Gdzieś nad Zatoką Cardigan armia kra-

bów-mutantów rozniosła w pył kąpielisko morskie opierając się atakom artylerii i wszystkiemu, czym RAF próbował z nimi walczyć. W kilka lat później rozplenili się na wyspie przy Wielkiej Rafie Koralowej. Wówczas stado zostało zniszczone.

Przynajmniej tak pisano w gazetach.

A teraz są tu, na wschodnim wybrzeżu brytyjskim, wynurzyły się z morza, aby siać zniszczenie. Na domiar złego - szły dokładnie w tę stronę, gdzie, jak sądził, było gniazdo czapli. Pierwszy strach przerodził się we wściekłość. Jego tak misternie ułożony plan mógłby się zawalić, jeżeli te dziwolągi rozniosą mokradła, rozszarpią drogocenne ptaki i pożrą ich jaja.

Siedział bez ruchu, obserwując maszerujące kraby. Próbował myślą nakłonić je do powrotu do mórz i oceanów. Nagle zobaczył zwykłą, łaciątką krowę z pokręconymi rogami. Widocznie zgubiła się, albo zlała z łąki szukając cienia w trzcinach, albo chciała po prostu wychłapać się w mulistym strumyczku. Widząc zbliżające się kraby, zamarła w bezruchu. Po chwili poderwała się do ociężałego truchtu, porykując ze strachu. Przebiegła jakieś dwadzieścia metrów, wyprzedzając znacznie sunące, klekoczące kraby. Nawet na tak grząskim terenie z łatwością powinna je zgubić. Ballinger nie ruszał się, zafascynowany, obserwował niezwykle ekscytujący wyścig. Teraz na jego oczach toczyła się walka o najwyższą stawkę - o życie.

Był tylko jeden zwycięzca. Kraby ustawiły się w tyralierę i wielkie, klekoczące z niewiarygodną szybkością nacierały z dwóch stron. Dopadły uciekające, przerażone zwierzę, otoczyły je ciasno i znieruchomiały. Czekają.

Ike Ballinger przyglądał się napastnikom. Dojrzał kraba-potwora, dwa razy potężniejszego od największego z całej grupy. Reszta patrzyła na niego, oczekując na znak. I nagle ogromne jak dźwig szczytce podniosły się i spadły, przecinając powietrze z głośnym świstem. Koło zaczęło się zacieśniać.

Nieszczęsna krowa cofnęła się i skuliła, przewracając okrągłymi z przerażenia oczami. I wtedy armia morskich bestii rzuciła się na nią, rozszarpując, tnąc i rozdzierając. Z rozprutego brzucha wylewała się melasa wymieszana ze szkarłatnym strumieniem krwi. Znikała w ohydnych paszczach krabów, wsysana jak nitka spaghetti. Jeszcze wtedy biedne zwierzę żyło. Do wielkiego żarcia przyłączył się przywódca bandy. Wielkie szczytce sięgnęły najpierw do zdeformowanych, pokręconych rogów i odcięły je z taką łatwością, jakby to były rachityczne, przegniłe gałązki krzewu. Potem rozdzierając dalej brzuch ofiary, krab wyciągnął dymiące, purpurowe, napompowane krwią płuca krowy i wycisnąwszy jak cytrynę, pożarł je łapczywie.

Zmasakrowana krowa była już martwa, rozdarta na strzępy, o które wielkie kraby walczyły ze sobą, miażdżąc i mieląc kości na proszek.

Po chwili było już po wszystkim. Pozostała tylko purpurowa plama znacząca miejsce rzezi na ostrej trawie. Stado skorupiaków-morderców ruszyło szeroką ławą w stronę morza. Na ich czele dumnie kroczył upiorny, ogromny przywódca. Marsz krabów znowu poprzedzał ten niesamowity, grzechotliwy, klekoczący

10

dźwięk. Szły z powrotem do morza. Woda pochłonęła je szybko.

Ballinger odłożył lornetkę i podniósł upaprana w błocie fajkę. Oczyszcivszy ją drżącymi rękami zaczął w pośpiechu nabijać tytoń. Był bardzo zdenerwowany. Słodkawy dym uspokoił go.

Parę lat temu w takiej sytuacji pomyślałby, że jest swirem. Tylko dzięki poprzednim doniesieniom o spustoszeniach, jakich dopuściły się kraby, wiedział, że te bestie istnieją. Jedno było pewne - obrzydliwe stworzenia nie zostały zniszczone. Kilka z nich przeżyło i to wystarczyło, żeby znowu się rozmnożyły. Teraz jest ich na tyle dużo, że mogą znowu zaatakować królestwo człowieka. Ten największy z krabów, samiec czy samica, musi być stworem inteligentnym. Najlepszym dowodem na to był sposób, w jaki poprowadził stado do ataku na biedną krowę. Całości dopełniła mrożąca krew w żyłach ucztą i na koniec taktyczny manewr odejścia w morze. Znalazły to, po co przyszły - żywą ofiarę! Kiedy zakończyły ucztę - zanurzyły się w otchłani. Ofiarą mogło być wszystko: zwierzę, człowiek... Ikeowi zrobiło się zimno na tę myśl. Przypomniał sobie teraz, że znalazł się na mokradłach, aby odnaleźć gniazdo czapli i odebrać cenne jaja.

Wcześniejsze obawy, że nie znajdzie tego, czego szukał, przerodziły się w strach o własne bezpieczeństwo. Musiał nie tylko zlokalizować gniazdo, ale wydostać się stąd i przejść obok miejsca, gdzie przed chwilą kraby rozszarpały bezbronne zwierzę. Wydmuchując olbrzymie obłoki duszącego dymu, zastanawiał się nad swoją niełatwą sytuacją. Mógł spokojnie zawró-

11

cić, wymeldować się z hotelu Bridges i ruszyć do Londynu. Wystarczyłby jeden telefon do Spurriera i informacja, że nie znalazł gniazda czapli. Mógł też pojechać na północ, szukać na przykład rybołówców na Beauty Firth. Jednak pieniądze były dla niego najsilniejszą motywacją. Ike próbował na zimno ocenić, na ile sytuacja jest niebezpieczna. Pomyślał o rekinach, które są uważane za bardzo niebezpieczne, a w gruncie rzeczy rzadko atakują ludzi. Zwłaszcza, jeżeli weźmie się pod uwagę na przykład liczbę ofiar w wypadkach samochodowych.

Ike naliczył tylko trzydzieści krabów i nabrał pewności, że to nic strasznego wobec niebezpieczeństw otaczających go na co dzień. Ponadto Wash to olbrzymi teren i szansa powrotu krabów w dokładnie to samo miejsce była prawie żadna. Ike Ballinger przekonał sam siebie, że powinien zostać i poszukać drogowych jaj czapli.

To był długi, męczący, gorący dzień. Komary atakowały wściekle, rzucając się całymi chmurami na nieosłonięte dłonie i twarz. Słońce niedawno schowało się za zachodnim horyzontem, a czerwona łuna, jaką po sobie zostawiło, zapowiadała kolejne dni żaru i gorączki. Ballinger znowu nabił fajkę. Smak palonego tytoniu powoli zaczynał mu brzydnąć i musiał wreszcie zacząć coś robić. Bezczynność była w tej sytuacji najgorsza. Huczące przed chwilą wszelkimi odgłosami mokradła, teraz sprawiały wrażenie wymarłych. Jakby wszystkie żyjące na nich istoty wyczuły obecność krabów i uciekły przerażone.

Ciemności zapadały powoli; niebo zmieniało się z

12

czerwonawego w granatowe. Od strony pół dolatywały co chwilę mowy, ale, jak zauważył Ballinger, żadna z nich nawet nie próbowała wylądować w pobliżu Holbeach St. Matthew!

Wreszcie Ike doczekał się samca czapli. Ptak leciał cicho i spokojnie, tuż nad ziemią. Gdyby Ike nie patrzył akurat w tamtą stronę, na pewno by go nie zauważył. Przypominał dziecięcia albo puszczyka, ale był dużo większy i o wiele zwinniejszy. Ike Ballinger był pewien, że to "jego" ptak.

Samiec wylądował. Przez chwilę jeszcze był widoczny i nagle jakby zapadł się pod ziemię. Ballinger zerwał się. Próbował szybko określić położenie. Obliczył, że gniazdo powinno znajdować się naprzeciwko ujścia potoku, dokładnie tam, gdzie zaczyna się bagno. Szedł szybko, pewnie i prawie bez wysiłku. Wędrówka przez mokradła nie sprawiała mu żadnych trudności. Na nogach miał wysokie, nieprzemakalne buty. Upewnił się, czy nie zgubił latarki. Czas uciekał, szybko robiło się ciemno.

Doszedł do ściany trzcin i skierował się tam, gdzie powinno znajdować się gniazdo. Rozchlapując dookoła mętną wodę, przedzierał się przez trzcinę, które uderzały go po twarzy. Z trudem torował sobie drogę. Zapadał zmierzch. Włączył latarkę i snop światła odbił się od zielonej ściany trzcin i sitowia. Ike poczuł, że jest w potrzasku. Wzdrygnął się. Nie mógł przestać myśleć o tych cholernych krabach. "Sukinsyny! Od-rzynają jedną nogę, potem drugą i zżerają bebechy, jakby to była potrawka z kurczaka albo spaghetti

13

bolognese". Zatrzymał się. Nasłuchiwał. Próbował się uspokoić.

Słyszał bicie własnego serca i przyspieszony oddech. Zmęczył się. Bał się, że czaple usłyszą go i samiec może odlecieć, ale samica powinna zostać. Instynkt macierzyński posiadają wszystkie gatunki. Właściwie niewiele wiedział o zwyczajach czapli. Nikt chyba nie wiedział wszystkiego tak naprawdę. Ptak mógł wylądować parędziesiąt metrów od gniazda, a udawał, że jest tuż przy nim. Tym manewrem wyprowadzi w pole każdego. Tak na przykład robią czajki. Jeżeli samiec czapli robi to samo, Ballinger będzie krążył po mokradłach jeszcze przez wiele godzin.

To musiało być gdzieś niedaleko... Oświetlił latarką teren wokół siebie. Ciemnozielone poszycie denerwowało go już, tak jak denerwowała go gruba, śmierdząca łąta Everglades'a i te cholerne komary. Cięży jak nawiedzone.

Pieniądze dla Spurriera nie grały żadnej roli. Zupełnie odwrotnie było z Ike'm Ballingerem. Pieniądze były Jego bogiem, jedyną rzeczą, którą uwielbiał.

Coś nagle poruszyło się i zakotłowało. Odwrócił się, zaświecił latarką, ale niczego nie zobaczył. Szukał metr po metrze w lewą stronę i dookoła.

Nagle Ike zamarł. Tym razem na pewno się nie mylił - to był ten straszny dźwięk. Przepychające się cielska tratowały i wgniatały w błoto łądygi trzciny. Szły w tę stronę.

KLIK-KLIK-KLIK.

Ike natychmiast zapomniał o czaplach. Nie miał żadnych wątpliwości. Niesamowite istoty zbliżały się.

14

Szły właśnie tu, gdzie drżała przerażona, zeszywniała ze strachu ofiara, szły po to, żeby pochwycić Ike'a. Kraby-olbrzymy były tutaj, w trzcinach!

Ike odwrócił się. Biegł, potykając się o własne nogi, obute w za duże, długie, nieprzemakalne bucioro. Pokrwawionymi dłońmi z trudnością rozchytał twarde łądygi. Czuł ciepłą, spływającą po palcach krew. Upadł. Stęchła, błotnista woda bryzgnęła mu w twarz, ale nawet nie poczuł jej smaku. Świszczący oddech dawał znak, że płuca nie przyzwyczajone do takich ćwiczeń, więcej wysiłku nie zniosą. Dookoła panowała cisza. Zastanawiał się, gdzie podziały się kraby, czy zostały w tyle, a może w ogóle nie wiedziały, że tu jest?

Wiedział, że za chwilę powinien znaleźć się na otwartej przestrzeni i wyjść na mokradła. Był pewien, że przebiegł już co najmniej dwieście metrów. I nagle zdał sobie sprawę z fatalnej pomyłki. Ogarnęło go przerażenie. Pomylił kierunek, pobiegł w zupełnie inną stronę, a teraz uświadomił sobie, że zgubił się w gąszczu trzcinowego lasu.

Bezsilny jęk rozdarł mu pierś. Wiedział, że zdany jest teraz na ślepy los. Tylko przez chwilę miał cień nadziei, że może...

Trzciny nagle zniknęły i Ike pomyślał, że znalazł się na mokradłach. Niestety. Przed nim w świetle latarki błyskały głębokie wody rozlewiska.

Otoczyły go miriady czerwonych, świecących oczu. Nieodgadnione maski. Gęby skorupiaków. Czuł jakieś koszarne podniecenie. Za nim rozległ się plusk. Kraby okrążyły Ike'a. Był w potrzasku.

Strach paraliżował go. Kiedy kraby bezgłośnie zacieśniały koło, Ike zaczął się śmiać histerycznie i

15

nawet nie próbował uciekać. Największy z krabów podszedł bliżej.

Szczypcy wyciągnęły się w kierunku Ballingera, chwyciły go za nadgarstek i odcięły z taką łatwością z jaką sekator ścina chore listki róży. Krew trysnęła z kikuta szkarłatnym strumieniem. Niczym drogie wino tryskała w wykrzywioną, odrażającą czeluść szczęk.

W jakiś sposób Ballinger utrzymał się na nogach, nawet wtedy, kiedy jego druga dłoń spadła z pluskiem do wody. Ciągłe się śmiał. Po chwili na jego twarzy pojawił się grymas bólu, kiedy ostre jak brzytwa szczypcy rozorały mu klatkę piersiową i brzuch aż do genitaliów. Wnętrznoci miętko wypłynęły na ziemię. Upadłby teraz z pewnością, gdyby nie to, że jeden z tych potworów podtrzymał go. Przewiercił szczypcami, a potem podniósł do góry drżące, konwulsyjnie drgające ciało, jakby składał je kapłanom w ofierze.

Kraby ruszyły. Bezlitośnie rozdierały ludzkie ciało, masakrowały, targały je na wszystkie strony, walczyły między sobą o ochłapy, zamieniając je w purpurową, bezkształtną miązgę, barwiącą przybrzeżne wody rozlewiska. Po dwóch minutach było po wszystkim. Kilka skorupiaków próbowało wydrapywać jakieś resztki z mułu.

Po chwili cisza otuliła groteskowe i groźne kształty tłoczące się na niewielkiej polance pośród kępy trzciny. Kraby były nareszcie syte i zadowolone. Potwory wlepiły teraz oczy w najważniejszego z nich nie mogąc ruszyć się stamtąd, zanim on się nie ruszy. Król rządził swoimi podwładnymi okrutnie i bezwzględnie. Wymagał posłuszeństwa i egzekwował je. Gdyby nie

16

jego nieprzeciętne zdolności, ten wynaturzony gatunek na pewno nie przetrwałby zagłady, jaką próbowali zgotować ludzie. Dzięki niemu kraby-giganty żyły, rozmnażały się i było ich coraz więcej. Teraz nadeszła godzina zemsty. Tak powiedział im Wielki.

Wells-next-the-Sea, jakiś czas temu, było cudownym, malowniczym miejscem dla wędkarzy. Teraz zaśmiecone przez cywilizację lat sześćdziesiątych, stało się betonową pustynią. Klejnot natury zniszczyły rozrastające się osiedla, brzydkie, nowoczesne budownictwo i ta bezsensowna arkada, służąca właściwie tylko rowerzystom i gówniarzom jeżdżącym na skateboardach w godzinach szczytu. Stare, piękne Wells walczyło jednak o przetrwanie, o utrzymanie dziedzictwa. Szerokie, połyskujące złotym piaskiem plaże rozciągały się aż do Holkham. Wysokie sosny parawanem z grubych pni i rozłożystych koron osłaniały leżące tuż przy plażach plackowate parkingi.

Ludzie walili tutaj ze wszystkich stron - właśnie rozpoczynał się szczyt wakacyjnych przyjazdów. Pola namiotowe i parkingi pękały w szwach. Ci, którzy pamiętali dawne Wells, wylegiwali się teraz w słońcu, tęsknie wzdychając i wspominając. Ruch uliczny ciągle się wzrastał. Do południa najwięcej samochodów przyjechało od strony Fakenham, Burnham i Shering-ham. Cromer i Hunstanton były okropnie zatłoczone. Rozleniwieni wakacjami turyści rozlazili się na wszystkie strony, ale w końcu i tak< obierali jeden kierunek:

Wells-next-the-Sea.

Jeszcze o czwartej po południu plaża huczała kar-

17

nawałowym nastrojem; na wielobarwnych leżakach wylegiwały się brązowe, opalone ciała, parawany miały chronić przed słońcem i ciekawskimi spojrzeciami, starsze panie odpoczywały w koszach, dzieci szalały w wodzie na materacach. Ci, którzy jeszcze byli w pełni sił, grali w piłkę nożną lub krykieta. Pobyt nad morzem miał swój urok; kąpiele w morzu, pływanie na pontonach i wszelkiej maści łódkach, rodzice machali wiosłami imponując swoim pociechom, lepsi pływacy wyruszali daleko w

morze, na głęboką wodę, nie mogąc sobie odmówić przyjemności relaksu w kuszącej, chłodnej, połyskującej, granatowej wodzie.

Lorna Watson rozglądała się dookoła z miną pewną siebie. Zwracała na siebie uwagę. Nic dziwnego. Była bardzo zgrabna, kostium bikini podkreślał perfekcyjnie smukłe ciało. Nie miałyby nic przeciwko temu, gdyby to naprawdę był powód zainteresowania, ale niestety - towarzystwo patrzyło również na trzyletniego chłopca, który nieśmiało siusiał na stopy w dołku wygrzebanym nieopodal ręcznika, na którym leżała. Przecież nie mogą nic wiedzieć, trzysta kilometrów od domu, między setkami obcych ludzi, którzy nigdy nie słyszeli o Łomie Watson. Prawdopodobnie nikt nie zwrócił na nią specjalnej uwagi, tylko natrętne sumienie robi jej kawały. "Jesteś panną z dzieckiem! Masz dzieciaka, który jest i na zawsze pozostanie bękartem!" Westchnęła ciężko. Jakże nienawidziła siebie za to. Rodney nosił zamię, którego nie pozbędzie się do końca swoich dni. "Jesteś bękartem, Rodney'u Wat-sonie. Kim jest twój ojciec? Jakims włoskim kelnerem,

18

który pieprzył twoją matkę w hotelu, w którym znalazła pracę w czasie wakacji. A potem zwiął najbliższym samolotem do domu, kiedy tylko dowiedział się o dziecku. Twoja matka tak na dobrą sprawę, Rodney, należała do wszystkich. Jesteś po prostu, biednym bękartem, który na nieszczęście został splodzony przez playboya w hotelowej liberii i nimfomanke" - z zalem i wściekłością myślała Lorna.

Zacisnęła w pięści garść piachu. Miała wielką ochotę rzucić nim w otaczających ją ludzi. Jakaś panienka obok, pochłonięta lekturą taniego, idiotycznego kobiecego magazynu, śledziła linijki czarnych liter. Może to była opowieść o jakiejś nieszczęsnej dziewczusce, która w chwili uniesienia rozwarła nogi, a potem musiała za to zapłacić urodzeniem bękarta. Publika lubi historyjki o tych, których tak łatwo można napiętnować i zabawiać się ich kosztem. Tak zwane dobrze wychowane panienki zaśmiewają się z tych biednych, głupich, które płacą bękartami za swoje błędy.

Lorna odwróciła się, spojrzała uważnie dookoła. Nikt na nią nie patrzył. Wszyscy zajęci byli swoimi sprawami, ale była pewna, że kiedy się tylko położy, znowu zaczną się na nią gapić.

Oczy Lorny zaszyły łzami. Marzyła o miejscu, gdzie mogłaby się z Rodneyem ukryć. Spojrzała w stronę brzegu i serce na chwilę przestało jej bić. Malca nie było tam, gdzie się go spodziewała. W sekundę później odnalazła go i poczuła ogromną ulgę. Przewyciężył swój lęk przed morzem i stał teraz po uda w wodzie. Kilkoro starszych dzieci, dziewięciolatków, bawiło się nadmuchiwaną tratwą; jeden z nich trzymał tratwę, a

19

drugi próbował nakłonić malca, by usadowił się na niej.

- Nie! Rodney! - krzyknęła Lorna, ale jej głos zginął w plażowym hałasie. - Nie siadaj na tę tratwę, to niebezpieczne! Może odpłynąć daleko w morze...

Ale Rodney był już na tratwie i płonął ze szczęścia i rozkoszy. Tratwa kołysała się łagodnie z boku na bok. Mały trzymał się mocno. I wtedy starsi chłopcy popchnęli tratwę tak, że natychmiast znalazła się kilka metrów od brzegu, na głębszej wodzie. Chłopcy obserwowali to ze spokojem.

- O nie! Niech ktoś złapie tę tratwę. Tam jest moje dziecko! - Nikt nie słyszał jej wołania. Nikogo nie interesowała panna z dzieckiem, krzycząca na brzegu o ratunek dla zagrożonego bękarta. Wydawało się, że albo tratwa nabiera prędkości i szybko oddala się od brzegu, albo to Lorna rusza się powoli jak na zwol-niomym filmie. Biegła, ale morze było ciągle daleko. Wiek upłynęły, zanim poczuła na spieczonych wargach bryzgi słonej wody. Krzyczała, ale nikt z gapiących się ludzi nie miał zamiaru ruszyć z pomocą.

Tratwa odpływała coraz dalej. Rodney nie zdawał sobie sprawy z niebezpieczeństwa, cały czas siedział mrużąc z zadowolenia. Po prawej stronie przepłynął jakiś mężczyzna, ale nawet nie wyciągnął ręki, żeby zatrzymać "mały okręt". Lorna biegła, zmagając się z wodą, sięgającą jej już powyżej pasa. I wtedy zdała sobie sprawę z okropnej rzeczy - nie umiała pływać! Nagle ogarnęła ją bezradność. Jej dziecko odpływało coraz dalej, mogło w każdej chwili zsunąć się do wody

20

i utonąć, a nikt nawet nie ruszył palcem, żeby je ocalić. Ponieważ był bękartem!

Tym razem jej krzyk wybił się ponad śmiechy i plażowy jazgot, wszystkie głowy odwróciły się najpierw w jej stronę, potem w stronę odpływającej tratwy. Raz po raz tratwa zniknęła pod wodą; wyraźnie coś ją ciągnęło, coś, co znajdowało się pod powierzchnią. Przerażone dziecko z trudem walczyło o utrzymanie się na śliskim pokładzie.

Lorna Watson histerycznie krzyczała. W kilka sekund później wszyscy na plaży wrzeszczeli jak opętani. Kąpiący się wybiegali z wody przerażeni. Olbrzymie, potworne istoty pojawiły się nagle, jakby eksplodowały na małej, lekkiej fali. Płynęły tyralierą od wejścia do portu w kierunku łach Holkham. Inwazja była tak wspaniale obmyślona, że setki kąpiących się nie miały szans powrotu na plażę, kiedy tylko załamały się skrzydła tyraliery. Wszystko odbyło się w niewiarygodnie szybkim tempie. Kraby wielkości plażowych osiołków, o małych, świecących złowrogo w jasnym słońcu oczkach, cięty i rozpruwały ostrymi jak brzytwy szczypcami swoje ofiary, zostawiając krwawy ślad i koszmarnie zmasakrowane ciała. Purpurowe, gęste jak oliwa fale uderzały leniwie o brzeg.

Lorna bała się tylko o Rodneya. Nie martwiła się tym, że nie potrafi pływać. Jeśli będzie trzeba, gotowa jest zginąć, żeby tylko móc uratować syna. Sparaliżowany strachem umysł dręczyła myśl, że musi odciągnąć swoje dziecko w bezpieczne miejsce.

Szła przed siebie, spieniona woda sięgała jej do szyi. Nie słyszała już wrzasków przerażenia i bólu.

Nagle zobaczyła Rodneya. Wyskoczył ponad po-

21

wierzchnie wody, wijąc się jak żywa krewetka nadziana na patyczek. Był zakleszczony w przerażających szczypcach wielkiego kraba, o wiele większego od tych, które atakowały innych ludzi. Uścisk był coraz mocniejszy, wcinał się w kruche, dziecięce ciało, rozszarpywał je, a strugi jasnoczerwonej krwi bryzgały fontannami na wszystkie strony.

Lorna zamarła. Patrzyła na małą, wykrzywioną potwornym bólem i agonią twarzyczkę oraz spuchnięte, nabiegłe krwią oczy małego, które po chwili pękły jak przekłute bańki mydlane. Pozbawiony nóg tułów wpadł do wody, a dolna część ciała Rodneya poniesiona została potężnymi szczypcami do wielkiej, nienasyconej gęby skorupiaka.

Świat Lorny Watson umarł w ciągu tych kilkunastu sekund. Bała się bólu, ale to nie miało już znaczenia. Nic nie było już ważne. Dopadły ją kraby. Jeden pociągnął ją pod powierzchnię wody w ciemnozieloną pustkę, przesiąkniętą teraz szkarłatem krwi. Ohydna gęba zbliżyła się w śmiertelnym, krabim pocałunku. Potężnymi szczypcami rozszarpywał jej kształtne ciało, darł je na drobne pasy, skręcając się przy tym jakby przeżywał orgazm.

Umierała. Szkarłatne jęzory krwi rozciągnęły się we wszystkie strony, przesłaniając jej twarz i oślepiając. Piekiło bólu pochłonęło jej ciało i przeżartą zepsuciem duszę.

Ci, którzy byli najbliżej miasta - dla własnego bezpieczeństwa - wspięli się na wydmy Holkham, albo poszli w kierunku portu w Wells i stamtąd patrzyli z niedowierzaniem na rzeź, na czerwone

22

plamy krwi, które zabarwiły złote piaski plaży. To był zorganizowany atak dzikich bestii, który przyniósł krew, ból i śmierć. Bestie zwarty szeregi. Było ich około trzystu. Półkolem zapędzały do morza tych, którzy przeżyli. Krzycząca kobieta, trzymająca dwoje dzieci, nagle potknęła się i upadła. Zamknęła oczy, kiedy zasłonił ją potężny cień. Tylko jedno uderzenie zamieniło matkę i jej dzieci w tryskającą kwią miazgę. Armia szła w stronę oceanu. Dokładnie obliczony, precyzyjny, mający na celu zagładę atak, nie pozostawiał żadnych szans na stawianie oporu.

Nikt, kto dostał się do straszliwego kręgu - nie ocalał. Kilkoro ludzi próbowało uciec do wody i jakoś dopłynąć w bezpieczne miejsce, ale natychmiast zostało złapanych przez ukryte pod powierzchnią wody czyhające kraby. Pozbawione tożsamości, zmasakrowane, na pół zjedzone ciała kołysząc się na wodzie płynęły w morze.

Przyleciały mewy, śmieciarze morza, padlinożercy. Rzuciły się na pływające szczątki, bijąc się między sobą, wrzeszcząc i trzepocząc skrzydłami. Nie śmiały jednak usiąść na powierzchni, podlatywały tylko i uciekały, by za chwilę wrócić. Bardzo chciały sfrunąć na pływające pod nimi "jedzenie", ale wiedziały, że kraby ciągle czyhają, ukryte tuż pod powierzchnią. Od czasu do czasu, leniwie i powoli szczypce wychylały się i wciągały pod wodę którąś z nieszczęsnych ofiar, by zrobić sobie solidny obiad.

Dopiero kiedy słońce zaczęło powoli znikać za horyzontem, głodne mewy mogły rzucić się na trupy.

23

Białe, pierzaste, uderzały z powietrza do przesiąkniętego kwią oceanu, a ostre dzioby wrywały strzępy mięsa z ludzkich szczątków. Zmrok przykrywał wszystko i niby dym zasnuwał przerażający widok po zaciętej bitwie. Kiedy ściemniło się już na dobre, ptaki odleciały w głąb łądu, w poszukiwaniu jakiegoś spokojnego miejsca na nocleg, gdzieś nad brzegiem stawu albo jeziora, które nie kryje na swoich błotnistych brzegach żadnych przerażających tajemnic. Nieskończone kolumny pierzastych drapiezców, mknęły bez charakterystycznego dla nich jazgotu. Słychać były tylko szum tysięcy skrzydeł. Ptaki też były przerażone.

Rozdział drugi

Olbrzymi korek tamował ruch po obu stronach zwodzonego mostu Sutton. Rzędy zapalonych świateł w samochodach przypominały pałające wściekłością oczy. Nocni wędrowcy zostali nieoczekiwanie zatrzymanym w drodze z King's Lynn i Spadling. Ludzie wychodzili z samochodów by spojrzeć w dół, na kłębiącą się rzekę Nene. Małe łódki kotwiczące przy niskich kejach kołysały się na wzburzonej fali. Ciemna sylwetka wolno płynęła w górę rzeki. Statek głośno obwieszczał swoje istnienie całej okolicy i zacumowanym przy nabrzeżach innym jednostkom. Świat na chwilę zamarł.

Podniesiony most wyglądał jak miecz w rękach poddanego, który oddaje honory swemu władcy.

- Do kurwy nędzy! Jak długo to jeszcze ma trwać? - Wyglądający na wędrownego handlarza, niski człowiek w białej koszuli i krawacie wysiadł z wyładowanego przeróżnymi kłopotami Forda Escorta. Nie łudził się, że ktoś mu odpowie, ale denerwowało go, że inni ludzie nie okazywali żadnego zniecierpliwienia. Mało tego! Wyglądali na zadowolonych. Jak dzieci gapili się na to cholerne, przepływające pod mostem pudło. Mężczyzna wzdychając spojrzał nerwowo na zegarek. Doskonale wiedział, że jest 23.40, bo sprawdzał parę sekund temu. Śpieszył się bardzo i nie mógł czekać.

25

Zawrócił do samochodu. Nerwowo przetrząsał kieszenie, szukając papierosów. Gdzieś tutaj musiały być, przecież dopiero co zaczął nową paczkę. Nagle uderzenie i łomot rozrywanego metalu wstrząsnęły mostem.

- O Jezus! Ten pieprzony statek wlał na mieliznę! Wszystko było dokładnie oświetlone. Zdawało się, że to jakieś makabryczne przedstawienie teatralne. Sparaliżowana, oniemiała publiczność obserwowała to, co działo się na dole. To okrutne widowisko było tak nieprawdopodobne, że nikt w pierwszej chwili nie poczuł się zagrożony. Dopiero po jakimś czasie, ktoś wykrzyknął ochryple:

- Ten kurewski most się przewraca! Boże Wszechmogący! Kraby!

Kilka osób rzuciło się do ucieczki, pozostali skamieniali z przerażenia: nikt nie mógł uwierzyć w to, co się działo. Potężna konstrukcja, drząc pochylała się coraz bardziej. Rozległ się okropny chrzęst i zgrzyt żelaza. Most gwałtownie przechylił się na bok. Małe figurki na statku znieruchomiały z przerażenia. Po chwili niektórzy z pasażerów zaczęli skakać w nurt rzeki, szukając ratunku przed walącymi się na nich tysiącami ton metalu i betonu.

Nagle wstrząs! Runęło przęsto łamiąc statek na pół. Wielka fala wyrzuciła wysoko w powietrze część wraku, pogrążając w topieli załogę. Światła kontrolne i reflektory zgasły, zanurzając wszystko w ciemności. Zupełnie tak, jakby w telewizorze wysiadła wizja, a fonia działała bez zarzutu.

Pasażerowie samochodów zaczęli krzyczeć. Widzie-

26

li kraby, widzieli co się dzieje tam na dole, niektórzy słyszeli już o rzezi w Wells-next-the-Sea. Ci członkowie załogi, którzy przeżyli uderzenie walącego się mostu - albo utonęli, albo zostali pożarci przez ogromne, przerażające bestie. Nic nie mogło ich uratować. Nikt nawet nie próbował.

Nocne powietrze wypełnił trzask łamanych kości, zgrzytanie i jakiś niesamowity klekot. Zwodzony most stał się olbrzymią gilotyną.

W końcu zapadła cisza, przerywana sygnałem pierwszego ambulansu.

Przez te ostatnie kilka lat profesor Cliff Davenport postarzał się trochę. Przybyły mu ze dwa nowe pasma siwizny w rzednących, ciemnych włosach i sporo zmarszczek na pociągłej, bladej twarzy. Ale jego szczupła, zwinna sylwetka nie zmieniła się ani trochę od czasów słynnej "bitwy" pod Barmouth.

Odłożył właśnie słuchawkę telefonu w swym małym mieszkaniu-pracowni w West Hampstead i ciężko westchnął. Ten moment musiał w końcu nadejść. Cekał na to dzień w dzień od powrotu z Wyspy Haymana. Nagle usłyszał kroki w korytarzu i odgłos otwieranych drzwi. Zamknął oczy. Przypomniał sobie ciemnowłosą, śliczną, niewysoką dziewczynę, zadumany wyraz jej twarzy i ten sok pomidorowy, który z taką ochotą piła na farmie w Lianbedr. Tam wszystko się zaczęło. Nieprzerwany strumień krwi, rzezie.

Ta sama dziewczyna stała teraz za nim i czekała na potwierdzenie jej najgorszych obaw. Oboje zrywali się w nocy przerażeni dźwiękiem telefonu, a potem nawzajem przekonywali się, że to tylko sen. Raz już ten

27

koszmar okazał się prawdą i Cliff musiał ruszać na drugi kraniec świata, żeby walczyć ze swoim śmiertelnym wrogiem w egzotycznej krainie Wielkiej Rafy Koralewej.

- Więc... -jej głos drżał.- Gdzie są tym razem, Cliff?

- Na wschodnim wybrzeżu - powiedział, odwracając się do niej. Widział jak drżała. - Zaczęły od Wash i przeszły wzdłuż całego wybrzeża aż do Wells-next-the-Sea. Najprawdopodobniej wczoraj, późnym wieczorem, był pierwszy atak. Gdybyśmy mieli włączone radio albo telewizor, wiedzielibyśmy co jest grane. To był Grisedale.

- Wiem. Och, Cliff, czy tym razem nie poradzą sobie bez ciebie? Do cholery! Zrobiłeś już swoje! Już cię nie potrzebują! To robota dla uzbrojonych oddziałów. Niech spróbują znowu środków chemicznych.

- Nie mogą - powiedział szybko. - Rybołówstwo stoi kiepsko i nie można sobie pozwolić na wyniszczenie nowych, młodych ławic ryb. Poza tym na morzu pracują tysiące ludzi i stamtąd pochodzi żywność dla milionów. Najgorsze, że kraby wróciły i jest ich więcej niż za czasów Barmouth. Rozmnażają się tak szybko! Zupełnie jak myszy i szczury. Musiały się gdzieś zaczaić po rzezi na wyspie Haymana i odczekały, aż będzie ich tyle, żeby znowu móc zaatakować. Cholera! To niesamowite! Mogłyby sobie żyć gdzieś na Pacyfiku, w idealnych warunkach, a ludzie nawet nie mieliby pojęcia o ich istnieniu. A one wróciły! I to tutaj, do Brytanii. To prawie jak instynkt powrotu do domu. Albo jak instynkt zemsty!

28

- Nie mów tak. - Wzdrygnęła się. Próbowała jakoś zebrać myśli. - No, cóż. Jak sądzę i tak się tym zajmiesz, cokolwiek bym powiedziała.

- Muszę. - Objął ją. - Tym razem naprawdę jest nad czym popracować. Mamy podobno jednego, prawdziwego, przerośniętego kraba i to nieżywego!

- Mój Boże, jakże udało się go zabić? Przecież kule tylko odbijają się od ich skorup!

- Nie jest tak źle. - Uśmiechnął się. - Stalowy, zwodzony most Sutton w Lincolnshire spadając zmiął jednego. Nawet nasze niezwyciężone kraby nie są w stanie wytrzymać spadających na nie setek ton stali. Wyobraź sobie, że stal rozbiła skorupę tego potwora. Będziemy mogli więc zaoszczędzić sobie długich godzin dłubania i rozbijania pancerza. Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę tę najnowszą zdobycz. No, myślę, że wystarczy mi mała walizka na drogę. Przy odrobinie szczęścia będę w domu przed weekendem.

- Wiedziałam, że tak będzie. - Próbowała się uśmiechnąć, ale bezskutecznie. Szybko odwróciła głowę, żeby Cliff nie zobaczył zasłanych łzami oczu i drgającej ze zdenerwowania dolnej wargi. W pewnym sensie Pat Davenport odczuła ulgę. Nieznośne oczekiwanie wreszcie się skończyło. Tak jak jej mąż - nigdy nie uwierzyła do końca, że kraby zostały zniszczone.

Grisedale czekał na Cliffa Davenporta w hallu hotelu Bridge. Człowiek z Ministerstwa Spraw Wojskowych bardzo się postarzał w ciągu ostatnich lat, nabrał jakiejś sztywności w ruchach, twarz porały nowe, głębokie zmarszczki. Cliff domyślił się, że

29

tamten jest tuż przed emeryturą. Pożałował, że te cholerne kraby nie poczekały jeszcze ze dwa, trzy lata. Przynajmniej oszczędziłyby mu trochę kłopotów i zamieszania.

- Miło cię znów zobaczyć, Clifford. - Grisedale wyciągnął rękę. - Mój Boże, te diabły wróciły tym razem z żądzą zemsty. Trzysta ofiar, pięćdziesiąt osób zaginionych w Wells i około trzydziestu tam, przy moście na Nene. Barmouth to w porównaniu z tym małe zamieszanie.

Cliff skinął głową.

- Masz jakiś pomysł gdzie trzeba ich szukać? Tu nie ma skalistego wybrzeża. W Walii na przykład to co innego. Tu jest za płasko, nie miałyby gdzie się ukryć. Tak mi się przynajmniej zdaje.

- To mnie martwi. - Grisedale wprowadził Cliffa do zatłoczonego baru i przekrzykując hałas zamówił dwie whisky. - Mieliśmy tu specjalistów, którzy przeszukali nam centymetr po centymetrze, cały teren z Bostonu do Cromer. Najbardziej martwi mnie to, że na drodze prowadzącej do mostu na Nene znaleziono mnóstwo krabich śladów, które nagle się urwały.

- Kraby pewnie poszły korytem rzeki. - Cliff sączył swojego drinka i przyglądał się ludziom w zatłoczonym barze. Kilka osób wydało mu się znajomych. Oczywiście nie pamiętał nazwisk, ale wiedział, że to weterani walk z krabami, grupa specjalna zebrana z jednostek Sił Jej Królewskiej Wysokości.

- Chciałbym tak myśleć. - Grisedale zmarszczył brwi. - Ale wtedy był odpływ i na pewno żaden z tych sukinsynów nie mógłby iść cały czas suchym, wąskim korytem rzeki.

30

- Były do tego zmuszone - powiedział Cliff - bo nie mogą żyć bez słonej wody dłużej niż kilka godzin. Ta droga była jedyną, którą mogły szybko dotrzeć do morza. Chciałbym jak najszybciej zobaczyć tego martwego kraba.

- Zarekwirovaliśmy pusty magazyn znajdujący się tuż za hotelem. - W głosie Grisedale'a brzmiała duma z dobrze wypełnionego obowiązku. - Laboratorium już na ciebie czeka. Spadająca część mostu była precyzyjna. Stał rozwaliła prawie całą skorupę i pozbawiła to coś głowy. Będziesz miał o wiele mniej pracy przy rozkładaniu go na czynniki pierwsze.

- Racja. - Cliff Davenport zdjął okulary. - No, to zaczynamy. Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę tę zdobycz. Nigdy nie wiadomo, czego nowego można się doszukać w linii mutantów.

Grisedale doskonale orientował się w sprawie od czasu poprzedniego spotkania z zabójczymi krabami. Wielka szopa była oczyszczona, w środku zainstalowano kilka wielkich stołów, oświetlonych bezcieniowymi lampami. Pierwsze wrażenie było fatalne. Cliff czuł się jak w jatce. Poszarpane mięso leżało między kawałkami roztrzaskanej skorupy, większe fragmenty pancerza podwieszono na linkach, żeby ułatwić badania.

- Idealnie. Uśmiechnął się do Grisedale'a i spojrzał na zegarek - była czternasta trzydzieści. Sądzę, że skończę za dwie, trzy godziny, więc jeżeli możesz się czymś zająć...

- Nie mogę. - Odparł twardo współnik. - Jestem tak samo zainteresowany tymi stworzeniami jak ty, Cliff. Armia, flota i RAF przeszukują wy-

31

brzeże. W razie gdyby kraby pojawiły się i próbowały wyjść znowu na brzeg, zawiadomiam nas. Pozwól mi w czasie tej operacji być twoim asystentem.

- W porządku. - Davenport naciągnął gumowe rękawiczki i zaczął dobierać noże, skalpele i inne przyrządy chirurgiczne, leżące na podręcznym stoliku. - Najpierw sprawdzimy wszystkie organy trawienia, chociaż i tak wiadomo co tam znajdziemy.

Profesor nie odzywał się prawie wcale. Od czasu do czasu jednak nie mógł powstrzymać się od komentarzy, kiedy odkrywał coś niezwykłego. Wyciąganie szczątków przeżutego ludzkiego mięsa nie należało do przyjemności. Skorupa była dokładnie taka sama jak te, które już kiedyś badali; była odporna na każdą broń z wyjątkiem broni nuklearnej i ... zawałających się stalowych mostów! Czas płynął. Była już piętnasta czterdzieści pięć. Jedynym dźwiękiem, który rozlegał się w szopie, było bzyczenie wielkich niebieskich much, które z upodobaniem lądowały w krabim mięsie i delektowały się nim.

- Mój Boże! - Cliff wpatrywał się w jakiś skrawek, z którego właśnie próbował coś oddzielić.

- Co to jest? - Grisedale przysunął się bliżej profesora. - Bardzo ciekawe...

Davenport z trudnością odciął trochę tkanki od reszty ciała.

- Przyjrzyj się tym jelitom. Widzisz coś ciekawego? - Jakieś czyraki. - Grisedale wzdrygnął się z obrzydzeniem.

- Prawie. - Profesor pokiwał głową. - W rzeczywistości jest to nowotworowa narośl, która, jak

32

można przypuszczać, rozniosła się na wszystkie organy wewnętrzne i wygląda na nowotwór złośliwy.

- Dobry Boże! - Grisedale odsunął się. - Krab jest według książkowej systematyki rakiem, a te skurwiele same hodują sobie raka, który pleni się jak chwasty na wiosnę. Jezu, przecież on powinien już dawno nie żyć! Ma te guzy wszędzie!

- Normalny osobnik krabiego gatunku z tak rozwiniętym nowotworem prawdopodobnie by już nie żył. - Davenport odłożył skalpel i sięgnął do kieszeni po fajkę. - Ale ten jest tak cholernie duży i silny, że dawał sobie radę nawet z tak daleko posuniętą chorobą. Ale jak długo mógłby z tym żyć? I dlaczego w ogóle żył? Może ten nowotwór jest skutkiem środków chemicznych, które rozpyliliśmy na jego przodków? One przecież mimo to się rozmnażały. Ile naprawdę spośród tych wielkich, żyjących w morzach krabów jest chorych? Musimy się tego wszystkiego dowiedzieć.

- Nie bardzo cię rozumiem, Clifford.

- Pozwól, że ci wyjaśnię. - Davenport na chwilę zamilkł, zaciągając się głęboko dymem z fajki. - Przypuśćmy, że całe ostatnie pokolenie krabów nosi w sobie tę śmiertelną chorobę. Gdyby się zastanowić, można dojść do przerażających wniosków. Po pierwsze, choroba może się rozprzestrzenić na inne formy życia w morzach i oceanach i zniszczyć całe podwodne życie...

- Jezu Chryste!!!

- Po drugie, istnieje możliwość, że te kraby wiedzą, iż są śmiertelnie chore. To, co teraz się dzieje, to ich ostatni atak, ostatnia napaść na ludzi.

33

- Phi! - Grisedale wydał wargi. - Może być jeszcze i tak, że ten potężny gatunek wywodzi się z wód otaczających Brytanię - kontynuował Cliff. - Oczywiście to tylko niesprawdzalna hipoteza, ale można przypuszczać, że przyciąga je tutaj rodzaj instynktu, wzywając je do miejsca, skąd pochodzą. Być może jest to instynkt, który skłania śmiertelnie chorego podróżnika do powrotu do domu, by mógł umrzeć na własnej ziemi. No, ale jeżeli to prawda, to kraby przysły tu także i po to, żeby wielu ludzi umierało razem z nimi.

- No to, co robimy?

- Jeśli to możliwe, chciałbym przebadać jeszcze ze dwa, trzy osobniki. - Davenport uśmiechnął się blade. - Wiem, że martwe kraby są towarem deficytowym, ale zawsze istnieje szansa, że może znowu spadnie coś, co waży kilka ton i zmiażdży chociaż jednego. Musimy dokładnie obejrzeć plażę na wschodnim wybrzeżu i dowiedzieć się, gdzie ukrywają się kraby. Acha, powiedziałem żonie, że wrócę przed weekendem, jutro jest środa.

- Szczęśliwi, którzy nie tracą nadziei. - Zaśmiał się Grisedale. - Ja też jej nie tracę, bo wierzę, że zostaniesz z nami do końca, i że ten nowotwór zżera tylko naszych dwunastonożnych, opancerzonych znajomych, którzy wkrótce powędrują grzecznie do morza i tam zdechną.

Profesorowi Cliffowi Davenportowi wcale nie było do śmiechu.

Na Nene było wiele obfitujących w ryby miejsc, jednak większość z nich, a szczególnie te blisko mostu

34

Sutton, patrolowali strażnicy ochrony przyrody i karali wysokimi mandatami wszystkich kłusowników.

Andy Caxton wiedział, że jeśli po raz czwarty popełni wykroczenie, może być źle. Urzędnicy z magistratu ostrzegali go i straszili sądem. Ciągłe pamiętali o tych bażantach, na która zastawił sidła w ubiegłym roku w lecie. Był już notowany.

Andy, facet koło czterdziestki, od wielu lat żyjący z zasiłku, nie miał zamiaru splamić się uczciwą pracą. Kłusownikiem był od zawsze, tak jak jego ojciec i dziadek. Musiał utrzymać siebie i rodzinę żyjącą w pięknym hrabstwie Lincoln.

Kiedy wydarzyła się ta katastrofa przy moście Sutton, Andy Caxton stwierdził, że nadarza mu się niepowtarzalna okazja. Nikt na pewno nie będzie myślał o kłusownikach i sprawdzał rybnych rozlewisk Nene. Dzisiejsza noc była dla Andy'ego tak samo dobra jak wszystkie inne. Wystarczy pójść trzy mile w górę strumienia i można przestać martwić się krabami. Szansę na spotkanie ich tam były praktycznie żadne. Po ataku na most, wróciły pewnie do Wash i już nie pokażą się szybko w cywilizowanym świecie.

Zmierzało już, kiedy Caxton wyszedł ze swego domku i jak zwykle ruszył w drogę przez pola, przedzierając się przez zagony kukurydzy i buraków cukrowych. Szedł ścieżką prowadzącą na trawiasty brzeg rzeki. Pod pachą niósł solidny oścień na ryby, zbudowany z trzech aluminiowych rurek, które z łatwością mieściły się pod połą jego wojskowej kurtki.

Robiło się coraz ciemniej. Nie zważając na to, Andy wziął się do roboty. Rzucił na wodę kilkanaście liści z

35

rosnącej opodal wierzby. W ten sposób, na powierzchni powstał widziany przez ryby cień. Wiedział, że niewielka martwa zatoczka, w której ryby żywiły się i odpoczywały to dobre miejsce. Teraz tylko wystarczy bystre oko i szybka, pewna ręka, żeby jego rodzina miała jutro co jeść.

Od wyjścia z domu Andy czuł się dziwnie rozdrażniony. Nie chodziło tu o strażników, miał ich gdzieś. Zresztą, gdyby się pokazali, z miejsca dałby nogę. Denerwowało go zupełnie coś innego... Te... kraby! Wzdrygnął się. Nie widział przebiegu masakry przy moście Sutton, ale znał jej rezultaty, oglądał specjalny program w swoim czarno-białym telewizorze.

Przerażające! Pokazali też kraba, którego zmiażdżyły spadające fragmenty mostu. To była olbrzymia bestia... Nawet martwa tchnęła złością i nienawiścią. Zupełnie jak człowiek... W ogóle Andy'emu wydawało się, że krab miał jakby ludzkie rysy...

Reporter rozwarł potężne szczęki martwej bestii i pokazał wskaźnikiem kły - ostre jak brzytwy. Andy nigdy nie sądził, że kraby mogą mieć zęby, dopiero teraz to sobie uświadomił. Duże, czy małe - skorupiaki zawsze przyprawiały go o dreszcze. Myślał o nich przechodząc blisko wody, ale, nie, nie... nie wierzył, że mogą dojść aż tak wysoko w górę rzeki. "To niemożliwe" - przekonywał siebie, podchodząc bliżej wody.

Podsłuchał ze strachu, kiedy komar musnął jego twarz, przelatując obok. Fale przelewały się leniwie. Andy ukląkł i czekając aż

oczy przyzwyczajają się do ciemności, wpatrywał się w czarne lustro. Woda była zbełtana i błotnista, jakby przez kilka ostatnich dni,
36'

bez przerwy padał deszcz, a przecież od tygodni nikt w okolicy nie uświadczył ani kropelki z nieba. Pewnie zawalenie się mostu spowodowało takie zamulenie •wody. Ale... aż do tego miejsca? Andy zaklął. Nie miał szczęścia. W takich warunkach, nic prawie nie mógł dojrzeć.

Nagle w odległości kilku metrów od brzegu u-tworzył się wir, a błotnista fala ze złością bryzgnęła Andy'emu w twarz. Andy mocniej chwycił swój oszczep i wycelował przed siebie. Wstrzymał oddech. Coś na pewno kryło się pod wodą. Coś dużego i ciężkiego!

Kiedy zobaczył olbrzymiego kraba wyłazącego na brzeg, Andy Caxton cofnął się. Zwierzę jednym potężnym zamachem wielkich szczypców wydostało się z wody. Było parę metrów od Andy'ego, który zareagował natychmiast. Z całej siły pchnął oścień w przerażający pysk i ...jego wspaniała, zmysłna broń, nie zrobiwszy skorupiakowi najmniejszej krzywdy, plusnęła do wody. Andy chciał krzyknąć, uciekać, nie mógł. Stał sparaliżowany i gapił się na błyszczące czerwono oczka, bełkocząc coś niezrozumiale. Próbował odezwać się do tej istoty jak do wściekłego psa. "A nuż, bestia zobaczy w człowieku przyjaciela a nie wroga" - pomyślał.

Gęba kraba wykrzywiła się w grymasie niezdecydowania. Nie wiedział, co ma robić! Był wyraźnie wyczerpany i z trudnością utrzymywał się na nogach. Oczka błyszcząły to wściekłością to znowu jakby strachem. Zażyły się i gasły, żeby po chwili znowu zabłysnąć złowrogo. Skorupiak walczył z nagłym osłabieniem.

37

Wreszcie zdecydował się i uderzył. Wielkie szczypce spadły z potężną siłą. Czaszka Andy'ego rozpadła się na kawałki.

Potężna siła wyrzuciła go wysoko w powietrze i skręcone konwulsyjnie martwe ciało spadło na ziemię. Krab znowu się wahał. Zbierał słabnące siły. Wyciągniętymi szczypcami przekuł leżącego na wylot i rozdarł go na części.

Małe, czerwone oczy powoli traciły ogień, ruchy skorupiaka były ociężałe, powolne. Zaczął pożerać ofiarę. Natura nakazywała mu zjadać świeżo upolowane mięso. Przez chwilę tylko żuł kawałek odciętej nogi. Nagle odwrócił się. Zwymiotował.

Odszedł parę kroków ciągnąc szczypce po ziemi, wyszarpując kępy trawy. Odpoczywał co chwilę, przysiadając z na wpół zamkniętymi oczami. Nagle poczuł przyływ nowych sił. Musiał dojść do rzeki. Jego drogę znaczyły krwiste wymiociny.

Zesłizgnął się w dół po stromym brzegu, wpadł w wodę z głośnym pluskiem i zanurzył się. Błotnisty prąd jakby przywrócił blask czerwonym, ohydny oczom. Musiał teraz podjąć decyzję: albo poddać się instynktowi, albo walczyć z nim. W dole rzeki rozciągała się zatoka Wash otwierając bramy do oceanów świata. Przed nim, w górze strumienia biegnę zwiężające się koryto, które zawierało niedostatecznie słoną wodę. Oznaczało to śmierć w ciągu kilku godzin.

Krab niechętnie skierował się w górę strumienia, odpowiadając na wołanie instynktu silniejsze od chęci życia.

- Niesamowite! - Profesor Cliff Davenport skończył badać kolejnego osobnika, którego przywie-

38

I ziono znad górnego odcinka rzeki Nene. - Ten krab I zabił nad rzeką kłusownika i zaraz potem zdechł. Miał ' w całym cielsku pełno nowotworowych guzów, tak

jak tamten sprzed dwóch dni. Co do tego, nie mam

żadnych wątpliwości.

- To znaczy, że jeśli te dwa były chore na raka, to i reszta może mieć to samo - powiedział Grisedale.

- Zgadza się. I ja jestem prawie pewien, że cały gatunek jest zarażony.

- W takim wypadku nie mamy się czym przejmować. - W głosie człowieka z Ministerstwa Spraw Wojskowych brzmiała wyraźna ulga.

- Niestety mamy. - Cliff odwrócił się i spojrzał na tamtego spod przymrużonych powiek. - Grisedale, przez tę chorobę kraby są bardziej niebezpieczne niż kiedykolwiek: potwornie cierpią, cały czas walczą z bólem. Zwracają się przeciwko człowiekowi, bo winią go za stan, w jakim się znajdują. Choroba bardzo zmieniła ich zwyczaje, stały się przez nią o wiele groźniejszym wrogiem. Nie potrafimy przewidzieć co zrobią następnym razem. Dawniej szły wybrzeżem i systematycznie atakowały przy pełni księżyca, bo to był czas ich największej aktywności. Teraz jest zupełnie inaczej. Potrafią zaatakować i urządzić sobie ucztę w samo południe na zatłoczonej, rozżarzonej plaży. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego uciekają od morza! Przecież ten szedł w głąb łądu. Gdyby nie wykończył go rak, to i tak padłby z braku słonej wody. To wygląda na samobójstwo!

- Można chciał uciec od śmierci?

- Może, ale sądzę, że to nie jest jedyny powód.

39

- A co jeszcze? - Dokładnie nie wiem. - Cliff napełnił i zapalił fajkę. Zamyślił się. - Musi być jakiś klucz do rozszyfrowania tajemnicy ich zachowania. Jeszcze do niego nie dotarliśmy. W każdym razie nie wróży to nic dobrego. Myślę, że wiedzą, że ich czas się kończy, ale są wytrwałe jak mrówki, i jak one bezlitosne i mściwe. Jestem pewien, że są zdolne do myślenia, prawie tak jak ludzie. Zapamiętaj moje słowa. Grise-dale, one coś knują i nie możemy sobie pozwolić na choćby moment nieuwagi czy odpoczynku! Teraz możemy mieć tylko nadzieję, że odeszły i w najbliższym czasie się nie pojawiają.

Davenport znowu się zamyślił. - Zastanawiam się dlaczego zachorowały? Może są mutantami, które powstały na skutek promieniowania po nuklearnych eksperymentach podwodnych? Teraz nie pozostaje nam nic innego, tylko czekać na nowe wydarzenia...

- Przepraszam. - Wartownik pilnujący wejścia otworzył drzwi do starej szopy. - Telefon do pana Grisedale'a. 'Z ministerstwa.

- Lepiej chodź ze mną, Clifford. - Grisedale podszedł do drzwi. - Londyn na pewno ma jakiś rewelacje.

"Coś się znowu stało" - pomyślał Cliff, idąc za Grisedale'm wąską ścieżką prowadzącą do hotelu. Miał złe przecucia, ale próbował o tym nie myśleć. Zawsze trapiły go przecucia gdy kraby były w pobliżu.

Grisedale odebrał telefon w biurze dyrektora hotelu. Były jakieś zakłócenia na linii i musiał chwilę odczekać, aż trzaski ucichły.

40

- Tak, tak... - Z napięciem wstuchiwał się w słowa po drugiej stronie, marszcząc brwi. - O Boże! Jest pan pewien? Zawsze dajemy się nabierać. Do diabła, to niemożliwe! Nie miały czasu, żeby się tam dostać! Jakim sposobem? Na drugą stronę kraju? W porządku, przyjmuję to tak, jak pan mówi. Wkrótce zadzwonię. - Odłożył słuchawkę i odwrócił się do Cliffa Davenporta.

- Cliff, nie uwierzysz w to, co mam ci do powiedzenia. Nowe ślady krabów. W... Barmouth i na Wyspie Muszli! Te diabły były widziane w swoich starych kryjówkach. Ale one nie mogły dostać się tam tak szybko!

- Nie. Twarz Davenporta poszarzała. - Masz rację, nie mogły. Bo wcale nie musiały. Grisedale, czy ty nie rozumiesz, co to znaczy? To nie kraby z Wash były widziane w Cardigan Bay. To inna grupa. Jest ich o wiele więcej, niż nam się wydaje! Czeka nas największa i ostateczna bitwa. Albo one albo my!

Rozdział trzeci

Kraby leżały bez ruchu na skotłowanym piasku. Z oddali wyglądało to nawet żałośnie. Pilot lecącego nad nimi helikoptera poczuł przyływ litości i współczucia. Przypomniało mu się, jak w dzieciństwie zabił z dwunastokalibrowej dwururki myszkującego w o-grodzie bażanta. Kiedy strzelba kopnęła w odrzucie przy wystrzale, wydawało mu się, że to wspaniały wyczyn. Dopiero, gdy zobaczył bajecznie kolorowego ptaka drgającego w przedśmiertnych konwulsjach, był wstrząśnięty. Ruszyło go sumienie. "Morderco" - pomyślał. "Nie dałeś mu żadnej szansy! Ten biedny ptak nawet nie wiedział, że tu jesteś i w niego mierzysz. Rozwaliłeś go z zimną krwią, a nawet z przyjemnością!" Moment wspomnień rozstroił go. Opanował się dopiero po chwili. Wiedział, że musi być bezlitosny. Tak trzeba postępować z tymi skurwielami. Nie ważne czy siedzą, czy się czołgają. Trzeba je za wszelką cenę posłać do wszystkich diabłów!!! Saab 105G utworzył luk z 30 milimetrowym działkiem. Pilot rozejrzał się po okolicy. Marzył o prawdziwym dywanowym nalocie na piekielne kraby. Teraz mógł tylko strzelać. Znowu i znowu. Grisedale odwrócił się do siedzącego za nim Davenporta i podał mu lornetkę.

42
- Ile dajesz za mistrzowski strzał? - Profesor przyglądał się krabom uważnie. Niektóre skorupy były tylko zadraśnięte, na innych prawie nie było śladów od pocisków działka. Już miał złośliwie to skomentować w stylu: "A nie mówiłem, że to strata czasu? Kraby wytrzymują cięższą artylerię niż wasze Adeny".

- O, Boże! - krzyknął.

- Co się stało? - One... nie żyją!

- Mówiłem ci, że dobry pilot bojowy...

- To nie ma nic wspólnego ani z pilotem, ani z działem. One nie żyły, zanim zaczęliście strzelać.

- Łądujemy? - Możemy. Ale i tak wiem, co znajdziemy. Powiedz pilotowi, żeby podszedł jak najbliżej i nie siadał. To Błoto jest niebezpieczne. Spójrzę tylko przez szybę.

Helikopter zawisł nisko, jakieś piętnaście stóp nad skłębioną masą krabów. Profesor nastawił ostrość lornetki. Skrzywił się z odrazą. Zobaczył śmierć w najgorszej postaci. Brzydkie, dzikie gęby patrzyły w górę. Kraby widziały go nawet teraz, już po cierpieniach agonii i śmierci. Straszne były te skupiska ropiejących narośli. Niektóre guzy już zakrzepły, ale z wielu ciągle jeszcze wyciekała obrzydliwa, żółta, bulgocząca substancja. Wszystko było w tym krabim umieraniu - nienawiść, ból i rozpacz.

- Jezu Najświętrze! - Grisedale pobladł i zrobiło mu się niedobrze. Gryzący, zapierający dech w piersiach odór rozkładających się cielsk docierał do nich przez zamknięte szyby. - Widać, że bardzo cierpiał... A, cholera! Prawie zrobiło mi się ich żal! Te dwa kraby, które oglądaliśmy, były we wczesnych stadiach choroby, prawda?

43

- Tak. - Davenport spojrzał niżej. - Powiedz pilotowi, że możemy wracać do bazy. Niech morze pogrzebie to wszystko. Ale, ale, Grisedale, czy zauważyłeś coś jeszcze?

Człowiek z ministerstwa spojrzał w dół i poczuł kolejną falę mdłości. Potrząsnął przecząco głową.

- Nie! Skłamałbym, gdybym powiedział, że tak. Chociaż... Ogień naszego działka nie bardzo im zaszkodził.

- Spójrz na nie. - Cliff Davenport wskazał za siebie. Pilot właśnie odlatywał z pola śmierci. - Nawet umierając ustawiły się w szyku bojowym. Nie położyły się, żeby umrzeć. Wiedziały, że są dotknięte zarazą i tak, jak te, które zaatakowały most na Nene, opuszczały morze, żeby mścić się a potem umrzeć. Nie zdążyły, padły w czasie marszu!

Obaj mężczyźni pogrążeni w myślach znaleźli się po godzinie w hotelu. Grisedale zamówił whisky w barze i uważnie przyglądał się swemu towarzyszowi. Czekał na następną decyzję Cliffa.

- Znowu trzeba czekać - powiedział Davenport. - Kraby są w Wash i w zatoce Cardigan. Możemy albo zostać tutaj, albo jechać na drugi koniec kraju. Ani jedno, ani drugie niczego specjalnie nie zmieni. Możemy mieć tylko cichą nadzieję, że rak szybko wykończy je wszystkie. Przypomina mi się historia z myxomatosis u królików. Wielu bezwzględnych farmerów było zadowolonych, że choroba wytrzebi połowę żyjących na wolności królików, ale ostatecznie nikt na tym nie skorzystał. Nigdy nie wiadomo, czy takie epidemie również nie prowadzą do powstawania zmutowanych gatunków.

44

- Przerazające - zgodził się Grisedale. - Ale ciągle nie zdecydowaliśmy się, co mamy robić.

- Na razie zostaniemy tutaj. - Cliff powstrzymał się, żeby nie dodać "I poczekamy, aż coś się stanie". Poczuł dreszcze. Nagle olbrzymie kraby przeraziły go bardziej niż kiedykolwiek.

- Powiedziałem żonie, że spróbuję wrócić do domu na weekend.

- No cóż. Trudno przewidzieć. - Tamten próbował się uśmiechać. - Jeśli krabia choroba jest szybkim i skutecznym zabójcą, to wykończy je w dwa dni. Poczekamy 48 godzin. Jeśli nie dadzą o sobie znać, to przyjmujemy, że wszystkie skorupiaki padły i już się nie podniosą.

Davenport skinął głową. Och, ileż by on dał, żeby to założenie było słuszne i prawdziwe!

Mark Sand od ukończenia szkoły pracował w Slimbridge. Miał 22 lata i wielkie nadzieje na spełnienie ambicji. Dopóki otoczony był ze wszech stron ptakami (zajmował się nimi przez cały boży dzień) był szczęśliwy. Między nim a naturą istniała jakaś niewidzialna nić porozumienia. Zwierzęta ufaly mu, a on to uczucie odwzajemniał. Wiedział, że go potrzebowały. Fakt, że był zwyczajnym posługaczem i chłopcem do wszystkiego, wcale mu nie przeszkadzało. Większość czasu spędzał zwykle na karmieniu uwięzionych w klatkach i wolno latających gatunków. To odpowiadało mu najbardziej.

Wildfowl Trust było najlepiej usytuowanym i najpiękniejszym ptasim ogrodem w kraju. Prowadzili go

45

ludzie, którzy naprawdę znali i kochali ptaki. Mimo mało ważnej funkcji, Mark był dumny, że może z nimi pracować.

Tęsknił za jesienią. Chłodny wiatr na pewno przywieje tutaj wiele wędrujących po świecie ptaków. Na przykład szare dzikie gęsi wrócą do Severn Estuary, bo wiedzą, że tam jest bezpiecznie i nie ma klusowników, którzy tylko czekają na rozkrzyczane stada. Ale do jesieni były jeszcze dwa miesiące.

Każdego wieczora Mark chodził na wieżę obserwacyjną i spędzał błogie chwile zasłuchany w głosy przyrody. Nikt nie miał nic przeciwko temu, pod warunkiem, że szedł tam dopiero, kiedy zamknięto bramę ogrodu. Mark spędzał tam wiele godzin. To był jego świat.

Wieczór był taki sam jak każdy inny. Mark jak zwykle samotnie czuwał na szczycie drewnianej platformy i przyglądał się zachodzącemu, hojnie rozlewającemu złoto słońcu. Kuliki, które wróciły po wielu miesiącach z dalekich lasów, gdzie wychowywały dzieci, wykrzykiwały powitanie całej okolicy. Małe, nieopierzone jeszcze pisklęta stawały właśnie pierwsze kroki po zdradliwych wrzosowiskach.

Ciepły wietrzyk sprawił, że Mark Sand poczuł się senny. Jego myśli powróciły znowu do jesieni. Zobaczył lecące wysoko klucze gęsi, które potem nad Slimbridge schodziły niżej i jak liście opadały powoli niesione prądem powietrznym. Nagle wszystko zniknęło. W mroku zamajaczyły wielkie, czarne cienie.

Mark chwycił się gwałtownie drabiny bezpieczeństwa i w napięciu wpatrywał się w noc. Zwaliste
46

sylwetki sunęły jak armia, dumnie wznosząc szczypcę i czułki. Wynurzały się z wody.

KLIK-KLIK-KLIK.

Ogrodzenie zatrzęsło się i zważyło z trzaskiem pod ciężarem napastników. Wielki legion rozdzielił się teraz na dwa oddziały. Rozległ się przeraźliwy krzyk ptaków i dwie hawajskie gęsi zniknęły rozniesione w chmurę piór. Kaczki podrywały się do lotu, kwacząc i alarmując wszystkich dookoła. Kaczki krzyżówki, cyranki, świstuny - wszystkie ptaki znalazły się w śmiertelnym niebezpieczeństwie!

Mark Sand nie bał się o siebie. Ogarnęło go przerażenie, kiedy uświadomił sobie, jakie powstaną zniszczenia, jakie straty. Teraz w największym niebezpieczeństwie znajdują się ptaki nietoty, albo te, którym trudno wzbić się w powietrze. Na przykład łabędzie, szczególnie te najrzadziej spotykane - czarne.

Odwrócił się, podbiegł do drewnianych schodów i zatrzymał się. Pary czerwonych oczu patrzyły na niego z nienawiścią. Dwadzieścia wielkich krabów otaczało wieżę u podstawy. Czekają na niego. Armia intruzów z morza szykowała się teraz do kolejnej masakry.

Rozdarte ogrodzenie przypominało papierową wycinankę. Pióra, unoszone przez łagodny, wieczorny wiaterek, wirowały jak ciepłe płatki śniegu. Kraby były wściekłe. Szukały ludzi, jak dotąd bezskutecznie. Człowiek, którego wreszcie znalazły i otoczyły, schronił się wysoko ponad nimi.

Jeden z krabów przesunął się do przodu i wdrapał na pierwsze stopnie. Drewniana konstrukcja schodów

47

powolnym marszu w głąb błotnistego terenu. Były wyczerpane, nie ustawiły się w szyku, szły jak zdeorientowane, zagubione stado krów. Kilka krabów zawróciło w kierunku morza, a reszta niechętnie powlokła się pod prąd Severny.

- Mój Boże! - Głos Grisedale'a drżał, kiedy przypinał kolejną kolorową pinezkę do wielkiej ściennej mapy w tymczasowym sztabie przy Sutton Bridge. - Slimbridge zniszczone. Kilka krabów widziano już przy Severn. Co się do cholery, dzieje?

- Tworzy nam się pewien schemat - odpowiedział Cliff Davenport. - Nasza teoria staje się rzeczywistością. Kraby dostają się w głąb ładu przez główne rzeki. W środkowej części kraju wcale nie jest już bezpiecznie. Oczywiście wiemy, że wszystkie są zarażone i za jakiś czas padną. Są jednak na tyle wielkie i silne, że mogą żyć w niesionej wodzie o wiele dłużej niż zwyczajne kraby. Najpierw Wash, potem Nene, Barmouth, Wyspa Muszli, Kanał Bristol. Gdzie nastąpi kolejne uderzenie?

Gdzie? To pytanie stawiał sobie w tym pokoju każdy członek specjalnej grupy.

- Nie ma sensu, żebyśmy zostawiali tutaj - kontynuował Davenport. - Sztab umieszczony gdzieś na południu byłby lepszy.

- Na przykład Londyn?

- Na przykład - zgodził się profesor i przypomniał sobie obietnicę daną Pat. - Jak wiecie mój dom to w zasadzie laboratorium, w którym od lat pracuję nad krabami. Chciałbym tam przenieść nasze centrum obserwacyjne.

51

trzasnęła i rozpadła się na drzazgi, nie mogąc utrzymać ciężaru skorupiaka. Mark usłyszał wściekły syk i klekotanie szczypców. Kraby odsunęły się od wieży. Namyslały się? Nagle wszystkie naraz ruszyły, jakby pchnięte telepatyczną siłą. Mark Sand rzucił się w kierunku obserwatorium. Wiedział dokładnie, co się teraz stanie i był pewien, że to się krabom uda. Zamknął oczy, próbował odmówić modlitwę, ale nie mógł przestać myśleć o tych biednych, zmasakrowanych ptakach.

Pięćdziesięciotonowy taran wstrząsnął drewnianą konstrukcją. Słupy podtrzymujące trzasnęły i budynek przechylił się, ale nie zważył. Opierał się na jednym tylko wsporniku, ciągle jeszcze stojąc pionowo. Mark leżał oszołomiony na podłodze. Czekał. O, Boże! Niech to się wreszcie skończy i to szybko!

Wieża zaczęła się rozpadać, pojedyncze elementy uderzały w stojące na dole kraby.

KLIK-KLIK-KLIK.

Spadające drewno rozwścieczało bestie jeszcze bardziej. Grube deski pękały w olbrzymich szczypcach jak zapalki. Mark wyleciał jak z katapulty. Przekoziółkował. Nie mógł oddychać, próbował chwycić powietrze to nosem, to ustami. Żołądek podszedł mu do gardła, zupełnie tak samo jak kiedyś, gdy jeździł uwięziony w szybkiej windzie.

Zamknął oczy, napiął mięśnie. Wiedział, że za chwilę uderzy o ziemię. I to bardzo mocno! Domek obserwatorium spadł ze szczytu wieży i rozleciał się dopiero, uderzając o ziemię.

Krabie skorupy działały jak pancerz - duże kawałki drewna odbijały się od nich. Mark Sand nagle zdał

48

krabów i zsunął się po skorupie. Wiedział, że nie ma już nóg. Za nic nie chciał patrzeć na krwawe kikuty. Wielkie szczypcę chwyciły go za ramię i odciągnęły w tył. O, Boże! Smród był nie do zniesienia. Ostry, gryzący odór gnijącego cielska. Mark prawie nie mógł oddychać, myślał, że zwymiotuje.

Znowu go dorwały. Dwa z nich rzuciły się na niego, chwyciły za ramiona i zaczęły ciągnąć każdy w swoją stronę. Ciało Marka Sanda napięło się. Potężna siła rozdarła mięśnie, ścięgna i stawy. Mark zachowywał świadomość, jeszcze żył, był torturowany i masakrowany bez szansy na ratunek czy ucieczkę. Potwornie krzyczał.

Wreszcie go puściły. Potoczył się po zalanej krwią ziemi. Bezręki, beznogi, ociekający krwią korpus. O to właśnie im chodziło. Szczypcę chwyciły go przez za wystającą zębą przecinając je powoli. Miał wrażenie, że tonie. To okropne uczucie spowodowane było oczywiście zanurzeniem się w szkarłatnym, pochodzącym z jego własnego ciała płynie. Krztusił się nim, pluł. Strumień krwistych wymiocin poleciał prosto w gębę najbliższego skorupiaka. Mark zaśmiał się i wypluł jeszcze więcej krwi, kiedy tamten sycząc zaczął się wycofywać. - Weź jeszcze i to, ty pieprzony wielki skurwysynu!

Nie mógł dłużej wytrzymać. Życie szybko uciekało ze zmasakrowanego ciała. Kraby pochłaniały delikatne, porozdzierane

mięso. Potwory zapomniały zupełnie o uformowaniu się w karne oddziały bijąc się jeszcze o ostatnie ochłapy. Wreszcie ucztą się skończyła. Pozostałości zmyła woda. Kraby ruszyły w

50

powolnym marszu w głąb błotnistego terenu. Były wyczerpane, nie ustawiły się w szyku, szły jak zdeorientowane, zagubione stado krów. Kilka krabów zawróciło w kierunku morza, a reszta niechętnie powlokła się pod prąd Severny.

- Mój Boże! - Głos Grisedale'a drżał, kiedy przypinał kolejną kolorową pinezkę do wielkiej ściennej mapy w tymczasowym sztabie przy Sutton Bridge. - Slimbridge zniszczone. Kilka krabów widziano już przy Severn. Co się do cholery, dzieje?

- Tworzy nam się pewien schemat - odpowiedział Cliff Davenport. - Nasza teoria staje się rzeczywistością. Kraby dostają się w głąb ładu przez główne rzeki. W środkowej części kraju wcale nie jest już bezpiecznie. Oczywiście wiemy, że wszystkie są zarażone i za jakiś czas padną. Są jednak na tyle wielkie i silne, że mogą żyć w niesłonej wodzie o wiele dłużej niż zwyczajne kraby. Najpierw Wash, potem Nene, Barmouth, Wyspa Muszli, Kanał Bristol. Gdzie nastąpi kolejne uderzenie?

Gdzie? To pytanie stawał sobie w tym pokoju każdy członek specjalnej grupy.

- Nie ma sensu, żebyśmy zostawali tutaj - kontynuował Davenport. - Sztab umieszczony gdzieś na południu byłby lepszy.

- Na przykład Londyn?

- Na przykład - zgodził się profesor i przypomniał sobie obietnicę daną Pat. - Jak wiecie mój dom to w zasadzie laboratorium, w którym od lat pracuję nad krabami. Chciałbym tam przenieść nasze centrum obserwacyjne.

51

- To niezły pomysł. - Przedstawiciel Ministerstwa Spraw Wojskowych znowu spojrzął na mapę. - Teraz musimy zwrócić szczególną uwagę na rzeki i ujścia...

Elaine zaczynała żałować, że przyszła na to przyjęcie. Nie sądziła, że ludzie z tak zwanych wyższych sfer spotykają się na imprezach tylko w jednym celu...

Rex Astley-Mickleton nie należał do pruderyjnych, a w jego domu nigdy nie odbyła się drętwa, oficjalna potańcówka. Nie marnował czasu, kiedy rodzice wyjeżdżali na kosztowny weekend do Szwajcarii. Rex, dobrze wyglądający, grzeczny, miły młody człowiek zdawał sobie sprawę, że jest bohaterem snów wielu dziewczyn w okolicy. Wiedział, że marzą im się wspólne przejażdżki jego pięknym Bentleyem-kab-rioletem. Bywały takie szczęściary, którym udało się umówić z nim na spotkanie, ale to absolutnie nic nie znaczyło. Z reguły nie były zapraszane do domu. No, chyba, że ich rodzice mieli tak zwane powiązania. I pieniądze.

Elaine nie miała ani jednego, ani drugiego. Mieszkała w zwyczajnym piętrowym domku na obrzeżach miasta. Całość warta była około 40 tys. funtów, czyli jakąś jedną dziesiątą wartości rezydencji Astley-Mickletonów.

Elaine poświęciła naprawdę dużo czasu i energii na to, żeby odkryć datę urodzenia Rexa. Okazało się, że jest spod znaku skorpiona. To wiele tłumaczyło. Wiedziała co go najbardziej interesuje i była przygotowana na spełnienie wszystkich jego zachcianek. Nie

52

liczyła na stały związek z nim. Rex nigdy nie dopuszczał do takiej sytuacji. Jego życie było ciągłym pasmem podbojów i miłostek. Jeśli któraś z aktualnych pań serca i... rozporka Rexa okazała się niezłą, bo spełniła wszystkie oczekiwania lorda, miała szansę na następną randkę. Przyjaciele panicyzka byli dokładnie tacy sami. Pokolenie bogatych, rozpuszczonych, młodych uwodzicieli, wielkich snobów, bujających poza granicami społeczności. Ludzie ze średniozamożnej części miasta byli im bardzo nieprzychylni. Według Elaine, byli po prostu zazdrośni. Była pewna, że połowa kobiet z piętrowych, odrapanych, nieładnych domków na pewno przyszlaby tutaj i dała się przelecieć, gdyby tylko ją zaproszono.

Cały dom wyglądał, jakby przeszło po nim tornado. Piekielny bałagan. Elaine zmarszczyła nos. Uderzył ją ostry, kwaśny odór rozlanego piwa. Zobaczyła resztki jedzenia wdeptane w kosztowne dywany. Ktoś dokonał niezwyklej sztuki i wylał wino na ścianę tuż przy samym suficie. W ten sposób powstał zawity, kolorowy wzorek ani trochę nie przypominający pięknych deseni na tapecie. Elaine zastanawiała się, kto zabierze się do porządkowania tego burdelu. Na pewno nie zatrudnione przez rodziców Rexa sprzątaczkę, które rozniosłyby po całym mieście te sensacyjne informacje. Pewnie jutro Rex i jego przyjaciele zapomną o swojej godności i zaborą się do brudnej roboty osobiście.

Elaine poczuła mrowienie, kiedy Rex objął ją, a jego palce ześlizgnęły się po guzikach sukienki. Jego język zadrgał jej w uchu i poczuła coś bardzo twar-

53

dego i gorącego między pośladkami, kiedy przyciągnął ją do siebie.

- Idziemy się wykapać, maleńka - szepnął miękko. - Gwóźdź programu! Przyjęcie w świętych wodach rzeki Nene. Nie wolno mieć na sobie nawet skarpetek. Nic. Kontynuujemy tradycję mojego pradziadka. To były czasy! Jego orgietki trwały nieraz i tydzień.

- Ale ja nie umiem pływać. Wymówka brzmiała nieprzekonywująco.

- Nie będziesz musiała. - Zaśmiał się lubieżnie. - Idziemy nad małe jezioro w zakolu rzeki. Śliczne, czyste, nie więcej niż metr głębokie. A do tego dziś jest taka ciepła noc. Księżyc pięknie świeci...

Elaine zastanawiała się, dlaczego nie mogła zostać tutaj, w domu. Faceci chcieli mieć orgie, a dziewczyny były gotowe i chętne. Po co leżać taki kawał drogi i urządzać wodne imprezy, kiedy nikomu nie chciało się kapać? Myślała, że przecież można wykorzystać piękny, duży basen, który zachęcającą mienił się zielonkawą wodą. Ale takie były zwyczaje Rexa. Zabawy w basenie nie zadowalały. Ekstrawagancja była częścią jego wizerunku; wino chłodzone w rzece, czekające na niego i jego przyjaciół dziewczęta.

- Podobasz mi się od lat - mruknął. Zabawiał się teraz jej piersiami, gładząc brodawki. - Zawsze marzyłem o poznaniu ciebie.

Wiedziała, że na pewno nie mówił poważnie. To tylko nic nie znacząca część zabawy. Elaine myślała o czekających ich wodnych igraszkach. Nie podobało jej się to. Nigdy nie przepadała za kąpielami w rzece. Od dzieciństwa dostawała dreszczy na samą myśl o

54

tym. "Przecież można wleźć na jakieś paskudne, oślizgłe zwierzę, fraszkę czy żabę, i rozgnieść je. Brrr!" - pomyślała ze wstrętem.

- Nie ma się czego bać. - Całował płatek jej ucha i przyciskał ją do siebie. Czowała, jak bardzo się podniecił.

- Osobiście zadbam o ciebie i zagospodaruję każdą minutę spędzoną z tobą. Żaden z tych rozpustnych facetów nie zbliży się do ciebie. Dziś w nocy, Elaine, jesteś moja. I, kto wie? Może jutro i pojutrze też.

Starła się wierzyć w to co mówił. Wybrał ją z tłumu łaszących się samic i teraz tak bardzo pożądał. Elaine chciała to

wszystkim obwieścić. Niech zbiorą się dookoła, a ona i Rex będą się kochali na brzegu rzeki. I niech widzą! Niech im zazdroszczą! Chciała też usłyszeć ich szept: "Tak samo Sue Caterways dała sobie zrobić dziecko. Pamiętajcie?". Elaine była lekko zamroczona. Nie tylko ponczem, który co rusz dolewał jej Rex. Wiedziała, że jest zakochana i nawet chciała dać sobie zrobić dziecko. Gdyby z nim wpadła...

- W porządku. - Zachichotała. - Bawię się, w co tylko chcesz.

- Bosko! - Jeszcze raz mocno ją przytulił i odwrócił się w stronę towarzystwa zebranego w zatłoczonym pokoju. W jednym z ciemniejszych kątów orgietka już się rozpoczęła. Ustawione pod ścianą fotele podskakiwały pod kołującymi się, na pół nagimi ciałami. Charakterystyczne, nerwowe śmiešky dziewczyn podniecały pijanych chłopaków.

55

- No, ludzie! Zbieramy się i idziemy nad rzekę. Wszystkie ciuchy zostają tutaj. Wyprawą dowodzi Rex Astley-Mickleton. Dalej! Ruszamy!

Ktoś sprośnie zarechotał. Podtrzymywany przez dwie dziewczyny rudy chłopak zdejmował poszarpane, wymięte spodnie.

Reszta towarzystwa pozbywała się ubrań w szalonym tempie. Urządzali wyścigi, w rozbieraniu. Ciuchy fruwały rzucane byle gdzie. Goście dobierali się parami.

- Tony! - Nagi Rex Astley-Mickleton zwrócił się do okrągłutkiego, rumianego chłopaka. - Weź karton czerwonego sikacza.

Niech to diabli! Zrobimy imprezę z jajem!

Wyszli z domu dużą, rozkrzyczaną grupą. Kilkoro z nich z trudem utrzymywało się na nogach. Ostra, krótka trawa kłuła w boscie stopy. Przyglądający się z wysoka księżyc szeroko rozlewał srebrzyste światło, które sprawiało, że ich ciała błyszcząły. Jakże to było nierealne, jak fantastyczne! Wspaniały, erotyczny sen, z którego nikt nie chciał się obudzić.

Prowadzeni przez Rexa i Elaine, szli nad rzekę. Minęli odurzająco pachnącą łąkę i ruszyli dalej wąską, polną dróżką.

Elaine popatrzyła uważnie na Rexa. Jej wzrok ześlizgnął się po nagim ciele. "Och, co za pech!" - pomyślała widząc, że ten kształt, który przed chwilą tak dumnie wskazywał im drogę, teraz zupełnie oklapł i sflaczał. Miała cichą nadzieję, że wino nie będzie jedynym zwycięzcą tej dzikiej nocy.

Skotłowany tłum dwudziestu hulaków dotarł wreszcie do zalanej księżycowym światłem rzeki. Rosnące

56

przy brzegu, powykrywane wierzby rzucały niesamowite cienie na wodę. Nawet lekki wiaterek nie zakłócał panującej wokół ciszy. Wydawało się, że nie ma tu żadnych prądów, że cała rzeka jest martwa. Stawek, nad który przyszli, utworzony został przez główny prąd rzeczny..

Rex popchnął mocno Elaine. Z trudem zatrzymała się na brzegu, przy samej wodzie. Widać było, że i on jakoś nie miał ochoty się pluskać. Woda nie wyglądała tak zachęcająco, jak się spodziewali. Elaine próbowała nie myśleć o żabach i fraszkach czających się gdzieś w płytkiej, stojącej wodzie. Starła się opanować strach. Wiedziała, że wszystkie dziewczyny będą na nią dziś patrzyły i nienawidziły jej. Zazdroszczą, że jest dziewczyną Rexa Astleya-Mickletona.

Miała zamiar wyegzekwować to, co powiedział. Tak sobie postanowiła. Pomyślała, że trzeba najpierw przeżyć dzisiejszą noc i uatrakcyjnić ją jak tylko się da. Dziś liczyło się wszystko.

Przeszły ją dreszcze. Woda była przenikliwie zimna. Dziewczyny trzymały się raczej z daleka, a przynajmniej próbowały, ale rozochoceni mężczyźni wciągali je siłą do wody. Elaine trzymała się Rexa. Starła się nie myśleć na czym mogłaby się poślizgnąć. Rex całował jej szyję, gładził piersi, brzuch, plecy. Zsuwał dłonie coraz niżej. Elaine rozchyliła chętnie uda. Czowała wilgość w środku, nie spowodowaną bynajmniej pluskaniem w rzece.

- Mam nadzieję, że nie jesteś dziewicą, co? - zadyszał jej do ucha.

- Sprawdź. - Podawanie się na tacy nie leżało w jej zwyczajach. Miał sam do wszystkiego dojść.

57

- Może wróciłibyśmy na brzeg. Co ty na to? - mruknął i z całej siły wcisnął palec do zwilgotniałego wnętrza dziewczyny. - Nie jest wcale tak ciepło, jak można było przypuszczać.

Elaine odetchnęła z ulgą. Widziała, że nikogo nie zachwyliła kąpiel w zimnej wodzie. Rex znowu był podniecony. Duży cień fallicznego kształtu tańczył na ciemnej tafli stawu.

Nagle ktoś przeraźliwie wrzasnął. Elaine pomyślała, że pewnie gwałcą którąś z dziewcząt. Po chwili jednak wszyscy wrzeszczeli zgodnym chórem!

Rex odwrócił się i prawie stracił równowagę. Olbrzymia fala pchnęła Elaine do tyłu. Dziewczyna upadając zobaczyła jakieś niesamowite, ogromne stworzenie, wychodzące właśnie z rzeki. Miało ogromne szczytce i skorupę dużo większą od stołu w salonie w rezydencji. Najgorsze były oczy, małe, czerwone i płonące jak rozżarzone węgle. Elaine zanurzyła się. Zmącona błotnista woda zamknęła się nad jej głową. Elaine zakrzuszyła się. Bardzo się bała! Wreszcie wypłynęła na powierzchnię, kaszląc i plując.

Krab dotarł do nich z niewiarygodną szybkością. Jego drogę znaczyły wielkie wiry tworzące się w stojącej wodzie. Łapał nagich amatorów kąpeli z taką łatwością jak odławia się krewetki w stawach hodowlanych. Jedną z dziewcząt przeciął na pół.

Poszarpane ciało spadło do wody i zabarwiło ją szkarłatem buchającej z ran krwi. Inna panienka, po jednym błyskawicznym uderzeniu straciła piękną, wymalowaną twarz. Zdarta i krwawiąca skóra spadła na ziemię.

Rex Astley-Mickleton myślał tylko o jednym. Rato-

58

wał siebie. Elaine chwyciła go za rękę, kiedy przepychał się koło niej, ale on powalił ją jednym ciosem pięści. Brakowało mu już tylko metra do brzegu, kiedy skorupiak dosięgnął go, wybierając wśród tłumu. Szczytce zacisnęły się dookoła lewej kostki i odcięły ją z gracją nożyc do metalu. Rex wrzeszczał! K-rab chwycił go za kikut, podniósł i z całej siły cisnął na płaski, leżący niżej okrusz skały. Rozległ się okropny chrzęst łamanych kości. Rex trząsał się, krwawił i żałował, że nie zginął na miejscu. Elaine już dobiegała do w miarę bezpiecznego miejsca, kiedy poczuła, że coś ją ściąga z łagodnie wznoszącego się brzegu. Wokół talii zaciskały się kleszcze. Zgniecione wnętrzości podeszły jej do gardła i zaczęła się dusić. Opadła na brzeg, potoczyła się po trawie i przez jedną króciutką chwilę wydawało się jej, że jest uratowana, że jest już bezpieczna. Dopóki nie zobaczyła, że jej ciało od pępka w dół nie istnieje.

Szarpnęła się, poczuła, że wierzga nogami. Tymczasem tam, gdzie przed chwilą czuła ogromne podniecenie, buchały fontanny krwi, która błyskała w srebrnej poświacie księżycy i oślepiła Elaine niesamowitym światłem. Było jej słabo, krab wirował jak karuzela. Otwierał się przed nią bezdenne, mający ją za chwilę pochłoniąć tunel.

Jeszcze tylko pięciu ludzi pozostało przy życiu. Cztery dziewczyny i Tony, mały, okrągłutki chłopak. Wszyscy wycofali się na środek rzeki, kiedy droga ucieczki została odcięta. Trzymali się razem i próbowali wydostać się z poczerwieniałej wody,

sięgającej im teraz do piersi. Mieli zamiar dostać się na przeciw-
59

legły brzeg i ukryć się na małej wysepce gęsto porośniętej wierzbami. Jednak kiedy krab ich dojrzał, wiedzieli, że już wszystko skończone, że nie mają szans.

Krab płynął w ich stronę tuż pod powierzchnią wody i jak hipopotam wydmuchiwał powietrze tworząc na powierzchni wielkie, gęste, czerwone bąble. Korpusy i pojedyncze kończyny unosiły się na wodzie. Krab nie zwracał na nie najmniejszej uwagi, bo część jego zdobyczy jeszcze żyła. Widział przyszłe ofiary szamoczące się, uciekające w różne strony, rozbryzgujące wodę. Słyszał ich przerażone krzyki - najsłodsza dla jego uszu muzykę. Nie było po co się śpieszyć. Do niego należał ich ziemski czas.

Tony próbował wydusić z siebie jakieś słowa. Spomiędzy drżących warg z trudem wydostawały się ledwo słyszalne i niezrozumiałe wyrazy.

- Brzeg... wycofujcie się... potem płyncie... nie może dopaść nas wszystkich...

Pięcioro przerażonych ludzi usiłowało cofnąć się;

niespodziewana płycizna, coś w rodzaju półki spływającej koryto rzeki, pozwoliła im na swobodne u-trzymanie się na wodzie. Wszyscy szli po płyciznie, to próbowali płynąć rozpaczliwie machając rękami i nogami. Chwila nadziei została nagle przerwana. Przed nimi ni stąd, ni zowąd powstała olbrzymia, pieniaca się fala i dwoje wielkich, ostrych jak brzytwy szczypiec wynurzyło się ponad powierzchnię. Jedna z dziewcząt została natychmiast pozbawiona głowy, druga błyskawicznie wypatroszona, a krab-morderca nie zatrzymując się ani na chwilę nad swoimi ofiarami

60

ruszył za Tonym. W oszołomionym mózgu ściganego chłopaka przewinęła się myśl, że ten olbrzymi skorupiak nie mógł okrążyć ich w tak krótkim czasie i zaatakować. Zrozumiał. Kraby były dwa!

Wszystko zakończyło się po kilkunastu sekundach. Zmasakrowane ciała pływały w rzece jak śmieci, na powleczonej śmiercią twarzach malował się bezgraniczny, nieopisany strach. Dopiero po zakończonej uczcie oba stworzenia zwróciły się przeciw sobie. Syczały złowrogo, okrążały się ostrożnie. Przedstawiciele tego samego gatunku mutantów nie znosili się w tym samym, tak oddalonym od słonej wody miejscu. Jedna bestia rozpoczęła polowanie, wytropiła i zabiła ofiary, a druga chciała upolowane jedzenie ukraść.

Mylący atak miał sprawdzić szybkość i siłę przeciwnika. Wyraźnie miały do siebie szacunek, ale nawet cień strachu nie przemknął w małych, czerwonych oczach. Szczypcy zazgrzytały i zadudniły na pancernych skorupach. Kraby cofnęły się, znowu zaatakowały. Zwarły ze sobą, gryzły się i rozdzierały w straszliwym tańcu nienawiści.

Woda w rzece gęstniała i pociemniała od krwi, a dwa olbrzymie kraby w śmiertelnym uścisku zanurzyły się, ale nie rozczepiły. Wysysały sobie nawzajem krew, jak wampiry, chcące zmusić przeciwnika do poddania się.

Po którymś z kolei zanurzeniu woda ukazała zwycięzcę. Wysunął się z wysiłkiem na płytszą wodę i ruszył do brzegu. Kilka ludzkich kończyn zaplątało się w kępę trzciny, ale krab zignorował to. Oczy nie lśniły mu już dawnym, złowieszczym blaskiem.

Tilił się w nich tylko przytłumiony, błydy ogień życia. Był

61

nie na coś czekał.

Księżyc schował się za horyzontem. Niebo rozjaśniało się powoli. Szare światło letniego poranka wypełniło horyzont ukazując skutki koszarnej nocy:

ludzkie szczątki, zepchnięte do brzegów rzeki, gromadziły się pod zwieszającymi się z brzegu roślinami. Martwy krab dryfował tuż pod powierzchnią wody. Drugi jeszcze żył. Co jakiś czas otwierał i zamykał oczy.

Padlina ściągnęła w te okolice wrony, które na pobliskim drzewie czekały na odpowiedni moment i nerwowo krakały. Niektóre z nich podrywały się co chwilę i nadlatywały nad dryfujące szczątki, ale żadna nie ośmieliła się usiąść na ziemi i zabrać się do krwistych kawałków. Wiedziały, że wielki krab jeszcze żyje.

Słońce weszło wysoko na niebo i zaczęło już porządnie przygrzewać, kiedy płynającą przy brzegu rzeki flotę ludzkich szczątków opadły chmury czarnych much.

Koło południa krab wreszcie zdechł. Jediną oznaką śmierci było to, że jego oczy w pewnym momencie zamknęły się i już więcej nie otworzyły. Wrony poczuły śmierć i rzuciły się w dół.

W ciągu kilku minut rozdziobały pływające szczątki ofiar.

Rozdział czwarty

Jeszcze jedna chorągiewka przybyła na ściennej mapie w laboratorium Cliffa Davenporta. Biolog westchnął z nadzieją, że przynajmniej na razie nie będzie musiał odbierać telefonu z kolejnymi tragicznymi informacjami.

Skrzypnęły drzwi i do pokoju weszła Pat z kubkiem gorącej kawy w dłoniach.

- Spróbuj wreszcie odpocząć. - Zajrzała mu w oczy i zobaczyła potworne zmęczenie. - Ani sobie, ani nikomu innemu nie pomagasz pracując 24 godziny na dobę.

- Postaram się odsapnąć trochę później. - Uśmiechnął się do niej. Ale udało mi się dotrzymać obietnicy. Chyba się ze mną zgodzisz?

- O, tak - powiedziała. - Rzeczywiście wrócisz przed weekendem. Nie mogę zaprzeczyć. Faktem jest też i to, że pracujesz dzień i noc. No, ale sądzę, że powinnam mieć cieszyć się małymi przyjemnościami.

- Jak na razie, to najpoważniejszy i najstraszniejszy atak krabów. - Wskazał chorągiewkę dopiero co wpiętą w mapę. - Dwa kraby przeszły w górę Nene, dokładnie w sam środek Northamptonshire, prawie do centrum Anglii! Dalej nie mogły zająć, choćby i chciały! Przy blasku księżycy zabiły wszystkich uczestników kąpeli, a potem pozabijały się nawzajem,

63

walcząc o resztki. Oba naszpikowane były tymi nowotworowymi naroślami. Wiemy, że gdzieś w Severnie może ich być więcej, ale rzeka jest długa, szeroka i głęboka, i może ukryć je tak dobrze jak ocean. Ewentualnie - mogą tam zdechnąć, ale pozostaje ciągle pytanie, gdzie uderzą po raz ostatni. Bo uderzą na pewno. Pat... - Zawahał się. - chyba będę musiał wyjechać jeszcze raz na krótko, wszystko zależy...

- Domyślam się... - Odwróciła się gwałtownie. Jej głos stał się bardziej histeryczny. - Od chwili ślubu nasze życie jest

podporządkowane tym cholernym krabom! Mam nadzieję, że tym razem zdechną wszystkie po kolei i będzie to powolna śmierć. Może wtedy wreszcie znajdziemy spokój. No, chyba, że zajmiesz się innymi istotami, które będziesz ściągał po całej ziemi!

Trzasnęły drzwi. Cliff westchnął i sięgnął po kawę. Nerwy Pat były napięte do granic wytrzymałości. Nie miał ochoty zostawiać jej samej.

Głośnie zadzwonił telefon.

- Pięć martwych krabów, Clifford. - Grisedale nie tracił czasu na zbędne wstępy. - A teraz wiadomość bijąca wszystkie inne na głowę. Wiesz gdzie? Rzeka Leam, niedaleko uzdrowiska Leamington.

- O mój Boże! - Davenport oglądał na mapie całą trasę od morza do Wash. Jedna droga wodna przechodzi w drugą. Nene płynie w górę aż do Wedeon, potem Beck... Southam... i Leam!

- Nie do wiary! Te diabły chcą chyba odejść jak najdalej od morza. Nie ma żadnych śladów tych przyczajonych w Severnie? 64

- Jeszcze nie, ale obserwujemy rzekę dzień i noc.

- Czy te kraby z Leamington też były zarażone?

- Prawie zjedzone przez raczysko! Podobno widziano ich dużo w okolicach Wyspy Muszli. Kryją się gdzieś, cholery, w zatoce. Helikopter ochrony wybrzeża wypatrzył je podczas odpływu. Potem przeniosły się w głąb morza. Jednak po ostatnich wydarzeniach władze są zdecydowane przetrząsnąć na wyspę wszystkie siły wojskowe, bo jak nam się zdaje tam odbędzie się główna bitwa.

- Nie byłbym taki pewien. - Cliff ciągle wpatrywał się w mapę. Usilnie myślał nad sformułowaniem jakichś sensownych wniosków.

- Co o tym sądzisz?

- Wiesz tak samo dobrze, jak ja, Grisedale, że te mutanty są zdolne do myślenia. Ich wyprawy nie są przypadkowymi, chaotycznymi napadami na ludzi. To wszystko jest zaplanowane. Przypuśćmy, że kraby w zatoce Cardigan chciały być zauważone. Wiemy z poprzednich spotkań z nimi, że nie pokazują się chętnie w takich ilościach i sytuacjach. Jeżeli ktoś je widział, to tylko w drodze do celu lub w drodze powrotnej. Rozumiesz, o co mi chodzi?

- Być może jest to przemyślana akcja, żeby zmylić trop. Kiedy my zmobilizujemy wszystkie siły nad zatoką Cardigan, one wszystkimi siłami uderzą w zupełnie innym miejscu.

- Dokładnie tak.

- No, cóż, obawiam się jednak, że ministerstwo tego nie zrozumie. Nie przyjmą do wiadomości faktu,

65

że kraby są myślącym przeciwnikiem. W żaden sposób nie dadzą się o tym przekonać. Wyślą wojsko gdzieś w okolice Barmouth i Wyspy Muszli, i wycofają się wyłącznie w przypadku jakiegoś poważniejszego zdarzenia w innym miejscu. Przykro mi, Clifford, ja w pełni się z tobą zgadzam, ale nic nie mogę zrobić.

- Będę czuwał - odpowiedział Davenport. - Dzwoni do mnie, kiedy tylko będziesz mnie potrzebował. O każdej porze dnia i nocy. Odłożył słuchawkę i zaczął się uważnie wpatrywać w zaznaczone na mapie miejsca, gdzie pojawiły się kraby. To wszystko przypominało trochę grę w dziecienny bilard. Wiedział, że nikt nie zdola przewidzieć kiedy i gdzie ponownie zaatakują. Nie było na nie sposobu. Zgadywanie niesło ze sobą ryzyko i pochłaniało wiele czasu. Jednak należało spodziewać się, że kraby wyjdą wkrótce na brzeg.

W londyńskiej stoczni i porcie panował stały ruch. Była to najbardziej zatłoczona droga morska i handlowa na świecie, łącząca wielkie doki Millwall z dokami Linii Zachodnioindyjskich. To dzięki handlowi z Indiami Brytania rozwinęła się i szybko przejęła koronę światowego imperium.

Nieustannie pracujący port stałby się bezużyteczny, gdyby nie wielka elektrownia usytuowana powyżej Greenwich Pier. Jej znaczenie dla wschodnich dzielnic miasta, całego portu i doków było ogromne. Chroniły ją oddziały specjalne, które miały zapobiec próbom ataków terrorystycznych. To samo dotyczyło również rurowciągów i innych tego typu obiektów nad Tamizą.

66

Ochrona ich była czynnością rutynową, ale nie wolno było sobie pozwolić na osłabienie czujności.

Bob Stannard w końcu dostosował się do życia na nocnej zmianie. Przyzwyczył się do faktu, że ostatnie dziesięć lat przed emeryturą właśnie tak będzie wyglądać i że nic się nie zmieni. Odbija się kartę na zegarze o ósmej, a wieczorem patroluje sektor co godzinę i raportuje się do centralnego biura ochrony, potem dwie przerwy na herbatę o północy i o 4 rano.

Upragniony stempel zegara o 8 rano kończy pracę. Nie ma żadnych kolegów, tylko numery, zmieniające się z przerażającą regularnością. Ale tak jak pilnuje się elektrowni, tak trzeba pilnować własnego nosa. Bob Stannard dostosował się do tego.

Monotonie rozpraszało jedynie nocne życie na rzece. Zawsze znajdował tyle czasu, żeby stanąć i obserwować co się dzieje.

Również dzisiaj stał naprzeciwko metalowego ogrodzenia i śledził wzrokiem ruch wody. Przypominał mu ludzkie życie, które

płynie i płynie, a łodzi i ptaki to tylko chwilowi goście. Przychodzą i odchodzą. Tylko Tamiza jest nieśmiertelna i wieczna.

Patrolowa łódź policyjna płynęła pod prąd. Tak jak on, załoga miała do wykonania rutynową, mechaniczną pracę. Chronili ludzi

- to było ich zadanie. Zabawne, że ten łajdaki świat zapewnia ludziom tyle pracy. Gdyby nie było przestępstw, nie trzeba by

było pilnować porządku, używać siły wobec tych, którzy go zakłócają. Nie byłyby potrzebne żadne religie, które tak naprawdę

osiągały te same efekty co prawo wojskowe. Gdyby przekonać masę, że lepiej być dobrze wychowanym, uczciwym

obywatelem, wygra-

67

łoby się najważniejszą bitwę. W gruncie rzeczy, duchowni są policjantami.

Bob Stannard zboczył ze swego rewiru. Coś dziwnego działo się z łodzią patrolową. Stała w miejscu, zupełnie tak, jakby silniki pracowały całą mocą i walczyły z silnym prądem, żeby móc płynąć dalej. Załoga biegła nerwowo po pokładzie, co chwila spoglądając do wody tak, jakby przyczyna ich postoju, pochodziła właśnie stamtąd. Nagle łódź przechylała się gwałtownie.

Dziób powędrował wysoko do góry, a rufa zniknęła pod wodą. Ludzie zsuwali się po pokładzie i wpadali do wody.

Stannard stał jak skamieniały. To wszystko było tak niewiarygodne, że nie był w stanie się ruszyć. Koszmar na rzece

zahipnotyzował go. Nie wiedział, co się z nim dzieje, czuł tylko okropną suchość w ustach i ściskanie w żołądku.

Łódź patrolowa zniknęła. Tak po prostu. W jednej chwili została wyrzucona pionowo w powietrze, w następnej sekundzie - już

nie istniała. Bob szukał wzrokiem marynarzy płynących wplaw do brzegu. Niczego takiego nie zauważył! Tylko pęcherze

powietrza na spienionej, bulgoczącej wodzie.

Zawyły syreny. Ruch przepływających rzekę jednostek został zahamowany. Załoga starego, odrapanego cargowca

odwiązywała pasy ratunkowe. Nadszedł czas, kiedy wszyscy ludzie na rzece jednoczą się w ratowaniu życia. Nagle coś - jak wielka fala przyptykowa - uderzyło w Greenwich Reach. Ściana błotnistej, brązowej wody spadła na łodzie cumujące w pobliżu.

Mniejsze jednostki odrywały się od nabrzeża, większe miały się, jak żywe stworzenia na uwięzi, rzucane o keje. Ludzie wyrzucani siłą uderzenia za burzę znikali w spienionej fali. Utworzył się potężny wir, z którego zaczęły wylaniać się kraby. Olbrzymia armia przepychających się stworzeń. Każde chciało jak najlepszego miejsca, żeby jak najszybciej użyć swych potężnych szczypców, jak najszybciej rozpocząć walkę.

Bob Stannard wrósł w ziemię z przerażenia. Błotnista maź prysnęła mu w twarz. Widział idące setkami kraby, podobne do olbrzymich, włochatych, żądnych krwi tarantuli.

Metalowe ogrodzenie rozpadło się. Wyrzucone wysoko w górę potężnym machnięciem, sypało tysiącami iskier z zerwanych przewodów wysokiego napięcia. Stannard wiedział, że to wszystko spadnie na niego, ale nie mógł się ruszyć. Poczul uderzenie. Siatka jak wąż boa owijała się wokół jego ciała, zaciskając bezlitosne sploty. Mężczyzna zaczął krzyczeć. Był uwięziony, nie mógł się ruszyć. Znalazł się w potrzasku, dokładnie na drodze nacierającej armii.

KLIK-KLIK-KLIK.

O, Boże! Olbrzymie kraby przechodziły po nim, wdeptywały w ziemię siatkę. Metalowe pręty i zęby drutu kolczastego wbijały się, rozrywały, cięły, powoli zagłębiając się w jego ciało. Krzyknął znowu, kiedy pękły żebra. Poczul w ustach krew. Kraby szły jeden przy drugim. Było ich tak dużo! I ten okropny smród!

Bod dusił się, wymiotował nie mogąc znieść odoru. Jedyną rzeczą, jaka uchroniła Boba przed wdeptaniem w ziemię, była ta siatka, która stała się też

69

pułapką. Była naprawdę mocna i wytrzymała ten niekończący się strumień idących po niej ohydnych stworzeń. Gdzieś dalej ludzie biegali, krzyczeli, próbowali zejść krabom z drogi.

Budynki rozszypywały się w chmurach pyłu, wieże ciśnień padały jak podcięte drzewa, miażdżone przez ogromną siłę. Wszędzie tam, gdzie jeszcze przed chwilą paliło się pomarańczowe światło, panowała nieprzenikniona ciemność. Kraby niszczyły wszystkie instalacje elektryczne, jakby nie chciały, by cokolwiek było świadkiem ich ataku i zniszczeń, jakie powodowały.

Elektrownia Creenwich wyleciała w powietrze, tak jak wybucha wulkan, ale zamiast lawy posypały się cegły i pył. Przerazające lawiny pokryły najbliższą okolicę dziesiątkami ludzkich i krabich szczątków, rozzerwanych, zmiażdżonych przez lecące z nieba elementy konstrukcji elektrowni.

Każdy z tych krabów, które zginęły, był zastępowany następnym, wychodzącym z wody. Wychodziły z Tamizy w potwornym, upiornym szyku, regularnie i pewnie. Zupełnie tak, jakby każdy pluton miał z góry naznaczony cel.

Rzeka została zdobyta. Siłownia, która pompowała życie do East Endu była zniszczona. Przestała istnieć.

Już nic nie mogło ich zatrzymać! Rozwijały szyki w ciemności, widząc wszystko swoimi czerwonymi oczami i niszczyły, masakrowały każdą przeszkodę na swojej drodze. To były manewry zakrojone na wielką skalę, miały na celu zniszczenie wszystkiego, co rozciągało się od Creek Road, aż do Depford, położonego po południowej stronie Tamizy.

70

Oddział samochodów strażackich skręcał w Ferry Road. Wyły syreny, a ostre światła rozświetlały mrok. Samochody skierowały się najpierw do Barrel Wharfi Grosvenor Wharf.

Nagle potworny pisk opon hamujących pojazdów zagłuszył jazgot syren. Pierwszy wóz strażacki uderzył z całej siły w szereg idących krabów. Samochody wpadały jeden na drugi, nie mogąc wyhamować. Wielu strażaków wypadło na drogę. Mieli szczęście. Zginęli natychmiast.

Skorupiaki atakowały z niesamowitą precyzją. Szczypce trzaskały, cięły, rozrywały. Żaden z krabów nie tracił czasu na pożeranie taniego łupu. Później też będzie go pod dostatkiem. Najpierw trzeba zająć się zdobyciem imperium człowieka. Uzbrojone wozy docierały do miejsca tragedii. Zwielokrotnione siły pogotowia ratunkowego śpieszyły w kierunku Trafalgar Road, gdzie zaczęto budować zapory i barykady. W okolicach skrzyżowania Romney Road i Park Rów także podjęto walkę z krabami, która zakończyła się śmiercią wielu osób.

Ogień moździerzowy powstrzymał na chwilę potwory. Klekotanie na moment umilkło. Wreszcie kraby ruszyły na Szkołę Królewskiej Marynarki Wojennej. Żołnierze wycofywali się zasłaniając się ogniem z karabinów. Wiedzieli, że opór nie ma sensu. Dowódca też nie miał nadziei na ratunek. Nic nie było w stanie rozwalić tych potworów. Nic, poza głowicą atomową. Mollie Stannard nigdy nie przyzwyczała się do samotnie spędzanych nocy. Ostatnio w ogóle nie

71

mogła zasnąć i nie wysilała się, żeby pójść na górę i położyć się do łóżka.

Tapczan we frontowym pokoju ich domu, w Hes-perus Crescent, był tak samo dobrym miejscem do męczącego przewracania się z boku na bok. W najlepszym wypadku mogła liczyć na kilka godzin nerwowego snu.

Bob wcale nie musiał pracować w elektrowni. W ogóle nie musieli mieszkać na Wyspie Psów. Przerazało ją to, że Bob nie dbał o godziny pracy ani warunki, dla niego najważniejsza była ochrona dóbr społecznych.

Na początku Mollie próbowała brać tabletki nasenne. Przez jakiś czas spała mocno i dobrze, a potem nagle budziła się i nie mogła usnąć. Kiedy trzeba było wstawać, bo Bob wracał z pracy, zapadała w poranną drzemkę.

Teraz Mollie ułożyła się jak najwygodniej na tapczanie i próbowała zasnąć. Ostatnio nie włączała nawet telewizora. Od rana do nocy pokazywano tylko kraby, okropne zdjęcia trupów i sceny straszliwej rzezi. Nie chciała oglądać tych wszystkich potworności. Wystarczająco okropne było pokazanie rezerwatu ptaków, który po przejściu krabów wyglądał jak fabryka pierza. Wszędzie rozszarpane ptasie trupy. Naprawdę, trudno jej było pogodzić się z tym, że w trakcie oglądania komedii albo ulubionego serialu przerywa się projekcją, żeby nadać wstrząsające relacje z miejsc kolejnych ataków krabów.

"Olbrzymie kraby znowu zaatakowały! Lista ofiar na razie nie jest znana. Nasz reporter jest na miejscu

72

tej straszliwej katastrofy i przekaże państwu w bezpośredniej relacji sfilmowane miejsca..."

Mollie Stannard próbowała zapomnieć o krabach i ich krwawych jatkach. Nie wzruszały jej reportaże; to wszystko było przecież tak odległe jak Kambodża, albo coś jeszcze innego.

Wieczór był gorący i duszny, więc otworzyła okno w kuchni. W myśli zanotowała, że trzeba je będzie zamknąć przed zapadnięciem nocy. Zabrała się do jakichś drobnych domowych prac. Ukroiła chleb na kanapki dla Boba na następną noc i włożyła go do lodówki. Jedna rzecz była całkiem niezła, jeśli chodzi o pracę Boba - miał wolne piątki i zawsze robił zakupy.

Mollie nienawidziła robienia zakupów. W ogóle bardzo nie lubiła wychodzić z domu. Lęk przestrzeni? Można to i tak nazwać. Ale to nie była choroba, raczej bardzo silne przywiązanie do domu.

Wróciła do salonu i zamknęła drzwi. Usiadła na starej sofie, położyła się i zamknęła oczy. Była dziwnie zdenerwowana. Bardziej niż zwykle. Zastanawiała się, że może powinna jednak przekonać Boba, żeby znalazł pracę gdzie indziej i wtedy wynieśliby się stąd do wszystkich diabłów. Gdyby umiejętnie zagrała na jego uczuciach, zwracając mu uwagę na jej lęk przestrzeni, to może zdałby sobie sprawę, że pozostawianie jej samej w domu potęguje chorobę. Przecież mógł coś zrobić w tej sprawie.

Zerwała się. Wpatrywała się w swoje odbicie w lustrze na biurku. Miała już tego dosyć. Widziała tylko postarzałą twarz, wyglądającą raczej na sześćdziesiątkę niż pięćdziesiątkę, z podkrążonymi oczami,

73

bardzo posiwiiałymi włosami, pożółkłą i zwiotczalą skórą. Oburzyła się. Małutki głos w środku ostatnio wypływał tylko spienione obelgi pod jej adresem. Inna rzecz, że to była niestety prawda! Mollie Stannard nagle zachciało się zapalić papierosa.

Ostatniego wypaliła po południu i teraz musiała czekać, aż wróci Bob i przyniesie gazety i papierosy.

Z zewnątrz dochodził okropny zapach, a właściwie smród rozkładających się roślin, śniętych ryb i Bóg wie czego jeszcze. Wszystkiemu była winna pogoda. Przez cały czas upał lał się z nieba i nawet najmniejszy powiew wiatru nie ożywił atmosfery. Postanowiła zamknąć okno.

Szła do kuchni, kiedy usłyszała hałas. Jakiś dziwny, ryczący dźwięk, jakby tornado, za którym płynie ściana wody. Stała przez chwilę bez ruchu. Czowała narastający strach. Słuchała. Nagle poraziła ją okropna myśl. Kiedyś czytała książkę (to musiało być na pewno dość dawno temu, bo ostatnio jakoś nie potrafiła się skupić nad żadną powieścią) o olbrzymiej fali, która przyplęnęła w górę Tamizy i zalała Londyn. Ludzie mówili, że coś takiego jest zupełnie możliwe. Strach, który popchnął ją z całej siły w kierunku okna w kuchni, kazał zatrzaskać jej okno. Ale nie doszła do niego. Była ledwo w pół drogi do kuchni, kiedy w całym domu zgasły światła, pogrążając wszystko w ciemności. Okno było teraz tylko szarym kwadratem na czarnym tle. Mollie z przerażeniem stwierdziła, że na dworze musi być ciemno już od dłuższego czasu. Nawet tego nie zauważyła, gapiała się bezmyślnie w swoje odbicie w lustrze dłużej, niż jej się wydawało.

74

O, Boże, fala... na pewno dostanie się tutaj, pomyślała. Gorączkowo szarpała się z oknem, wreszcie mocno nim trzasnęła. Szkło rozsypało się po pokoju fontanną kryształków. Dźwięczący hałas mówił: "Nie możesz już powstrzymać fali przyplętywowej, Mollie. Nic nie możesz już zrobić. Szyba jest zbita".

Ryk wody zagłuszył inny, jeszcze bardziej przerażający dźwięk. Dudnienie było głośniejsze z każdą minutą, aż wreszcie stało się ogłuszającym łomotem. Mollie Stannard cofnęła się. Rękami zatkała uszy, ale bez rezultatu. Przypomniało jej się dzieciństwo spędzone w strachu, na ucieczkach przed bombardowaniem i chowaniu się w dusznych schronach. Przypominał jej się zapach sukni matki, kiedy przerażona hukami ukrywała się w jej fałdach i ciemność tamtej nocy, kiedy Londyn został prawie zmieciony z powierzchni ziemi przez niemieckie bomby. Krzyk przerażenia zawisł pod niskim sufitem schronu, gdy dowiedzieli się, że jedna z bomb trafiła w wyciąg wentylacyjny sąsiedniej kryjówki, grzebiąc setki ludzi w jej gruzach. A podobno miały to być najbezpieczniejsze w czasie bombardowań miejsca.

Setki dźwięków wypełniły jej oszałały ze strachu umysł. Budynek jak domki z kart rozpadały się, nie milkił grzechot karabinów maszynowych.

KLIK-KLIK-KLIK.

Krzyki na ulicach, przerażenie, śmierć. Ile krwi, ile rannych i trupów. Wiedziała, co się stało. Nadeszło to, co miało nadejść, co było nieuchybne, nieuchronne. "Rosjanie rozpętali trzecią wojnę światową, wysadza-

75

jąc Londyn w powietrze. Wszyscy zginą. Na pewno" - myślała z przerażeniem.

Mollie upadła na podłogę i poczuła wibrację. Ziemia trzęsła się, dom drżał. Mógł się zawalić w każdej chwili. Przestała ją to już obchodzić, nie miała po co żyć. Jedynym pocieszeniem było to, że umrze w swoim własnym domu, a nie w jakimś dusznym, zatłoczonym schronie przeciwlotniczym. Za nic w świecie nie wyszłaby teraz z domu.

Czas płynął. Wszędzie słychać było wycie syren, karetki pogotowia jeździły w kółko, zbierając z ulic umierających i zmarłych. Ogień z broni maszynowej nie milkił nawet na chwilę. Rosjanie musieli zaatakować wszystkimi swoimi siłami. Może nawet zrzucili wielką bombę. Tyle razy Mollie słyszała, że oni są gotowi na wszystko, żeby tylko opanować zachodni świat.

Mollie leżała bez ruchu na podłodze i wsłuchiwała się w szybkie bicie własnego serca. Im strzelanina była silniejsza, tym jej serce waliło szybciej. Czowała potworny uścisk, jakby żelazna obręcz zaciskała się wokół klatki piersiowej. Angina pectoris. Wiedziała, że to właśnie to. Przez wiele lat lekarze ostrzegali ją, że zwężenie naczyń postępuje dość szybko. Teraz nadszedł czas, kiedy krew nie może się już przedostać przez żyły i tętnice i rozsada je. Nie ważne, w jaki sposób to ma się stać. Było szybko. Powróciła myślami do Boba.

Najprawdopodobniej jej mąż już nie żył. Był gdzieś tam i żałowała, że w tę ostatnią godzinę nie mogą być razem. Była pewna, że leżał gdzieś tam zastrzelony przy próbie powstrzymania Rosjan przed zdobyciem

76

elektrowni. Nie udało mu się. Rosjanie zdobyli ją i odcięli elektryczność w całym mieście.

Znowu hałas. Tym razem o wiele głośniejszy i bliższy niż tamte. Mollie próbowała usiąść, ale dławiący ból w klatce piersiowej nie pozwolił jej na to. Ktoś skrobał do drzwi kuchennych, próbował dostać się do środka.

KLIK-KLTK-KLIK.

Nie, to nie był odgłos karabinów. Znała ten dźwięk... W tej chwili przypomniała sobie, gdzie słyszała to klekotanie i serce w niej zamarło. To kraby. Te, które ciągle pokazują, o których tyle mówią w każdym wiadomościach telewizyjnych! Widziała film, który udało się reporterom nakręcić w Norfolk, ale... Przecież to niemożliwe! To przecież jest Londyn! Nie ma tutaj żadnych krabów!

Nagle drzwi rozpadły się, uderzone z ogromną siłą. Tylko kilkanaście centymetrów od twarzy Mollie przeleciał spory kawałek deski naszpikowanej gwoździami. Mollie patrzyła z niedowierzaniem, zobaczyła szary kształt na tle jaśniejszego kwadratu drzwi. Rozerwana futryna resztkami zwisała u sufitu. Za nią stała ogromna, przerażająca bestia, próbująca sforsować drzwi. Małe, czerwone oczka błyszczały nienawistnie, widząc wszystko.

Krab zobaczył kobietę i węgielki oczu rozpalili się złowrogim ogniem. Większość mieszkańców uciekła, chcąc umknąć krabiej jątki, więc ludzkie mięso było teraz rarytasem. Ten krab był bardzo głodny i oszałały.

Bestia zasyczała i próbowała jakoś przejść przez za

wąskie dla niej drzwi. Olbrzymia skorupa posłużyła za lewar i konstrukcja podtrzymywana jeszcze przez resztki framugi rozsypała się w tumany gryzącego, duszącego pyłu.

Mollie Stannard oprzytomniała, strach przed śmiercią był silniejszy od bólu w piersiach. Usiadła, a po chwili już czołgała się do drzwi prowadzących do korytarza. Coś, jak szcztoka ryżowa, podrapała ją w nogę i usłyszała suche klapnięcie. To szczypce kraba nie dosięgły celu i przecięły tylko powietrze.

Mollie poczuła się lepiej, kiedy wczołgała się na wytarty chodnik w korytarzu. Krab był tuż za nią;

słyszała jak przedziera się przez kuchnię, miażdżąc i roznosząc w drzazgi meble kuchenne stojące mu na drodze. Bestia zasyczała z wściekłością, kiedy na drodze stanęły jej jeszcze jedne drzwi. Drewno znowu rozsypało się w drzazgi, tynk z sufitu spadł z hukiem, wzbijając jeszcze większe tumany pyłu.

Po chwili Mollie z radością stwierdziła, że dostała się do schodów. Zaczęła czołgać się szybciej, wciągając się na coraz to wyższe stopnie. Słyszała prześladowcę przedzierającego się za nią korytarzem. Rozległo się głośne klapnięcie i coś ostrego uderzyło ją w odsłoniętą nogę. Mollie krzyknęła z przerażenia. Miała wrażenie, że te ogromne kleszcze za chwilę obejmą jej ciało i... ale tak się nie stało. Jeszcze jedno uderzenie, po którym trysnęła fontanna kawałków drewna i połamanych desek. O, Boże! Ten potwór niszczył schody! Na oślep wyciągał szczypce, żeby ją dosięgnąć!

Westchnienie ulgi wyrwało się jej z piersi kiedy

78

znalazła się wreszcie na półpięterku. Czołgała się dalej mając nadzieję, że ucieknie prześladowcy. W ciemnościach natrafiła na drzwi, na czworakach weszła do środka. W pewnym momencie uderzyła mocno o coś głową i natychmiast zdała sobie sprawę z tego gdzie jest. Toaleta. Muszla klozetowa śmierdziała.

Skorupiak wchodził na górę. Jego rozmiary były nieprawdopodobne. Schody już nie istniały, więc bestia, wciągała się na półpiętro. Po krótkiej chwili drewniana konstrukcja nie wytrzymała ciężaru i załamała się, ale krab trzymał się mocno. Utrzymał nawet swoje ciężkie cielsko kiedy połowa podłogi spadła na dół. Tak bardzo spragniony był ludzkiego mięsa, że ryzykował nawet upadek.

Mollie Stannard próbowała zamknąć drzwi od toalety, lecz okazało się to zbyt trudne. Nogi miała jak z waty, nie mogła nawet nimi poruszać, a ból w piersiach był teraz jeszcze silniejszy niż poprzednio. Zrobiło jej się niedobrze. Z wysiłkiem objęła brzegi muszli i pochylila się nad nią, brunatna maź wymiocin chlusnęła z niej jak z wiadra.

Teraz wreszcie uświadomiła sobie, że ten okropny smród pochodzi nie z jej ubikacji, lecz od kraba. Pamiętała ten zapach. To wspomnienie naszło ją tak samo nagle jak obraz bombardowania. Przed oczyma stanął jej ojciec zakopany w szpitalne bety, ubrany w prążkowaną piżamę, wiszącą na nim jak na kołku. Ojciec nie był w stanie z nikim rozmawiać w czasie wizyt, bo przez cały czas charczał i pluł brunatnoczer-woną flegmą do stojącego przy łóżku pojemnika.

Na samą myśl o tym Mollie wymiotowała. Smród

79

stał się nie do wytrzymania. Tylko nowotwór złośliwy mógł spowodować taki odór. Co do tego Mollie nie miała żadnych wątpliwości.

Tracąc przytomność osunęła się do muszli. I wtedy krab ją dosięgnął! Wyciągnął szczypce i odciął jej z łatwością jedną nogę tuż pod kolanem. Mollie wrzasnęła w głąb klozetu, echo ogłuszyło ją, ale nie na tyle, by nie słyszała jak bestia zjada jej nogę, wydając przy tym taki dźwięk, jaki rozlega się, gdy lwy w ogrodzie zoologicznym dostają swoją dzienną porcję padliny. Ohydne mlaskanie, trzask miażdżonych kości, bulgot przy przełykaniu.

Podsunęła mu drugą nogę. Przyjął ofiarę. Jednym ruchem odciął ją i pożarł. Jadł szybko i łakomie, nie zważając zupełnie na to, że wisi ponad zawalonymi schodami jak mucha na ścianie. Próbował wyciągnąć Mollie z ubikacji na półpiętro, ale jej ramię zaklinowało się, więc nie zważając na nic krab odciął je, a pochłonawszy sięgnął po górną część jednej z nóg.

- Chcę umrzeć! On mnie żywcem zjada!

Po chwili chluzająca strumieniami krew płynęła już tylko spokojnym strumieniem i Mollie" Stannard zmarła.

Odcięta głowa pływała w muszli, niewidzące oczy zwrócone ku sufitowi wyrażały przerażenie, jakiego nawet śmierć nie jest w stanie wywołać. Krab zręcznie szedł na dół i ruszył do kuchni. Rozwalił kolejną parę drzwi aby wydostać się na zewnątrz.

Zatrzymał się na chwilę, przysiadł i zaczął węszyć. Powietrze przesycone było zapachem strachu i śmierci.

80

- Miałeś rację, Clifford. - Grisedale przyjechał do domu Davenporta w West Hampstead zaraz po wschodzie słońca. Jak tylko dowiedział się o ataku krabów na londyński East End, natychmiast wyruszył ze swego sztabu w Walii. - O, Boże! Miałeś rację! Te kraby w Zatoce Cardigan to taktyczna zmyłka. Połowa naszej armii gotowa była odeprzeć atak na wybrzeżu, a one ruszyły prawie całą swoją siłą tu, na Tamizie. Elektrownia w Greenwich Reach jest już tylko kupą gruzu, tak jak i królewska Akademia Marynarki Wojennej i połowa doków. Straty sięgają miliarda funtów. A one są w Tamizie! Boże, przecież mogą obrócić w gruzy połowę Londynu, a my nie potrafimy się bronić.

- Ja też mam dla ciebie wieści, Grisedale. - Twarz Davenporta była ziemistoszara. Podkrążone, zaczerwienione oczy dawno nie zaznały snu. - Przeprowadzam kolejne badania na resztkach z tego pierwszego kraba. Muszę dokładnie zidentyfikować tę chorobę! Te narośla powstały na pewno wskutek promieniowania radioaktywnego. Odkryłem w związku z tym coś przerażającego!

- To znaczy? - Przedstawiciel Ministerstwa Spraw Wojskowych zrobił taką minę, jakby za chwilę miał dostać atak nerwowego.

- Te potwory nie pochodzą od tych, z którymi walczyliśmy i którą prawie wykończyliśmy na Wyspie Haymana. To zupełnie nowa mutacja! Gdzieś w głębiach oceanów ktoś przeprowadził doświadczenia z bronią nuklearną, które uszły uwadze świata. Kto i kiedy - tego nie wiadomo, ale przez to powstał ten oryginalny gatunek krabów. Jezus, Grisedale! Każdy

81

bezlitosny, bezwzględny naród chcący zdominować świat może sam wyprodukować armie tych skorupiaków. Nie jestem jeszcze zupełnie tego pewien, ale sądzę, że ta mutacja jest bardziej odporna na brak słonej wody niż tamta. Prawdopodobnie kraby te mogą żyć w słodkiej wodzie! Jeżeli ten nowotwór, którego każdy z nich w sobie nosi, nie zmiecie ich szybko z powierzchni ziemi, to znajdziemy się naprawdę w poważnych tarapatkach!

Loch Merse leży u wyjścia z wąskiej, malowniczej doliny, otoczonej starymi szkockimi sosnami, której stoki porośnięte są czerwonoawymi, karłowatymi krzewami. Ciemnogranatowa toń jeziora była chłodna, czysta i zapraszała do kąpieli w to upalne lato. Mała oaza spokoju - piękna wysepka znajdowała się dość blisko dużych miast południowej Szkocji, ale wysokie brzegi doliny odcinały ją od świata i cywilizacji. Kilka tysięcy akrów tego pięknego zakątka należało do prywatnego właściciela, który przeżył nagonkę podatkową rozpętaną ostatnio przez rząd. Posiadłość Cran-larich miała swoje legendy starsze jeszcze niż historie Wallace'a i Roberta Bruce'a i znacznie ciekawsze. Plotka głosiła, że strzelba Fergussona była tutaj właśnie wypróbowywana po raz pierwszy. Z nią to poszedł polować na jelenie właściciel tej ziemi; znowu zaczęto mówić o tym miejscu po ponad dziesięciu latach, kiedy to zamek Craniarich zmieciony został z powierzchni ziemi, pochłonięty przez morze ognia. Wtedy też zniknął jak kamfora jego właściciel, Bruce McKechnie i kilkunastu innych mieszkańców.

Wioska leżąca u wejścia do doliny była spokojna i senna. Ludzie, którzy mieszkali tu wcześniej, pozostali - bo nie mieli dokąd pójść po tamtej tragedii. Kiedy pytano ich o wydarzenia w Craniarich, wzru-

83

szali tylko ramionami i nie odzywali się ani słowem. - To nie nasza sprawa - mówili tylko. Posiadłość wystawiona była na sprzedaż przez dwa lata i żadna oferta nie napłynęła. Dopiero John Blockley, wróciwszy z Nigerii, złożył odpowiednią propozycję ceny agentom handlującym nieruchomościami i kupił te ziemie. Była to inwestycja długoterminowa, jak powiedział swoim przyjaciółom w Londynie na pożegnalnym przyjęciu. Dawała mu mnóstwo możliwości. Mógł wykorzystać lasy, zając się przemyślem leśnym albo - biorąc pod uwagę piękne tereny łowieckie - poważniej przyłożyć się do sportu. Miał do wyboru: łowienie ryb, polowanie na jelenie, pardwy albo kaczki. Oczywiście przede wszystkim postanowił zająć się przebudową domu, a właściwie budową wszystkiego od fundamentów.

John Blockley miał 35 lat. Jego rodzice zginęli w katastrofie samolotowej w 1977 roku, a on, ich jedyny syn, odziedziczył po nich całkiem niezły majątek. Wychodząc z takiego domu i mając taki start i fortunę John zdecydował się na budowę imperium. Craniarich to było dokładnie to, czego szukał. Nie miał ochoty zajmować wioski i chciał prawdopodobnie za jakiś czas pozwolić jej mieszkańcom na kupno domów i ziemi. Nie miał zamiaru pograć się do końca życia w papierach i zbieraniu czynszu od mieszkańców. Chciał jak najprędzej uwolnić się od tej wątpliwej przyjemności.

Raz tylko wybrał się do miejscowego pubu "Pod Królewskim Jeleniem" na drinka. Przyjęty został tam bardzo wrogo; wiedział, że wieśniacy nie chcą za-

84

nego nowego pana. Wszyscy szybko kończyli drinki i wychodzili. W końcu w pubie został tylko Blockley i właściciel lokalu.

- Chyba będę musiał stopniowo zapracować na zaufanie tutejszych mieszkańców? - powiedział Blockley zamówiwszy kolejną lampkę brandy.

- Nie sądzę, żeby to dotyczyło bezpośrednio tylko pana. - Na bladej twarzy właściciela gospody, Black-lawa, malował się strach i jakaś dziwna, tak wielka gorycz, iż wydawało się, że do końca życia nie zniknie z tej twarzy.

- To wszystko przez to... co się stało kilka lat temu.

- Co takiego?

Blacklaw zawahał się, jakby chciał zmienić temat czy żałował, że w ogóle się odezwał.

- No... Zniknęli ludzie!

- A, to! Słyszałem o tym! Ale na tyle się orientuję i wiem, że to tylko niesprawdzone plotki.

- To nie plotki. To prawda. - Blacklaw przymrużył oczy. - Moja córka była jedną z zaginionych!

- Och... bardzo przepraszam... Proszę przyjąć wyrazy współczucia. Nie zdawałem sobie sprawy. Proszę wybaczyć, że poruszyłem ten temat.

- Nie ma za co. Jeżeli powiedziałem już tyle, to mogę panu powiedzieć i resztę. To wszystko przez tego szatana - Bruce'a McKechnie, właściciela tej posiadłości, który w końcu też gdzieś zniknął. To był drań, diabeł w ludzkiej skórze! Wiem, że to on ich wszystkich zabił, ale nikt tego nie dowiedzie, bo wszystkie ciała zginęły już na dnie Bagna Craniarich i nikt nigdy ich już nie znajdzie. Zaczęło się od dwóch

85

londyńczyków, a raczej jednego, bo ten drugi to był jego brat, który przyjechał tutaj go szukać. Też nigdy stamtąd nie wrócił. Potem kłusownik, łowczy i służba spalili się w zamku, kiedy McKechnie podłożył ogień a potem skończył ze sobą. Ktoś puścił plotkę, że w jeziorze jest potwór. Prawdopodobnie wszystko po to, żeby zatuszować szaleństwo pana Craniarich, przez którego, bez wątpienia, zniknęło tylu ludzi. Policja, dziennikarze zjechali tu parę miesięcy po wszystkim i mieli nadzieję, że odkryją prawdę, ale wyjechali stąd z niczym. A potem... moja Christine... - Ostatnie słowa powiedział prawie szlochając. - Znaleźli roztrzaskany samochód, ale ona i chłopak z Londynu, z którym była, zniknęli bez śladu. Moja biedna żona... krótko po tym zwiariowała... W zeszłym roku zmarła... No i dlatego, panie Blockley, ludzie nie chcą, żeby obcy wprowadzali się do zamku. Gdyby mogli, pewnie już dawno by się stąd wynieśli.

Blockley ruszył spacerkiem nad brzeg jeziora. Był gorący, czerwcowy dzień. Idąc rozmyślał nad historią Blacklawa. To niesamowite, takie spokojne miejsce, takie piękne. Rzadko bywają tu burze czy wiatry, nawet teraz woda ledwo się marszczy w leciutkim wiatereku. Wspaniały, ciemnozielony kolor toni... To jezioro musi mieć zdradliwe, bagniste dno, wciągające każde nieuważne zwierzę, każdego człowieka, który jest na tyle głupi, żeby próbować chodzić po dnie, nawet przy brzegu. W pewnym sensie wszystkie plotki pasowały do tego tajemniczego obrazu, ale nie całkowicie. Potwór, jeszcze jedna Nessie. (A może to właśnie ona sama przepływa ukrytymi tunelami łączą-

86

cymi jezioro Craniarich z Firth). Nie, to był absurdalny pomysł. John Blockley rozmyślając wędrował po kamienistym wybrzeżu, od czasu do czasu rzucając drobne kamyczki do wody. Chociaż... Przecież nikt właściwie tego potwora nie złapał, choć wielu twierdzi, że go widziało. Skoro atak monsturalnych krabów na wybrzeżu, ich wędrówka Tamizą były faktem, to przecież i wszystko inne też może się wydarzyć. Ech, też nie ma o czym myśleć! - zachnął się Blockley. Jest przecież w Craniarich i tylko to się liczy. Odnawianie zamku już rozpoczęte, lasy pełne jeleni i innej zwierzyny zapowiadały niezłą zabawę w ziemie. Jego nowe życie dopiero się zaczynało. Blockley usiadł pod malowniczą, wiszącą skałą. Czuł się cudownie. Odetchnął z ulgą chowając się w cieniu. Zastanawiał się gdzie będzie mieszkał i co robił, zanim Craniarich nie zostanie przywrócone do stanu używalności. Nagle wszystkie myśli rozpiechły się jak spłoszone stado. John Blockley ujrzał wpatrzonego w siebie kraba. Nie była to jedna z tych olbrzymich sztuk, jakie widział w telewizji, ale mimo to był przynajmniej dziesięć razy większy od normalnych morskich krabów. Siedział przycupnięty przy samym brzegu wody i nie spuszczał palącego, złowrogiego

spojrzenia z twarzy Johna. Blockley uświadomił sobie, że przytula się do skały i że ściśnięty żołądek powędrował mu do gardła. Zdał sobie sprawę, jak bardzo się boi. Zawstydził się. Do cholery, przecież to świństwo nie jest większe od teriera Jacka Russella, wystarczy rzucić w niego większym kanieniem, żeby ze strachu uciekł z powrotem do wody. Nie wykonu-

87

jąc zbyt gwałtownych ruchów i obserwując bestię cały czas, szukał wokół siebie odpowiedniego kamienia. Wreszcie wygrzebał odłamek skalny wielkości piłki tenisowej i powoli odwodząc rękę, mierzył. Nie chciał go tylko przestraszyć, wiedział, że musi rzucić tak, żeby go zranić. Spokojnie obierał cel, tak jak wtedy, kiedy grał w kręgle w Surrey w 1973 roku. Wreszcie błyskawicznie zamachnął się i kamień poleciał do celu, odbił się od pancerza i nie robiąc krabowi najmniejszej krzywdy wpadł do wody daleko od stojącego jak posąg skorupiaka. Jego oczy błysnęły jeszcze większą złością, groźny syk wydarł się z gardzieli.

- Zawzięty mały skubaniec! - Blockley zdenerwował się teraz nie na żarty. Zerwał się rozglądając za następnymi pociskami. Znalazł ich pełną garść i zaczął rzucać jeden po drugim w stojącego ciągle bez ruchu kraba.

- Ja cię nauczę! Ty bydłaku! Ja ci pokażę, kto jest nowym panem w Craniarich! Pokażę ci, kogo trzeba tutaj słuchać! No! Trzymaj! I jeszcze to! I to!

Kamienie jeden po drugim tylko furkotały w powietrzu. Każdy z nich dosięgł celu... i odbijał się od pancerza. John Blockley dysząc ze zmęczenia wreszcie zrezygnował z rzucania w kraba coraz to nowych pocisków. Krab siedział dalej bez ruchu, obserwując wysiłki i nerwowe podskoki człowieka, i od czasu do czasu sycząc ze złością. Blockley odwrócił się, chcąc znaleźć coś większego i cięższego. Dookoła był tylko gruby piasek i niewielkie kamienie. Kiedy spojrzął znowu na kraba, zdrętwiał ze strachu. Skorupiak nie był sam. Otaczały go cztery inne. Mąciło mu się w głowie. John Blockley nie mógł pogodzić się z tym co widział. Skorupiaki i człowiek przyglądali się sobie prawie z zainteresowaniem. Strach stawał się coraz silniejszy. Blockley pocił się. Jego nylonowa koszulka była już kompletnie mokra. Wiedział, że to dzieje się naprawdę, ale przekonywał siebie, że to nie ma nic wspólnego z wydarzeniami na wybrzeżu, bo przecież... To jest północ kraju! I nie ma żadnych połączeń z morzem! Tylko plotki głosiły, że jest podziemny tunel prowadzący do morza.

W pewnym momencie, z dna Loch Merse przyszła odpowiedź na wątpliwości Johna Blockleya. Woda wzburzyła się jakby pod wpływem wielkiego wiatru i na wielkiej fali sparaliżowany strachem Blockley, zobaczył kraba sto razy większego od tych, które przycupnęły na brzegu. Teraz Pan na Craniarich wiedział na pewno, że to właśnie kraby-zabójcy, to one, bezlitosne potwory z oceanów zagrażające całej cywilizacji. Teraz są tu, w Loch Merse! Olbrzymi skorupiak wyszedł z wody i zatrzymał się. Tak jak tamte zaczął mu się przyglądać. John wiedział, że ta bestia potrafi myśleć, czuł siłę inteligencji kryjącą się w tej niesamowitej głowie. Nagle Blockley dokonał niezwykłego odkrycia. W pierwszej chwili myślał, że zwariował, ale przekonał się, że nie, że to rzeczywiście:

jest samica, a te maluchy to jej dzieci. Loch Merse było miejscem, gdzie te olbrzymy się rozmnażały, wychowywały, uczyły zabijania, aż gotowe do dorosłego życia dołączały do armii, która mając tak ślepo posłuszne wojsko mogła zaważać światem. Blockley wiedział, że musi się stąd wydostać i ostrzec wszyst-

89

kich! Zdecydowanie odwrócił się w kierunku wioski i zaczął uciekać. W tej samej chwili usłyszał, że największy krab ruszył za nim. KLIK-KLIK-KLIK.

- Kamienista droga, piasek osuwający się spod stóp bardzo utrudniały Johnowi wykorzystanie wszystkich swoich sprinterskich umiejętności. Potykał się, wpadał w zdradzieckie, ukryte w ziemi dołki, ślizgał się na płaskich, mokrych kamieniach, podczas gdy krab szedł nie zwalniając ani trochę tempa. Nic nie przeszkadzało mu w pościgu za człowiekiem, ani nierówny teren, ani olbrzymie rozmiary - szedł zwinnie i bardzo szybko. Małe kraby starały się iść jak najbliżej

- widocznie czuły, że zaraz rozpoczną swoją pierwszą krwawą ucztę. Kiedy Blockley dotarł do porośniętej trawą łąki, puścił się pełnym biegiem. Obejrzał się. Kraby były niedaleko. Olbrzym jakieś dwadzieścia pięć metrów, a małe trochę dalej; widocznie nie mogły sobie poradzić z nierównościami plaży. Spróbował bardziej przyspieszyć. Był przecież doświadczonym biegaczem. Nieraz wygrywał krajowe przełaje. Biegł teraz długim, spokojnym krokiem, a nie jak poprzednio szybkim, krótkim, jeszcze bardziej męczącym truchtem. Marzył, żeby dostać się do zamku. Teren wznosił się dość ostro. John nie mogąc wytrzymać forsownego biegu pod górę, znacznie zwolnił. Znowu się obejrzał. Krab zmniejszył odległość do piętnastu metrów. John Blockley wiedział już, że nie uda mu się uciec. Poczul żal. Nie strach, tylko właśnie żal, że zawiódł swoich rodaków i nie zdążył ich ostrzec, że kraby rozmnażają się w Loch Merse. Ta

90

ważna informacja pozwoliłaby szybko wytropić i zniszczyć podwodne, ciągle rosnące legiony zabójców. John żałował także, że tajemnica Cramarich i jeziora pozostanie nierozwiązana. Ten, jak o nim mówili, diabeł McKechnie wcale nie był winien zarzucanych mu zabójstw i zaginięć. Ta ziemia już na zawsze pozostanie otoczona mgiełką tajemniczości. John nie mógł oddychać. Nogi odmawiały posłuszeństwa, trzęsły się ze zmęczenia. Pozostała już tylko duma i własna godność. Zatrzymał się i odwrócił. Nie było sensu dalej uciekać. Krab był już zaledwie kilka metrów za nim. Blockley teraz już bardzo wyraźnie widział niesamowite, nawet trochę groteskowe krabie szczęki. W czerwonych oczach płonęła ^wściekłość, z gardła sączył się złowrogi syk. Przez chwilę stali mierząc się wzrokiem, jak bokserzy na ringu. Cztery małe kraby tłoczyły się za matką, ciekawe i chętne do walki. John Blockley nawet nie rozglądał się za cudowną drogą wybawienia, wiedział, że takiej nie znajdzie. Nie bał się śmierci. Przerazała go tylko myśl o tym, w jaki sposób będzie umierał. Czy te ogromne szczytce będą rozdzierały go powoli na drobne kawałki? I znowu ogłoszą, że następny pan Craniarich zniknął w tajemniczych okolicznościach, legenda doleje oliwy do ognia, policja będzie szamotała się bezsilnie w poszukiwaniu chociażby ciała, a agenci w poszukiwaniu nowego nabywcy posiadłości. Prawdopodobnie do akcji wkroczą oddziały tajniaków, podsycając przez to jeszcze bardziej legendę, której już nikt i nigdy nie rozwiąże. Wieśniaków spotka ten sam los albo, dowiedziawszy się o jego śmierci i nie zważając już na nic, uciekną stąd.

91

Krab ruszył na niego jednym błyskawicznym skokiem. Potężne uderzenie rzuciło Johna Blockleya na ziemię, on padając uderzył tyłem głowy o kamień i natychmiast poniósł śmierć, oszczędzając sobie tym samym długiej agonii, jaka była udziałem prawie każdej z ofiar krabów w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Krab stał przez chwilę nad leżącym ciałem, jakby się zdziwił i żałował, że zabił ofiarę tak szybko. Wzniesione wysoko szczytce nie opadły na trupa i nie zaczęły go rozdzierać. Oddawały hołd, który za chwilę miał się zamienić w sygnał dla maluchów. Przeciągly świst, jaki wydała samica, dał małym znak do ataku. Cztery skorupiaki rzuciły się spragnione pierwszego łyku ludzkiej krwi, ale zatrzymały się tuż przy trupie, jakby nie były pewne

jak należy tę ucztę zacząć. Samica nie drgnęła. Nie zamierzała im pomagać. Wszystkie cztery wreszcie zdecydowały się na pierwszy krok i rozpoczęły dziko rozszarpać ciało Blockleya. Odrywały mięso od kości, rozkoszując się i zanurzając w strumieniach płynnej krwi, wysysając jak spaghetti wąskie paski zdartej skóry. Każdy kęs żuł z dziką przyjemnością i z takim namaszczeniem, jak dziecko, które dopiero co odkrywa przyjemność jedzenia. Kiedy rzuciły się, by rozszarpać pozostałe resztki, bijąc się między sobą, czuwająca nad nimi samica przerwała te zabawy jednym solidnym uderzeniem. Małe uspokoiły się natychmiast i jadły już spokojnie. Nauczyły się czegoś nowego - posłuszeństwa. Dziesięć minut zajęło im oczyszczenie kości do czysta. Na trawie pozostał tylko biały szkielet i dopiero teraz olbrzym-skorupiak ruszył ze swojego miejsca.

92

Jeszcze jedna rzecz, której muszą się nauczyć małe kraby - rozcierać kości na proszek, na drobny pył, który też można pożreć. Wielki krab skończył ucztę w ciągu kilku sekund i odwróciwszy się od rdzawej plamy na trawie ruszył w kierunku jeziora. Nie o-giadał się na małe. Wiedział, że pójdą za nim. To był dobry dzień, nauczyły się dużo nowego. Muszą nabrać doświadczenia zanim nadejdzie czas, kiedy będą musiały dołączyć do niezwykłych legionów swoich braci. Wysoko nad wrzosowiskiem przy bagnie Cran-larich i poniżej wzniesienia zwanego Criffel, latały bręcząc dwie wielkie muchy. Kręciły się w kółko, jakby nie wierząc własnym oczom. Wyraźnie czuły zapach śmierci, który zresztą przywiódł je tutaj, ale okazało się, że ich długa podróż była całkowicie daremna. Nawet nie próbowały wylądować na trawie i szukać drobnych resztek delikatnego mięsa ludzkiego, które mogły przeoczyć kraby. Wiedziały, że niczego nie znajdą.

Rozdział szósty

Deputowany do parlamentu, Noel Forrest wiedział, że spóźni się na dzisiejsze posiedzenie Izby. Musiał pogodzić się z tym faktem na długo przed dotarciem do mostu Westminster, gdzie zmuszony był po raz kolejny zatrzymać swojego Forda Escorta. Korki uliczne nie pozwalały przejechać przez Victoria Embankment i Bridge Street. Klaksony wyły jak oszalałe, wszędzie pełno było śpieszących się ludzi. Zastanawiał się, dokąd tak się śpieszą.

Przyczyna była jasna. Zbyt dużo olbrzymich krabów czaiło się w tych mętnych, błotnistych wodach; ludzie wiedzieli, że bestie mogą zaatakować w każdej chwili i w każdym miejscu bez ostrzeżenia.

Cokolwiek chciałoby się powiedzieć o Noelu Forrestcie, kłamstwem byłoby zarzucenie mu tchórzostwa. W każdym razie nie brakło mu odwagi - w jego własnym przekonaniu, bo w oczach kolegów parlamentarzystów a nawet tych, którzy na niego głosowali był po prostu głupi. Miał skończone pięćdziesiąt lat, a ciągle marzyła mu się polityczna sława; miał nadzieję, że porwie Izbę jakimś wielkim, zmieniającym oblicze kraju manifestem i stanie się sławny. Nieustannie prowadził kampanie na rzecz międzynarodowego układu o rozbrojeniu nuklearnym i wierzył, że któregoś dnia uda mu się zwyciężyć. Tak samo

94

wierzył w nacjonalizację banków, towarzystw ubezpieczeniowych, ziemi i w podatek od wzbogacenia, który spowoduje, że bogaci oddadzą swoje majątki biednym. Marzył o totalnej zmianie obecnie panujących stosunków społecznych. Sprawy, o które walczył, wymagały pewnego sposobu życia mieszkała w zwyczajnym mieszkaniu w zwyczajnej kamienicy i jeździł zwyczajnym eskortem. Taki ułożył plan, ale w duchu przyznawał, że nie do końca wie o co mu tak naprawdę chodzi. Przyczyniły się do tego głosy krytyki, jakie go spotykały. Nie dalej jak wczoraj ktoś zarzucił mu, że jego działania to polowanie z nagonką. A jemu przecież chodziło tylko o zdobycie poparcia wśród wyborców, zaufania zwyczajnych, szarych ludzi, o których ociera się każdego dnia chodząc po ulicach czy jeżdżąc zwykłym eskortem. Ma się zupełnie inną perspektywę, jeżeli po tych, samych ulicach jeździ się daimierem lub rollsem. A on chce wyciągnąć z gardeł kapitalistów to wszystko, czego szarzy ludzie żądają. To wszystko. Taka mała, bezkrwawa rewolucja. Miał nadzieję, że kiedy osiągnie to, o co teraz walczy, będzie mógł sobie pozwolić na jeden czy dwa luksusowe wydatki, których po cichu pragnie, a na głos przeklina. Rosjanom do spełnienia ich ambicji potrzebna była krwawa rewolucja, ale Noel Forrest był o wiele sprytniejszy. Bez ingerencji nuklearnej Rosjanie mogli mu się przydać, zrobić co do nich należy, a potem ustawić go na szczycie nowego, stworzonego właśnie, marionetkowego rządu. Uważał, że przede wszystkim trzeba rozbroić cywilów. Wydać specjalne zarządzenia dotyczące posiadania i

95

rejestracji broni palnej i gazowej. (Oczywiście, wszystko będzie realizowane pod hasłem: "Mniej broni - mniej napadów i rabunków z bronią w ręku". Wiedział, że to utopijne działania, bo rejestrowana czy nie, broń zawsze znajdzie drogę do przestępców). Chciał rozpocząć akcję przeciwko wszelkim krwawym sportom i zaangażować w to cały kraj! - Do dupy z tym pieprzonym korkiem! Zauważył, że po dość długiej przerwie znowu przychodzi mu ochota na tak kiedyś częstą w jego ustach "mowę wiążaną". Faktem było, że taki sposób mówienia zjednywał mu masy pracujące, w ten sposób szybciej mógł potwierdzić swoją przynależność do nich, zidentyfikować się z nimi i porozumieć. Wiedział, że gdy tylko dojdzie do spotkania z wyborcami, będzie zmuszony odpowiedzieć na to jedno pytanie, które nurtuje teraz wszystkich i stawia w głupiej sytuacji rząd i premiera w szczególności. Pytanie brzmi: Jak to się stało, że ogromne kraby dostały się do Londynu, stolicy, serca kraju, niezauważone? Tylko to zaprzęta głowy obywateli Zjednoczonego Królestwa, jest na językach wszystkich nierobów obsiadających ławki w parkach i na skwerkach. Jak można było dopuścić do takich zniszczeń, a przede wszystkim, jak je powstrzymać? Jeżeli odpowiedzą, że kraby są niezwykłe, że nie można ich zniszczyć konwencjonalną bronią, to dlaczego, u licha, nie użyto jeszcze tych środków, które zniszczyły kraby poprzednim razem? Noel Forrest miał zamiar zadać to pytanie w Izbie i marzył o tym, żeby wywołać zakłopotanie i rumieńce na twarzach odpowiedzialnych za to ludzi.

96

Do dupy z tym pieprzonym korkiem! Wszystkie pojazdy stały jak zamurowane. Noel spojrzął na zegarek. Było parę sekund po wpół do trzeciej. Co za pech! Wskaźnik temperatury skoczył na jedną z najwyższych kresek. Jeszcze tego brakowało, żeby chłodnica się zagotowała! Przypomniał sobie, że przed wyjazdem z garażu, ani wcześniej, nie sprawdził poziomu oleju i wody. Nawet nie przyszło mu to do głowy. Psiakrew! To idiotyczne! Taka sytuacja, a tu ani śladu policjanta! Przyszło mu do głowy kilka nowych pytań, jakie mógłby zadać w Izbie. Zrobiłby to, gdyby nie był już spóźniony.

Ludzie wysiadali z samochodów.

- Co za krety! I czego te palanty wypatrują w rzece? Wracać do wozu, wy pierdoły, bo będziemy tu sterczeć cały dzień! - wściekle powiedział do siebie.

Noel Forrest, parlamentarzysta, zastanawiał się przez chwilę, czy nie warto byłoby rozluźnić krawat. Było tak gorąco, że z trudem oddychał. Zdał sobie jednak sprawę z tego, że na ponowne zawiązanie go straci kolejne kilkanaście sekund, a

naprawdę nie chciał jeszcze bardziej spóźnić się na obrady. Nagle ludzie zaczęli biegać, przeraźliwie krzycząc. Drzwi samochodów trzaskały, nikt nie siłił się na dokładne ich zamykanie. Kobiety i mężczyźni, nie zważając na nic, a najmniej na siebie, pchali się jeden przez drugiego. Wszyscy potwornie wrzeszczeli. Forrest wreszcie zdecydował się wyjść z samochodu. Nie było to wcale takie proste. Cisnący się wokół jego samochodu ludzie nie pozwolili mu wysiąść. Na wpół otwarte drzwi uderzyły go w zęby i Noel upadł z

97

powrotem na siedzenie. Poczł krew w ustach i znowu zaklął. Ze wszystkich stron biegli ludzie, ktoś upadł i już nie wstał, wdeptany w asfalt przez tych, którzy mieli tyle siły, żeby utrzymać się na nogach. Zewsząd dobiegały krzyki. Ludzie wrzeszczeli nie tylko na moście, ale i na Victoria Embankment i Albert Em-bankment. Syreny prawie zagłuszały krzyki, ale bez względu na to czy były to syreny pogotowia, policji lub straży pożarnej, żaden z ambulansów nie miał szans na przedostanie się przez tłum. Noelowi wreszcie udało się wyjść z samochodu. Uważnie przyglądał się nieprzerwanemu strumieniowi ludzkiemu. Musiał się jakoś do niego dostać. Każdy chciał wygrać w tym maratońskim biegu. To dla tych mas się poświęcił, to on im dawał szczęście. A tymczasem nikt go nie rozpoznawał! Noel wściekł się, bo chciał ruszyć dokładnie w odwrotnym kierunku niż wszyscy. Zastanawiał się, czy oni do cholery nie wiedzieli, kim jest? Czy nie zdawali sobie sprawy z tego, że przeszkadzają mu w dotarciu do Izby, gdzie miał zadawać "ich" pytania rządowi?

- Z drogi! Przepuście mnie! Nie wiecie kto... Ziemia zatrzęsała się pod stopami, wzdęła i zaczęła pękać. Ludzie nie mogąc utrzymać równowagi padali pod nogi innym, ślizgali się, wpadali jeden na drugiego tworząc żywą górę walczących o przetrwanie, przeklinających siebie i innych ciała. A ziemia ciągle rosła i rosła...

Noel Forrest zobaczył nad sobą błękitne niebo. Jego oszołomiony umysł próbował w jakiś sposób wytłumaczyć zaistniałą sytuację. Może to jakieś dziw-

98

ne trzęsienie ziemi... Hałas wydobywający się spod mostu prawie zupełnie zagłuszył jęki i krzyki ludzi. Odgłos rozdzieranej stali, spadających do wody samochodów, śmiertelne wrzaski miażdżonych pod nimi ludzi - prawdziwa lawina śmierci. Teraz patrzył na dół. Splaszczony na dachu samochodu przyciśniętego do bariery mostu widział spienione, bure wody Tamizy. Pięciometrowa fala raz po raz pochłaniała małe, nie mające żadnych szans na ucieczkę łódki. Ale to był tylko wstęp, bo po chwili z tej właśnie fali wynurzyły się one - wielkie, niezwykłe kraby. Stały ciasno, jeden przy drugim między przęsłami mostu Westmins-ter. Jasne było, że ta piękna budowla, która przetrwała kawał czasu, za chwilę zawali się i przestanie istnieć. Forrest poczuł, że traci oparcie. Samochód zaczął obsuwać się do wody. Noel złapał w ostatniej chwili wystającą listwę, ale niestety. Samochód przełamał się na pół i Forrest razem z nim poleciał do wody. Wielu ludzi spotkało to samo, niektórzy roztrzaskiwali się na stalowych łączeniach przęsła mostu. Wielu spadając łamało ręce, nogi i kręgosłupy. To była prawdziwa loteria życia i śmierci, obficie podlewana krwią. Członek izby parlamentarnej widział zbliżającą się do niego Tamizę. Starał się skupić i wmówić sobie, że świetnie pływa i że na pewno uda mu się uratować. Niestety, nigdy nie uczył się pływać, choć wielokrotnie miał okazję. Teraz żałował... Uderzył w wodę z tak dużą siłą, że aż zaparło mu dech w piersiach. Wiedział, że nie ma wielkich szans na wydostanie się znowu na powierzchnię. Ogarnęła go panika, przestawał widzieć, dziko kopał wodę idąc

na

99

dno jak kamień. Jakieś niewyraźne kształty majaczyły w górze, pływając na powierzchni. Inne, cięższe rzeczy poddawały się prawu grawitacji. Noel zobaczył opadające na dno ciało bez głowy; bezwładne ręce, poddając się wodzie, wykonywały jakieś gniewne gesty. Tu, gdzie nie dochodzi słońce ze swoim ciepłym światłem, w tych ciemnościach, wszystko jest żywe, a w mroku błyskają wściekle, pełne nienawiści, czerwone oczy.

Na dnie odbywała się straszliwa jatka! Piekło za życia przedstawiało wszystkie swoje możliwości, których za nic nie chce się oglądać. Pozbawione kończyn korpusy ludzkie, straszące rozprutymi brzuchami i wypływającymi z nich wnętrznościami, unosiły się w wodzie jak rośliny wodne. Z prądem płynęły głowy z wydlubanymi oczami, ze strzępami poszarpanej skóry. W piasku na dnie tkwiła dolna część ciała mężczyzny. A między tym wszystkim uwijały się kraby, chcące za wszelką cenę zaspokoić swój głód krwi, najeść się ludzkiego mięsa do woli. Kości żaden z nich na razie nie ruszał. Mięsa było przecież pod dostatkiem. Jeśli będzie trzeba, to wrócą i po te marne szkielety.

Noel Forrest ugrzązł w wodzie na dobre. Wydawało mu się, że coś go trzyma, jakby pasy bezpieczeństwa. Tonał, dusił się, ale człowiek nie wypełnia się wodą tak szybko. Czuł straszliwy ból w dole ciała, ale kiedy próbował popatrzeć, co się stało, zobaczył tylko wielką, czerwoną plamę, rozlaną dookoła. Woda w Tamizie zmieniła kolor. Świat stał się buro-czerwony. Kraby maszerowały w dwóch rzędach. Z każdym krokiem było ich mniej, bo upatrzysz swoją ofiarę każdy krab odchodził na łów. A woda czerwieniała...

100

- A niech was diabli! Jestem Noel Forrest, członek izby parlamentu. Nie możecie mi tego zrobić! - krzyczał w panice.

Ale zrobili. Dwa naraz. Niemal walczyły ze sobą o prawo do pierwszego kęsa. Ostre jak brzytwy szczypce rozrywały ciało.

Czuł rosnący ból, idący od dołu ku żołądkowi. Poddając się prądowi wody, jeden z krabów trzymał go mocno, a drugi sprawnie jak rzeźnik rznął Noela na plasterki. »

- Nie żyję! Jak rany! Do kurwy nędzy, już nie żyję!

W pierwszej chwili Noel skłamał, za moment jednak była to już prawda.

Plany jego podzielonej, skłóconej wewnętrznie partii, dotyczące walki o międzynarodowe rozbrojenie - legły w gruzach.

Sztab główny oddziałów ochronnych mieścił się na Albert Embankment około mili od miejsca tragedii na moście Westminster.

Cała brygada zajęta była blokowaniem Tamizy; na pewien czas miało to zatrzymać ruch na rzece, ale i chronić przed atakiem.

Skorupiaki nie zawahały się nawet przed atakiem na parlament, ale nie spowodowało to większych szkód, poza kilkoma

zadrapaniami na historycznych murach. Po tym wybuchu mutanty wróciły do wody i ruszyły w kierunku mostu Lambeth. Cała

ludność została wcześniej ewakuowana, ale spodziewano się, że kraby zniszczą most. Okazało się, że miały inne plany.

Pokój był duszny, zadymiony. Ewakuacja już dawno się rozpoczęła, ale do akcji na rzece było jeszcze trochę czasu.

Nadinspektor Graham Wicklow głasz-

101

ząc swój długi, spiczasty nos patrzył głupawo na przyszpiloną do ściany mapę Londynu. Czerwone strzałki miały oznaczać kierunek wędrówki krabów, krzyżyki wskazywały miejsca ataku. Od ujścia rzeki ciągnął się nieprzerwany i ciągle powiększający się krwawy ślad.

- Jak daleko mogą dojść, jak pan sądzi? - zapytał.

- Tego nie wie nikt - odrzekł Davenport. - Wiemy, że jednemu z-nich udało się już dotrzeć do serca Anglii. Bezwzględnie potrzebują rzek do podróży, ale zupełnie nieźle dają sobie radę z wędrówką łądem od jednej rzeki do drugiej. Jeśli, jak sądzę, mogą żyć w słodkiej wodzie przez długi czas, to naprawdę trudno przewidzieć, jak daleko mogą zawędrować. Jediną naszą nadzieją jest to, co cały czas podkreślamy - ich choroba. Możemy tylko modlić się, żeby szybko je wykończyła.

- Mamy przygotowanych kilka pocisków głębinowych. Są przy doku Queenhithe - przerwał Grise-dale. - Najbardziej boimy się o elektrownie na Kings Reach. Może to je odstraszy i odpłyną z powrotem w dół rzeki. Jeżeli będą szły dalej - cały południo-wschodni Londyn będziemy musieli ewakuować, co spowoduje unieruchomienie wielu ważnych punktów. No, a jeśli to nie pomoże, to mamy w pogotowiu kilka okrętów podwodnych z torpedami na pokładzie. No, jasne! Pamiętam, że poprzednim razem nic nie wskóraliśmy torpedami, ale co zrobić! Musimy próbować, może teraz... Nie wysadzimy przecież Tamizy w powietrze bombą nuklearną!

- Mamy poważny problem. - Wicklow popat-

102

rzył uważnie na jakiegoś starszego policjanta stojącego pod drzwiami. - Straciliśmy kontrolę nad całym obszarem doków. Obawiam się, że wszyscy kryminaliści wyleżą z dziur i urzadzą sobie święto. Nie mamy patroli, które moglibyśmy tam posłać. W tym momencie zadzwonił telefon. Grisedale podniósł słuchawkę. W jednej chwili jego twarz stała się szara jak popiół.

- O, Boże! - zamruczał. - Tak... tak. Rozumiem. Śledźcie je dalej. Chcę wiedzieć o każdym ich ruchu. Nie włączać do akcji więcej ludzi. Dość ich już zginęło.

Odwrócił się twarzą do wszystkich.

- No, cóż. Już po naszych pociskach głębinowych i łodziach podwodnych. Kraby przeszły przez tę zaporę. Dwa okręty z załogami zaginęły, a te pieprzone owoce morza idą dalej. I to szybko! Ominęły elektrownie, London Bridge na razie pozostał nietknięty, więc chyba możemy dziękować Bogu za taki obrót spraw. W ogóle wydaje się, że te śmierdzące spieszają się straszliwie i pędzą do swojego celu z podwójną szybkością. A my? No, cóż, chyba zabrakło nam pomysłów?

Doki stały wyludnione i ciche. W głębokiej ciemności słychać było tylko szuranie szczurów, które pod osłoną nocy buszowały po całym terenie -jak zwykle na East Endzie. Nie wiadomo skąd pojawili się ludzie. Cztery ciemne, drobne sylwetki ze sprawnością małp wspinały się przez ogrodzenie i wysokie bariery, bezszelestnie przemykały obok magazynów i wzdłuż nabrzeży. Wyraźnie dokądś się spieszyły. Triady, trzy-

103

osobowe grupy niedużych, drobnej budowy, skośno-okich ludzi - specjalnie wytrenowanych chińskich zabójców. Ci ludzie są zawsze w pogotowiu, widzą wszystko, są wyczuleni na najmniejszy dźwięk, który natychmiast rozpoznają. Doszli do prowadzących do wody śliskich, porośniętych glonami schodów. Bez słowa, bez najmniejszego szelestu, jeden za drugim weszli do małej łódki przycumowanej do kei. Jeden z nich pochylił się i macając sprawdził, czy na dnie tuż pod silnikiem spoczywa niewielki pakunek, drugi jednym szarpnięciem odcumował i łódka zaczęła dryfować w kierunku głównego prądu. Lo Chee pozwolił sobie na błady uśmiech satysfakcji. Jak na razie wszystko szło zgodnie z planem. Grupa Si-Kiangu, zmuszona niespodziewanym atakiem krabów, zostawiła cały ładunek heroiny, który teraz właśnie dostał się w ręce jego Triady. Chyba że... Jego płaska twarz stężała w nagłej złości. Rzucił się na rufę łódki, sięgnął po paczkę leżącą pod silnikiem. Łódka niebezpiecznie zachybotała. Gorączkowo rozerwał opakowanie, podniósł wieczko drewnianego pudełka leżącego między papierami. Jeden błysk kieszonkowej latarki wystarczył mu do poznania zawartości paczki. Mąka! Reszta towarzyszy klęczała wokół niego. Początkowo nic nie wyrażające twarze mieniły się wściekłością, ich oddech stał się krótki i przerywany. Wystawiono ich do wiatru, a oni pewnie zrobiliby tak samo, gdyby mieli taką możliwość. Teraz nadeszła ich kolej na zemstę. Lo Chee podbiegł do steru i skierował łódź na nabrzeże. Wdrapali się tymi samymi schodkami na

104

górze, żaden z nich nie pomyślał nawet o ponownym zacumowaniu łódki. Nie potrzebowali jej więcej, a przywiązywanie było zwyczajną stratą czasu. Znowu trzy szybkie cienie przemknęły obok magazynu. Po dziesięciu minutach byli u celu. Odrapaną, zniszczony budynek stał samotnie na tyłach wąskiego mola. Odbijające się od powierzchni wody światła rozjaśniały miejsce, w którym stał spory jacht. Byli na miejscu. Lo Chee i jego ludzie nie marnowali czasu na rekonesans, wiedzieli, że nikt się ich nie spodziewa. Odnaleźli drzwi, z łatwością przedostali się do środka, przeszli wąskim korytarzem przez wilgotne, zimne, ciemne przejście. Nierówna podłoga nagle obniżała się, niedaleko pluskała woda. Po chwili stało się nieco jaśniej, łagodnie, żółte światło lamp naftowych widać było za zakrętem. Posuwali się do przodu powoli, z obnażonymi, złowrogo błyskającymi nożami w dłoniach, niewidoczni w swoich ciemnych, przylegających do ciała kombinezonach. Co chwilę zatrzymywali się, wsłuchując w oddalone głosy, i zaraz ruszali dalej. Zgrabna, szybka łódź burtą objęła się raz po raz o wąską keję. Lo Chee policzył siedzących mężczyzn. Było ich pięciu. Wszyscy ubrani w jednakowe kombinezony i gumowe buty. Rozmawiali ze sobą przyciszonymi głosami, ładując paczki na pokład. Chińscy dokerzy, filary Limehouse, zawsze ochoczo pracujący dla Si-Kiangu, szczególnie ze względu na wysokie płace.

Z ust Lo Chee nie wyrwał się żaden okrzyk wojenny, tylko skoczył jak kot na kark najbliższej stojącego mężczyzny. Nóż Lo Chee zatonął pod łopatką dokera,

105

zanim jeszcze napadnięci zorientowali się, że Triada dopadła ich i nie wypuści żywych. Cienie spadały z góry na zaskoczonych mężczyzn, trzech z Si-Kiangu leżało po chwili śmiertelnie rannych, czwarty walczył jeszcze, a piąty wielkim łukiem poleciał do wody rozpryskując ją na wszystkie strony.

Lo Chee uśmiechnął się widząc, jaki straszny los spotyka jednego z Si-Kiangu, który próbował stawić opór jego ludziom. Nożami zdzierali z niego ubranie w taki sposób, że razem z materiałem odchodziły całe płyty skóry i ciała. Nieszczęśnik nie próbował wyrywać się ani błagać o litość - wiedział, że to nadaremne. Zaciśnięte usta i harde oczy mówiły, że przyjął swój los i na pewno nie jęknie, kiedy nóż po raz kolejny zagłębiał się w ciele. Po jakimś czasie puścili go. Zmiażdżonymi palcami próbował otrzeć krew z poszarpanego ciała. Przez chwilę utrzymywał się na nogach, w końcu upadł, a oni patrzyli, jak wijąc się, ale nie wydając ani jednego dźwięku, umiera.

Triada skoczyła do burty. Ten, któremu udało się uciec, mógł już dotrzeć do brzegu i zaalarmować ochronę. Wiedzieli, że muszą jak najszybciej zabrać towar i spadać. Każdy z nich idąc tutaj był gotowy na wszystko. Ich życie było loterią. Dziś życie, jutro śmierć. Dziś przegrał Si-Kiang; cały ich towar został skradziony, bo próbowali oszukiwać. Jutro, być może, noga powinie się Triadom. Takie są prawa doków Limehouse. Lo Chee zapuścił już silnik, kiedy coś w wodzie przyciągnęło jego uwagę. Wpatrywał się usilnie, mrużąc swoje skośne oczy i nie mógł opanować uczucia zaskoczenia. To szaleństwo! Na rzece ani

106

nigdzie takie rzeczy się nie zdarzają! Człowiek Si-Kiangu, ten który im uciekł, wracał. Płynął spokojnie, bez pośpiechu, a na jego żółtej twarzy malowało się szyderstwo. Lo Chee nie mógł uwierzyć własnym oczom, facet unosił się ponad powierzchnią wody, ale poniżej pasa nie miał nic! Tylko strzępy porwanych żył, z których ciekła krew. Ta połowa człowieka trzymana była w potężnych rozmiarów kleszczach, które żelaznym chwytym wyciskały z ciała jak z gąbki strumienie krwi. To było krabie trofeum. Śmierć zakpiła sobie z życia.

Tłady nie znają strachu. Jeśli mają umrzeć, przyjmują to dlatego, że tak jest im widać pisane, taki jest ich los, przeznaczenie. Lo Chee krzyknął, łódź nabierała szybkości, wreszcie uderzyła z przerażającą siłą w podniesione szczypcy wielkiego kraba. Ciało Si-Kianga wyleciało wysoko w powietrze, rozpryskując krew jak wiosenny deszcz. Łodzią wstrząsnęło, coś rozpruwało poszycie dna i podnosiło ją wysoko. ^Silnik, teraz już zupełnie niepotrzebny, mełł śrubą powietrze. Ludzie w łodzi ślizgali się, przewracali próbując chwycić się czegoś stabilnego, czegoś, co może ocaliłoby ich.

Lo Chee wisiął twarzą w dół i widział wiele par czerwonych, błyskających, nienawistnych oczu i nieprzejrzaną ścianę krabich skorup, które wypychały łódź na powierzchnię. Wielkie szczypcy rozdierały ją na strzępy. Ludzie i paczki wpadły do wody, Lo Chee instynktownie zmienił położenie swojego ciała tak, że od razu zanurkował i natychmiast uderzył w skorupę jednego z krabów. Wyprostował się i zaczął biec,

107

skacząc z jednej skorupy na drugą, w kierunku kei. Prawie mu się udało, ale kiedy już był przy nabrzeżu... Nieomylnie kleszcze dosięgły go w chwili, gdy palcami chwycił już belkowania mola. Pocztał, że stracił lewą nogę, ale nie rezygnował. Jeszcze jeden desperacki skok i... wisząc już na wystającej z pomostu belce stracił drugą nogę. Był teraz tylko wijącym się, o-krwawionym korpusem. Umierając myślał jeszcze o zemście. Kraby próbowały ściągnąć go stamtąd, ale nie chcąc jeszcze odcinać mu rąk nie mogły dać sobie rady, tak mocno chwycił się nabrzeża. Lo Chee także, mimo najlepszych chęci, nie mógł wydostać się na molo. Upewniwszy się, że ma swój nóż, odwrócił się i skoczył prosto na obrzydliwe czułki, oczy i tę groteskową niby-twarz. Obrął sobie cel. Jedno kłapnięcie potężnych szczypców pozbawiło go ramienia, a bezużyteczny nóż wpadł z pluskiem do wody daleko za nim. Wtedy doprowadzone do wściekłości kraby dobrały się do Lo Chee wpychając go najpierw głęboko w błotnistą wodę i gromadząc się wokół niego jak rekiny ludojady. Drewniane molo trzeszczało, kiedy oszalałe w walce o resztki kraby próbowały wyrwać je sobie nawzajem. Spoza doków przyplęnęło jeszcze kilka sztuk, powodując spore zamieszanie i ciasnotę. Zaspokoiwszy głód, pomagając sobie nawzajem, wychodziły na nabrzeże idąc w kierunku Limehouse i Stepney. Uczta była skończona, dzięki bestie znowu ustawiły się w zwykłym, wojskowym szyku. Szczęśliwie, że po dwóch dniach postu wreszcie dostały ludzi, szły przed siebie - szukać nowych ofiar.

Rozdział siódmy

Posiedzenie nadzwyczajne gabinetu Rady Ministrów zwołano w środę wieczorem o ósmej, na Downing Street. O dziesiątej premier wygłosił przemówienie do narodu. Był w miarę spokojny, nawet pozwolił sobie na okolicznościowy uśmiech. Wiadomo, jedną z ważniejszych zdolności, jakie powinien posiadać kandydat na premiera czy ministra, były predyspozycje aktorskie. A premier, jak było ogólnie wiadomo, w młodzieńczych latach udzielał się bardzo aktywnie w amatorskim teatrze.

- Jak wszyscy już wiedzą...- Premier spojrział na notatki. - Nasz kraj przeszedł kilka ataków ze strony gatunku olbrzymich krabów. O istnieniu tego gatunku dowiedzieliśmy się wszyscy kilka lat temu, kiedy zaatakowały ludzi w niektórych miejscach na wybrzeżu walijskim. Teraz, w ciągu ostatnich dziesięciu dni, znowu stanęliśmy w obliczu niebezpieczeństwa z ich strony. Musimy być świadomi, że kraby te są tylko formą życia morskiego i jako takie są traktowane. Tak też należy podchodzić do ich działań. Otrzymaliśmy z pewnego źródła informację, że kraby są zarażone chorobą, która mamy nadzieję wyniszczy je wszystkie w ciągu następnych kilku tygodni. Największym naszym problemem w tej chwili jest kwestia ich zwalczania. Gdyby nasza ludność nie była tak liczna, nie

109

wahalibyśmy się zrzucić bomb na kraby i ich kryjówki w rzekach i rozlewiskach. Gdyby nasi naukowcy nie byli pewni, że te stworzenia noszą w sobie śmiertelną chorobę, użylibyśmy z pewnością środków chemicznych, które tym razem z całą pewnością wyniszczyłyby ten niebezpieczny gatunek. Niestety. Użycie wszelkiego rodzaju środków biologicznych, chemicznych czy nuklearnych jest szalenie niebezpieczne przede wszystkim dla ludzi, a także dla flory i fauny morskiej. Błagam, abyście byli cierpliwi! Panujemy nad sytuacją i obserwujemy wszelkie ruchy krabów. Zrobimy wszystko co w naszej mocy, by chronić życie ludzkie. Śledzimy postępy krabów za pomocą specjalnej aparatury radarowej i jeżeli tylko powstanie jakieś niebezpieczeństwo, natychmiast będziemy ewakuować mieszkańców terenów zagrożonych. Ale proszę was o jedno, nie wpadajcie w panikę. Jeżeli planujecie podróż, zastanówcie się, czy jest ona konieczna. Jeśli nie, w miarę możliwości przelóżcie wszelkie wyjazdy na później i pozostawcie w domach. I jeszcze jedno, trzymajcie się z dala od rzek i wybrzeży morza. - W pół godziny po swojej audycji premier otrzymał informację o ataku krabów na Limehouse i Stepney. Wiedział, że nie osiągnął tego, co było najważniejsze. Jego przemówienie wywołało odwrotny skutek - nie tylko Londyn, ale cała Brytania była na granicy paniki. Te straszliwe morskie bestie miały szansę stać się powodem anarchii i wejścia w życie praw dżungli. Histeria ludzi wspomogła ich destrukcyjny marsz.

Sid Warrenner przechylił się przez stół i wyłączył telewizor. Patrzył na ekran, dopóki biały punkcik nie

110

zniknął całkiem. - Do kurwy nędzy, nie panikujcie. - Zabawnie naśladował mimikę i głos premiera. - Tylko siedźcie na tyłkach tam, gdzie jesteście i czekajcie, aż kraby przyjdą. Za parę tygodni zdechną, ale tymczasem całkiem nieźle dają sobie radę z redukowaniem wyżu demograficznego na naszej kochanej wyspie.

- Co robimy, Sid? - Dianę Warrenner udawała, że robi na drutach. W gruncie rzeczy szło jej to niesprawnie, tak wściekle machała drutami. Zgubiła jedno oczko. Pomyślała, że chyba nigdy nie skończy tego swetra dla Kita. W takiej sytuacji... Dianę musiała coś robić z rękami.

- No cóż, nie możemy tutaj zostać, to jest więcej niż pewne.

- Do rzeki jest stąd jakaś mila.

- Nie obchodzi mnie, czy jesteśmy oddaleni o milę czy o dziesięć. - Sid był uparty i to chyba temu uporowi zawdzięczał swoją pracę w kantine w dokach. - Nie chodzi mi tylko o te pieprzone kraby, ale o to co robią ze wszystkim, co stanie im na drodze. W ciągu najbliższych tygodni nie będzie na pewno żadnej roboty, no i przecież, na Boga, połowa okolicznych terenów nie ma w

ogóle prądu. Policja lata jak kot z pęcherzem. Tylko patrzeć jak wcisną swoje gliniarskie dupy nie tam, gdzie trzeba i zapanują prawa dżungli. Szkoły już dawno zamknięte. Zostańcie w domach - przedrzeźniał znowu premiera - a nic się wam nie stanie. A jeśli się stanie, to będzie nam bardzo przykro.

Dianę Warrener nie odezwała się. Mając 38 lat czuła, że życie jakby usuwało jej się spod nóg. Dawniej nie zależało jej na drogich fryzurach i seansach u

111

kosmetyczek, makijaż robiła tylko na specjalne okazje. Sid nawet tego nie zauważał, zbyt był pochłonięty pracą w związkach. Nagle jednak wszystko zostało podporządkowane jednemu głównemu celowi - bezpieczeństwu!

- Dokąd pojedziemy? - Odłożyła robotkę. W jej głosie brzmiała rezygnacja. Nie miała najmniejszej ochoty nigdzie wyjeżdżać; uważała, że East End jest takim samym miejscem jak wszystkie inne, ale jeżeli Sid mówił, że gdzieś pojedą, to pojedą na pewno. On był szefem.

- Jak najdalej od Londynu. - Zapinał koszulę. - Im dalej tym lepiej. Idę zadzwonić do Alfa w Warrington. On i Gert na pewno przyjmą nas na tydzień lub dwa.

- To nie jest w porządku. - Dianę nie lubiła brata Sida ani Gert. Oboje wtrącali się w nie swoje sprawy, jakby dotyczyły ich osobiście.

- Nie możesz oczekiwać, że z wielką ochotą przyjmą nas, jak dowiedzą się o tym, że przyjeżdżamy w ostatniej chwili.

- Alf i Gert nie będą mieli nic przeciwko temu. - Sid Warrener był pewny siebie. Podjął już decyzję. - Spakuj parę rzeczy, ale naprawdę podstawowych, niezbędnych, a ja wyskoczę do telefonu.

Na ulicy było trochę śpieszących się gdzieś ludzi. Wszyscy wyraźnie mieli jakiś konkretny, konieczny do natychmiastowego zrealizowania cel. Kilka minut później Sid Warrener wiedział już dokąd pędzili. Ponad dwudziestometrowa kolejka ustawiła się przed budką telefoniczną. Ludzie kręcili się nerwowo, klócili

112

się, jakaś kobieta stuknęła w szybę popędzając młodego człowieka, który zbyt długo rozmawiał.

- A niech to szlag! - Wściekły Sid zawrócił w kierunku domu. Wiadomo było, co się dzieje. Wszyscy wpadli na ten sam pomysł. Londyn, a przynajmniej East End, szykował się do masowej ucieczki.

- No i co? - Dianę stała u szczytu schodów z różnymi ciuchami przewieszonymi przez ramię, kiedy Sid wszedł do domu.

- Nic z tego - mruknął. - Przed budką telefoniczną stoją dziesiątki ludzi i nawet jeżeli dopchałbym się do aparatu, nie dodzwoniłbym się na pewno, bo do tego czasu zbiornik na monety będzie pełny.

- To nie jedziemy? - z nadzieją w głosie spytała Dianę.

- Oczywiście, że jedziemy - ostro rzucił Sid. Alf i Gert rozumieją. Najwyżej będziemy spać w śpiworach na podłodze.

- Ale jeżeli ci wszyscy ludzie uciekają z Londynu, to nigdy się nie wydostaniemy! Ulice i autostrady na pewno będą zakorkowane. Lepiej zostańmy tutaj.

- Na łasce krabów i złodziei, którzy ruszą obrabiać sklepy i domy? - Sid był wściekły. - Nie ma mowy! Musimy się stąd wydostać póki jeszcze można. Pośpiesz się, zbieraj rzeczy i zrób przed wyjazdem parę kanapek na drogę. Jak skończysz, zbudzimy Kita i ruszamy!

Dianę Warrener weszła do sypialni i dokładnie zamknęła za sobą drzwi. Nie chciała, żeby Sid słyszał jej płacz. I tak by nie zrozumiał. Nawet nigdy nie próbował.

113

- Trzeba było pojechać inną drogą, a nie przez ten tunel - mruknęła Dianę.

Przed nimi i daleko za nimi ciągnął się sznur samochodów. Od czasu do czasu ktoś zatrafił; i tak wszyscy kierowcy zdawali sobie sprawę z beznadziejności sytuacji. Niektórzy powysiadali z samochodów i ruszyli do przodu sprawdzić co się stało.

- To samo jest na pewno na innych drogach. - Sid obejrzał się. Na tylnym siedzeniu, pomiędzy bagażami spał jasnowłosy chłopiec. - Trzeba było wyjechać już wczoraj, no ale trudno. Dojedziemy tam na pewno, tylko, że o wiele później.

- Co z benzyną? - Dianę zauważyła, że gdy ruszali wskazówka poziomu paliwa stała na połowie. - Jeśli taki tłok jest wszędzie, nie będziemy mieli szans zatankować. Wszystkie stacje będą puste.

- Gdy tylko dostaniemy się do North Circular, coś się znajdzie. Na pewno.

Sid chciał, aby to co powiedział brzmiało bardziej optymistycznie niż myśli, które snuły mu się po głowie. Oświetlenie tunelu stawało się coraz słabsze. W gęstniejących ciemnościach ledwo było widać sylwetki ludzi i samochodów. Wszystko przez te elektrownie. Starają się oszczędzać na oświetleniu autostrad i tuneli. Niepokoił się. Próbował obliczyć, gdzie dokładnie się znajdują. Nie mogli być daleko, może z ćwierć mili od Blackwall Stairs. Pocił się. Żałował, że nie może zdjąć marynarki. W kieszeniach miał mnóstwo potrzebnych rzeczy. Gapił się bezmyślnie przed siebie. Zauważył, że coraz mniej ludzi kręci się przy samochodach. Pewnie mają już dosyć i usiedli wresz-

114

cię na tyłkach. Nie zanosilo się na szybki wyjazd z tunelu.

Nagle przerażająca myśl przyszła mu do głowy. A może East End, z polecenia tego cholernego rządu, został odcięty przez kordony policji i barykady? Może chcą ich wszystkich ofiarować krabom na kolację i zamykając ich tutaj razem z ohydnyimi bestiami czekają aż zdechną? Może w ten sposób próbują ocalić miasto?

Sid wpadł w panikę. Gdyby był sam, na pewno zostawiłby samochód i zwiął. Ale musiał być opanowany. Miał być przecież oparciem dla żony i syna. Może nie było tak źle, jak myślał?

Nagle wszystkie światła pogasły. Stało się zupełnie ciemno. Rozległy się krzyki przerażonych ludzi.

- Sid - szepnęła Dianę - Co teraz zrobimy?

- Nie ruszamy się stąd - mruknął. - Może to tylko chwilowa przerwa w dostawie prądu. Wiedział, że mówi bzdury. Nie włączą światła, zanim nie naprawi się wszystkiego, a to może stać się dopiero za parę tygodni. Kolejna elektrownia poddała się krabom.

Było okropnie duszno, nie pomagały otwarte całkowicie okna. Zaczęli się dusić. Dianę miała rację, nie powinni byli jechać tym tunelem, ale Sid nigdy nie przyznałby się głośno do błędu. Nawet przed samym sobą z trudem to wyznawał. Kit kręcił się na tylnym siedzeniu.

- Gdzie jesteście, mamusiu?

- Utknęliśmy w korku, kochanie. Pośpij jeszcze trochę, a jak się obudzisz będziemy już w drodze do wujka Alfa.

115

- Ale ja nie mogę spać, mammo. Za gorąco mi.

- No to siedź cichutko, synku. Nie możemy na razie ruszyć. - W tym momencie tunel oświetliło kilka mocnych świateł. To niektórzy kierowcy wpadli na pomysł zapalenia reflektorów. Kilkanaście silników zastartowało. Nie wolno było dopuścić do wyładowania akumulatorów. Sid zakasłał gwałtownie i szybko zasunął szyby w samochodzie. Tak czy inaczej wyglądało na to, że się uduszą.

- Co za palant! - krzyknął. - Niechże powyłą-czają te silniki. Do tego jeszcze nic nie widać.

Powiedziawszy to, Sid umilkł. Do jego uszu dobiegał dziwny dźwięk. Początkowo myślał, że to niesprawny silnik któregoś z samochodów tak klekocze, ale po chwili zdał sobie sprawę, że to nie to. Klekot przybliżał się. KLIK-KLIK-KLIK.

- Co to takiego? - Dianę odwróciła głowę, chcąc spojrzeć przez tylną szybę, ale światła półciężarówki stojącej za nimi oslepiły ją.

- Bo ja wiem... - Sid ścisnął kierownicę mokrymi od potu dłońmi. - Według mnie to jakiś młot pneumatyczny. Może to odgłos robót, drogowych przez które sterczymy tu jak idioci.

Śmiechu wart argument nie był w stanie przekonać nawet małego Kita.

- Tato - zachrypiał blondasek - tak stukają te kraby... Widziałem. Pokazywali je w popołudniowych wiadomościach.

Dianę Warrener zmartwiła; wiedziała, że jej syn mówi prawdę. Dźwięk był coraz mocniejszy, wyraźnie słyszeli zgrzyt i łomot, tak jakby te ogromne stworze-

116

nią przechodziły po blaszanych pudłach rezonansowych. Hałas potęgował się z każdą sekundą. Kraby szły przez tunel Blackwell!

Przerażone wrzaski dobiegły z samochodów stojących z tyłu, zatupotały kroki; ludzie wyskakiwali z samochodów, kilku biegło po dachach samochodów.

- Sid - Dianę chwycił kurczowo ramię męża. - Musimy uciekać!

Tym razem Sid nie sprzeczał się. Wydostali się z trudnością na zewnątrz, ciągnąc za sobą rozspanego Kita. Dookoła nich było pusto. Tylko we trójkę pozostali w tym zaśmieconym niepotrzebnymi nikomu samochodami grobowcu. Światła niektórych samochodów pozostały zapalone, tworząc wielkie, złowrogie cienie na ścianach. Nagle Kit potknął się i upadł z krzykiem.

- Co ci się stało Kit? - Dianę ukłękła przy dziecku. Nic nie widziała, słyszała tylko jego jęk.

- Moja noga... mam, moja noga!

- Pokaż - Sid odepchnął żonę i jasny promień latarki oświetlił trupio bladą twarz chłopca i wykrzywioną nogę.

- On chyba... złamał nogę!

- Nie! - krzyknęła histerycznie Dianę - Nie! To niemożliwe!

- Potknął się o zderzak ciężarówki i upadł. - Sid delikatnie wsunął dłonie pod ramiona i kolana syna. Widział jak Kit zaciska wargi z bólu.

- Muszę go nieść. Spokojnie Kit. Uspokój się synku, nie myśl o niczym. Warrener z trudem podniósł się trzymając w ramionach syna i głośno wes-

117

tchnął. Przypomniały mu się ostatnie badania w szpitalu. Okazało się, że ma przepuklinę, ale pewnie do operacji, o której mówiono mu wtedy, nigdy nie dojdzie.

- Weź latarkę, Di. Idź przede mną i oświetlaj mi drogę.

Dianę Warrener zrobiła, jak jej polecono. Strumień światła drgał raz po raz; jej omdlała ze strachu dłoń ledwo trzymała ciężką latarkę. Dianę nie wiedziała, jak daleko zdoła ujść, czuła, że może upaść lada chwila. Musiała się pozbierać, od tego zależało ich życie. Boże, dlaczego to właśnie oni musieli tutaj zostać? Przecież pewnie nie wszystkim udało się stąd uciec.

Straszliwe, metaliczne dźwięki odbijały się echem po tunelu. Zgrzyt miazdzonej stali dobiegał już zewsząd. Kraby ciągnęły wraki samochodów, po których przeszły i ciskały nimi o ściany. Łoskot stawał się coraz silniejszy: armia potężnych skorupiaków deptała, roznosiła w drzazgi i prasowała resztki samochodów wielkimi odnóżami. Grzechot dziesiątek par szczypców stawał się coraz to głośniejszy.

Dianę dusiła się. Nogi krwawiły. Każdy wdech sprawiał jej potworny ból, każdy krok był torturą. Tak dawno już nie pokonywała większych odległości niż te między sklepem a domem. Sid charczał z wyczerpania, nie miał siły wydusić z siebie słowa. Od czasu do czasu jęczał Kit. Cała trójka była wycieńczona do granic wytrzymałości. Potworny dźwięk za nimi zamiast milknąć stawał się coraz głośniejszy. Odgłos rozrywanego metalu był czymś strasznym.

118

Trudno zapomnieć dźwięk, jaki wydaje metal drapany paznokciami. Jako mała dziewczynka raz tylko spróbowała sama drapać bok szkolnego autobusu i od tego czasu bała się usłyszeć podobny odgłos. Zatrzymała się i oświetliła latarką idącego za nią męża z chłopcem w ramionach. Światło zaczynało słabnąć. Wydawało jej się, że tak jak świeca tworzy na ścianie przedziwne cienie, tak dzieje się teraz - w słabnącym świetle latarki. Chyboczące się cienie, większe niż zwyczajne samochody osobowe, wycinały sobie drogę przez stojące jeden za drugim pojazdy.

Trzask, łomot, zgrzyt, brzęk. Kraby z wielką furią roznosiły wszystko co napotkały.

Dianę krzyknęła. Sid próbował biec, ale potknął się i prawie upuściłby syna, gdyby nie oparł się o coś w ostatniej chwili. Kraby zauważyły ich. Jak sądziła Dianę, one widziały od dawna i wiedziały, że ta trójka należy już do nich, choćby nie wiadomo jak szybko uciekała.

Dobiegło ich wściekle sykanie i z daleka zobaczyli palące złością, nienawiścią i żądzą krwi czerwone oczy. Kraby potrzebowały świeżego, ciepłego jeszcze, ludzkiego mięsa!

- Nie uda się nam! - Dyszała Dianę z trudem opanowując chęć uwieszenia się Sidowi na ramieniu.

- Boże, Sid, co my teraz zrobimy? - Gdyby tylko udało im się ocalić Kita! Niech kraby pożrą ich oboje. Ale jak można pertraktować z szatanem!

- Nie mogę... - Sid Warrener doszedł do granicy wytrzymałości. Stanęli przed ciężarówką barykadującą przejście - kierowca prawdopodobnie próbował zawró-

119

cić do domu, ale jak widać nie udało mu się. Skorupiaci były coraz bliżej. Za chwilę dosięgną ich wszystkich.

- Słuchaj - ochryple zwrócił się do żony Sid. Na chwilę byli oddzieleni od krabów. Przez chwilę bestie ich nie widziały. - Nie przedostaniemy się dalej. Ale musimy ukryć Kita!

- Gdzie? - Dianę była przerażona. Poświęcenie matki walczyło w niej z egoizmem i chęcią ratowania samej siebie. - Nie ma gdzie!

- Jest! - Sid wskazał głową żółtą ciężarówkę z naczepą. Dianę poświeciła gasnącą latarką do wewnątrz i ujrzeli rozsypany po kątach wozu towar - jakieś skrzynie, worki, paczki. - Pomóż mi... To nasza jedyna szansa.

- A nie moglibyśmy... nie moglibyśmy ukryć się tutaj we trójkę?

Jakoś dała sobie radę z podniesieniem ciężkiego, omdlewającego z bólu Kita.

- Nie! - Sid ostatkiem sił przeniósł chłopca do środka naczepy ciężarówki. Ukrył go za ustawionymi w piramidę dużymi kartonami. - One nas widziały. Jeśli nie odciągniemy ich stąd, one wrócą... i znajdą także Kita.

Dianę nie mogła powstrzymać łez. Z jej piersi wydarło się spazmatyczne łkanie.

- Mój chłopiec... sam... tutaj... nigdy go już nie zobaczę!

- Chodź! - Sid zeskoczył z platformy i ruszył biegiem ciągnąc za sobą szlochającą żonę. Udało im się przebiec jakieś dwadzieścia metrów, kiedy kraby przebiły się przez barykadę z podstawionej w poprzek

120 ciężarówki. Odlamki szkła, kawałki blachy fruwały w powietrzu. Kraby poruszały się teraz spokojnym równym krokiem. Miało to znaczyć "Biegnijcie sobie, jeśli chcecie, ale i tak was dostaniemy".

Latarka była już prawie bezużyteczna. Wpadali na samochody, potykali się, przewracali i znowu podnosili. Próbowali omijać przeszkody, ale szło im to o wiele wolniej niż potężnym skorupiakom, które wycinały sobie swoją własną ścieżkę. Uciekinierzy nie śmieli spoglądać za siebie. Oboje modlili się o szybki koniec, o to, żeby ich serca przestały natychmiast bić. Potem kraby mogą sobie ucztować. Nie obchodziłyby to ich nic a nic.

Nagle Sid i Dianę poczuli dym! Gryzące opary płynęły stamtąd dokąd biegli. Gwałtowny kaszel rwał płuca, oczy zachodziły łzami; najważniejszą rzeczą było dotarcie do wyjścia po omacku, objijając się o samochody, wydrapując drogę do życia.

Rozpacz, kompletny brak nadziei. Nie zależało im już na niczym, modlili się teraz o to, by Kitowi nic się nie stało.

Kilka metrów przed sobą poczuli ogromny żar. Gorące powietrze owiewało ich ciała, wysuszając w oka mgnieniu lepki pot.

Musieli ostaniać oczy od oślepiających, żółtych jęzorów ognia. Mieli przed sobą olbrzymie płomienie liżące ściany, sufit, pochłaniające wszystko na swej drodze. Posuwały się naprzód z dużą szybkością. Głośna eksplozja wstrząsnęła tunelem, palące się płyty lakieru, obić z samochodów i kawałków rozpalonego metalu przesywały powietrze. Dianę krzyczała, próbując gasić tłące się na niej ubranie. Sid rzucił się na ziemię ochraniając ją

121

swoim ciałem. Kolejne eksplozje ogłuszyły ich echem dobiegającym ze wszystkich stron.

- To skurwiele - Sid przyciągnął Dianę do siebie - Podpalili tunel. Sami uciekli, uratowali się i mają głęboko w dupie czy ktoś w tunelu jeszcze został, czy nie. Najważniejsze żeby utrzymać kraby z daleka!

Dianę nie mogła mówić. Poruszała ustami, ale żaden dźwięk nie mógł przedostać się przez zaciśnięte gardło. Baki z benzyną wybuchały raz po raz, ogień posuwał się coraz dalej. Wszystko było jasne. Dianę widziała, jak przerażone kraby walcząc między sobą uciekały w tę stronę, z której przyszły. Płomienie skakały, docierając do każdego samochodu i każdego baku z paliwem. Jeden za drugim... Dianę Warrener klęcząc potrząsała leżącym na ziemi mężem, biła go pięściami, przeklinała, choć doskonale wiedziała, że Sid nie żyje. Jak ona go za to nienawidziła. - Wszyscy umieramy! I ja, i nasz chłopiec, i ty już jesteś martwy, ale to wszystko przez ciebie! Ty nas tutaj zaciągnąłeś! Zmusiłeś nas, żebyśmy z tobą pojechali, kiedy ja chciałam zostać. Jak ja ciebie nienawidzę! - krzyczała z przerażeniem. W jakiś sposób udało jej się wstać. Widziała walczące między sobą, uciekające kraby, ale nie dbała o nie. One też zdechną. Ruszyła przepychając się przez płonące, groźące w każdej chwili wybuchem samochody. Coś uderzyło ją w twarz. Lecący kawałek rozpalonej blachy dosłownie zdarł jej usta i część policzka. Szalony śmiech wydarł się z gardła powodując olbrzymią fontannę krwi bryzgającej z tego, co przed chwilą było twarzą. Kraby wdrapywały się jeden na drugiego, próbując

122

siłą odpychać się od drogi do wyjścia. Dianę widziała tę potężniejszą górę krabich skorup i nagle zaczęła krzyczeć i rzucać w nie czym się tylko dało. Nagle wielka góra zaczęła się chwiać i olbrzymie skorupy jak lawina spadły na ziemię, zgniatając w jednej chwili ciągle śmiejącą się Dianę.

Kit Warrener odzyskiwał powoli świadomość. Przychodząc do siebie odczuł strach. Zapomniał zupełnie o bólu w nodze, myślał tylko o tym dziwnym niepokoju, który jak szpilka pod paznokciem tkwił mu w sercu. Krzyknął w ciemność. Usłyszał nie swój głos, a dziwne skrzeknięcie. Chłopiec zaczął płakać. Wiedział, że rodzice go zostawili, ale nie wiedział dlaczego. Tak bardzo chciał mieć ich przy sobie! Próbował się ruszyć. Ból przesywał całe ciało. Podciągnął się odrobinę i ułożył wygodniej na wyspanych z jakiegoś pudła worach. Płakał cicho. W oddali słyszał klekotanie wycofujących się krabów. Nagle poczuł, że spada. Próbował chwycić się wystającej deski, ale wymknęła mu się z ręki. Uderzył mocno o asfaltową nawierzchnię. Myślał, że to już koniec. Spadł na coś miękkiego, coś podobnego do materaca, na którym siadywał, kiedy oglądał telewizję.

Gdyby nie to miękkie postanie, na pewno umarłby z bólu. Nie mógł co prawda stanąć na nogę, ale mógł ją ciągnąć za sobą. Człgając się myślał tylko o tym, by to był właściwy kierunek. Modlił się. Posuwał się bardzo powoli, zatrzymując się co kilka metrów i wpatrując w ciemność przed sobą. Na twarzy czuł lepką, ciepłą krew - musiał się skaleczyć o jakiś kawał blachy.

Nawet nie zastanawiał się, kiedy to

123

mogło się stać. Był pewien, że nie wróci do domu. Sądził, że rodzice wykorzystali sytuację, żeby pozbyć się go, porzucili w tej ohydnej ciężarówce, bo go już nie chcą. Nie będzie ich szukał, nie będzie błagał, żeby go zabrali. Chciał znaleźć pomoc, niech mu tylko złożą nogę, a on już sobie jakoś poradzi.

Nie słyszał już krabów i sądził, że oddaliły się o milę, albo nawet więcej stąd. Czas był teraz po jego stronie. Zastanawiał się, która może być godzina. Nie miał pojęcia czy tam, poza tunelem była noc, czy dzień. Próbował określić jak daleko może być od wyjścia, ale wkrótce dał sobie spokój. Zatrzymał go okropny smród. Kit wpatrywał się w ciemność mając nadzieję, że zobaczy skąd on dochodzi. Duszący odór, stokrotnie gorszy od tego jaki unosi się nad zepsutym mięsem. Nieraz przecież matka wyrzucała kawałki do kosza.

Ale to było o wiele gorsze! Usłyszał, że w ciemności coś się porusza, coś drapie i jakoś dziwnie oddycha świszcząc i sycząc. KLIK!

Jak wystrzał z pistoletu. To jest ostrzeżenie! Kit zamarł. Popatrzył prosto w dwa małe, czerwone oczka, które nagle wyłoniły się z ciemności i przewiercały go, groziły mu. Kit późno pojął o co chodzi. Paraliż ze złamanej nogi jakby przeniósł się na całe ciało. Widział tylko parę palających oczu, ale natychmiast wyobraził sobie resztę: czułki, szczypcy sięgające po niego. Kit przeczuwał to wszystko, ale nie mógł wydobyć z siebie słowa. Coś twardego i ostrego szarpnęło go i wbiło się między nogi. Kit

124

chciał się cofnąć, ale już nie mógł. Szczęk, taki sam jaki wydają mamine nożyce do mięsa i potworny ból przegiął go do przodu. Wymiociny bluznęły w oczy oprawcy. Szczypce zacisnęły się teraz na gardle, zatrzymując strumień nie przetrawionych do końca kanapek, zjedzonych przez Kita w drodze. Śmierć przyszła szybko. Odcięta głowa spadła na ziemię wydając tępy dźwięk i potoczyła się w kierunku rozwalonego samochodu.

Krab poczuł krew, ale nie miał siły zabrać się do uczuwania. Oczy pały żywo jeszcze tylko przez chwilę, by powoli zacząć gasnąć.

Pozbawione głowy ciało spoczywało obok, ale krab nie miał siły go podnieść. Szczypce opadły, zmęczone i osłabione. Teraz on poczuł strach. Inne kraby zostawiły go i odeszły. Słaby przegrywa, silny wygrywa. Prawo natury. Wiedział, że ma w sobie coś takiego, co powoduje jego śmierć.

Poczołgał się parę metrów dalej w kierunku, z którego przyszedł i znowu znieruchomiał. Ciało słabło z każdą minutą. Nie było zdolne unieść ciężkiego pancerza. Przykucnął. Wiedział, że nie uda mu się wrócić do wody. Po jakimś czasie poczuł dym i usłyszał eksplozję, ale nie poruszył się. Wiedział, że umrze, a rodzaj śmierci już go nie obchodził, nie miał najmniejszego znaczenia.

Rozdział ósmy

Wyspa Muszli była właściwie sporą mierzeją. Zaczęto ją nazywać wyspą, od kiedy przyplawy zaczęły zalewać jedyną łączącą ze starym lądem szosę prowadzącą do Lianbedr. To miejsce od dawna uważane było za Mekkę pływaków, zakochanych, miłośników przyrody i wszelkiej maści turystów.

Wydarzenia, jakie miały tutaj miejsce pewnego gorącego lata, nie wpłynęły na zmniejszenie ruchu na wyspie, a kolejne ostrzeżenia przed krabami pchnęły tutaj wielu turystów.

Sznury samochodów stały w oczekiwaniu na przejazd w Harlech i Barmouth. Nikt nie miał zamiaru poważnie traktować rad trzymania się z daleka od terenów nadbrzeżnych. Policja zbyt późno zdecydowała się na ustawienie blokad drogowych. Tłumy już wyruszyły na weekend. Jak zwykle.

Larry Wentnor i Jill Maklin przyjechali na wyspę tylko na jeden dzień. Larry, dobrze zbudowany, spalony słońcem trzydziestolatek całe dni spędzał przy pracy na wyrębie.

Jill, niewysoka kobieta o jasnej cerze i ciemnych, opadających na kark, niezbyt czystych włosach rozglądała się niespokojnie dookoła, kiedy w żółwym tempie posuwali się w kolejce. Co pięć minut przesuwali się o kilka metrów w kierunku przejazdu w 126

Tal-y-Bont. Jill obawiała się, że w tym kolorowym tłumie zobaczy jakąś znajomą twarz, bała się, że ktoś mógłby ją rozpoznać. Miała dziwne przeczucia związane z tym dniem.

Larry nie był mężczyzną jej życia. Ot, po prostu przyjaciel. Zawsze wpadał do niej w porze lunchu, która przez to wydłużyła się i zwykle trwała od południa do trzeciej. -Właśnie niedawno Jill uświadomiła sobie, że zaczyna mocniej angażować się w ten związek, ale ciągle jeszcze nie chciała się do tego przyznać. Tłumaczyła sobie, że każda kobieta, której mąż wyjeżdża często na trzy-czterodniowe delegacje, potrzebuje towarzystwa innego mężczyzny. Przecież to nic strasznego.

Ale pozostaje warunek, że nie należy zbyt wiele obiecywać sobie po takich układach. No, ale to była teoria. Jill za każdym razem, kiedy spotykała się z Larrym, czuła coś dziwnego. Jej serce zamierało ha widok tego dużego, silnego mężczyzny. Jej dwuletni syn Melvin na szczęście był jeszcze zbyt mały, by opowiadać ojcu to co widział. Przyszło jej do głowy, że za dwa, trzy lata to dziecko może przysporzyć nie lada kłopotów swojej matce.

Chociaż myśl o utracie Larry"ego była nie do zniesienia.

W zeszły piątek Larry zaproponował mały wypad nad morze. Serce aż podskoczyło jej z radości. Pani Johnson miała zająć się Melvinem przez cały dzień. Jill zastanawiała się co będzie jak spotkają kogoś znajomego. Tym martwiła się najbardziej.

Dojechali do Morchas. Stanęli na zakręcie i Jill,

127

widząc niebieski samochód za nimi, pomyślała ze strachem, że taki sam mają jej sąsiedzi - Wilsonowie. Próbowała dojrzeć numer rejestracyjny wozu, ale niestety był za daleko. Nie, to chyba nie są Wilsonowie. Mimo to czuła niepokój w sercu.

- Nie przypuszczałem, że może być aż tak źle - mruknął Larry przyglądając się czerwonemu samolotnikowi, który zagłuszał jego dalsze słowa. - Wszyscy chcą zobaczyć te słynne kraby. Dlatego tyle tu ludzi.

- Nie sądzisz chyba, że natkniemy się na nie, prawda? - W głosie Jill zabrzmiała nutka niepokoju.

- Skąd! - Larry położył jej rękę na kolanie, co było pierwszym śmielszym ruchem w stosunku do niej. - Na pewno kraby nie pojawiają się w tych okolicach.

- We wczorajszych wiadomościach mówili o dokach na East Endzie. Kraby rozniosły dwie elektrownie. Policja otoczyła teren, ludzie uciekają. Podobno na ulicach jest pełno krwi i trupów, a gangi włamywaczy rabują opuszczone domy.

- Nie martw się. - Ścisnął mocniej jej udo, za co nagrodziła go lekkim uśmiechem. - Londyn jest daleko stąd, a wszystkie kraby są właśnie tam.

- Ale w telewizji ostrzegają przed wyjazdami nad morze.

- Bo tak jest im wygodnie. Ludzie jak zwykle chcą wypocząć, a oni psują dobre nastroje przesadnymi obawami. Nie martw się.

Ja zadbam o wszystko. - Przesunął dłoń wyżej i pomyślał o tym, co będą robić kiedy dojadą na miejsce. Na pewno nie będą zaprzętać sobie głowy krabami. "Do diabła, trzeba było zabrać ją gdzie indziej. - pomyślał. Do jakiegoś

128

cichego, ukrytego przed światem i tłumem pięknego zakątka". Niestety było za późno.

Było już po trzeciej, kiedy wreszcie zajechali na południowy kraniec wyspy.

- Powiedziałam pani Johnson, że nie wrócę późno. - Jill z niepokojem spojrzała na zegarek. - Jechaliśmy tutaj aż trzy godziny! Z powrotem też trzeba tyle liczyć.

- Nie, powrót na pewno zajmie nam mniej czasu. Mówiłem ci, żebyś się nie martwiła.

Wjechał na trawnik parkując na jedynym wolnym miejscu. Na brzegu stały tłumy ludzi. Niektórzy z nich obserwowali morze przez lornetki. "Co za idioci! Niech tylko ktoś rozpuści plotkę, że rekin ludojad czai się w zatoce Cardigan, a już wszyscy polecają go wypatrywać" - pomyślał z niepokojem.

Jill i Larry zjedli kanapki przygotowane na drogę. Larry ściągnął koszulkę, odsłaniając zarośnięty, potężny tors.

- Wzięłaś kostium kąpielowy? - Miał nadzieję, że to będzie skape bikini.

- Tak - powiedziała Jill rumieniąc się. Larry podniósł ją po raz pierwszy od kiedy zaczęli się spotykać. - Ale... to chyba nie jest najlepszy pomysł, żebyśmy poszli się kąpać?

- Możemy zaszyć się na wydmach i trochę zabawić w promieniach słońca, co? - Uśmiechnął się. Jill skinęła tylko głową i otworzyła drzwi samochodu.

- No, to wykorzystajmy to piękne popołudnie, jak tylko się da.

Przeszli około stu metrów, brnąc po kostki w miękkim, rozgrzanym piasku i przedzierając się przez

129

szorstką wydmową trawę. Wreszcie znaleźli wymarzony, osłonięty od wiatru i ludzkiego wzroku kącik. W oddali zobaczyli parę nastolatków. Tamci na pewno mieli takie same zamiary. W przeciwnym razie, po co mieliby tu chodzić? Usiedli na rozłożonych kocach. Larry objął Jill i mocno przytulił. Był zadowolony, że nie jest spięta i nie próbuje go odpychać. Wiedział, że nie ma do czynienia z łatwą kobietą; musiał być ostrożny. Jill Macklin czuła, że krew w skroniach tętni coraz szybciej, a sumienie głośno daje o sobie znać. Przez całą drogę powtarzała sobie, że to tylko zwykła wycieczka nad morze, że Larry jest po prostu przyjacielem i nikim więcej. Co z tego, że ją podnieca? Nie było mowy, żeby został jej kochankiem. Nigdy nie poszła do łóżka z innym mężczyzną poza Geoffem, jej mężem. Zresztą nawet z nim kochała się po raz pierwszy dopiero po zaręczynach.

Twarz Larry'ego była bardzo blisko. Szeptał coś, ale Jill nie rozumiała słów. Zamknęła oczy i poczuła jego gorące wargi na swoich ustach. Ku swemu zaskoczeniu odpowiadała na pocałunki chętnie i zachłannie, chcąc więcej, więcej... Larry popchnął ją lekko na piasek. Leżała teraz zasypana namiętymi, wściekłymi niemal pocałunkami, chciwie rozchyłała wargi, obejmowała mocno jego głowę i przytulała się do niego ciasno. Mgielka rozkoszy przysłoniła oczy, w głowie panował okropny zamęt.

Z oddali przyplłynął zamazany obraz pierwszej randki z Geoffem. Poszli wtedy do parku, siedzieli na ławce, rozmawiali i on zdedył się na odwagę, żeby ją pocałować. Potem robili to często, ale nigdy w taki

130

sposób! Za wszelką cenę starała się zapomnieć o istnieniu Geoffa.

- Myślałem, że chciałaś założyć kostium... - Larry uniósł się lekko i patrzył na nią z uśmiechem.

- No, cóż... - Zacerwieniła się znowu. - Może się przebiorę, ale najpierw muszę znaleźć jakieś osłonięte miejsce...

- Nie ma w okolicy bardziej osłoniętego dołka niż ten - powiedział wstając. - A ja założę swoje kąpielówki.

Jill spaşowiała. Sumienie mówiło jej "nie", ale coś o wiele głoşniej wrzeszczało "tak!!!".

Larry rozpinął spodnie. Drżącymi rękami szarpała zamki i guziki. Wiedziała, że nic jej nie powstrzyma i że za chwilę zedrze z siebie wszystkie szmatki i położy się, piękna i naga obok przystojnego mężczyzny i pozwoli mu zrobić ze sobą co tylko będzie chciał.

Odsłoniła piersi i spojrzała na Larry'ego. Jego opalone ciało błyszczało w słońcu. Nie mogła odwrócić oczu od nabrzmiałego pożądaniem członka. Poczucie winy osłabło już zupełnie. Nikt się o tym nie dowie, Geoffowi nawet przez myśl nie przejdzie, że ona... - Jill zadrzała.

Powoli zsunęła spódniczkę i koronkowe majteczki. Znowu zamknęła oczy. Wzrok Larry'ego palił ją, płomień sięgał wilgotnego wnętrza między udami. Spletli się w mocnym uścisku i osunęli na gorący piasek. Larry całował jej szyję, językiem pieścił piersi i sutki, aż stały się ciemnoczerwone i twarde. Jego ogniste pocałunki sięgały coraz niżej, wreszcie dotarły do rozchylnych ud. Konwulsyjne drgnięcie szarp-

131

nęło całym ciałem Jill, a jęk rozkoszy wydarł się z gardła, kiedy piśszczotami okrył jej wilgotną szparkę. Geoff nigdy tego nie robił!

Gorące pocałunki i piśszczoty Larry'ego sprawiły, że Jill utonęła w uczuciach, których nigdy dotąd nie zaznała. Oboje wili się przeżywając kolejne orgazmy. Wreszcie wyczerpani ucichli w czułym uścisku, z którego Jill chciałaby się nigdy nie wyzwolić. Ani dla pani Johnson, ani dla Melvina, ani tym bardziej dla Geoffa!

Silny dreszcz wstrząsnął ciałem Jill. Zasnęli! Spojrzała na Larry'ego. Leżał z zamkniętymi oczami ciągle ją obejmując. Słońce czerwonałą toną oświeśla bezchmurne niebo, skłaniało się już ku zachodowi ciągle jeszcze było gorąco. Z niemałą trudnością uwolniła lewą rękę i popatrzyła na zegarek. W pół do siódmej. Potrząsnęła Larry'ego za ramię.

- Wiesz, która jest go... - Natychmiast otworzył oczy. Prawdopodobnie nie spał, tylko leżał odpoczywając.

- Nie ma pośpiechu!

- Ależ tak! Pani Johnson będzie się denerwowała. Powiedziałam jej, że jadę do siostry, do Birmingham, i że nie wrócę późno...

- Możesz przecież wrócić nocnym pociągiem. - Zaśmiał się miękko. - Nasze koleje nie należą do najpункtualniej szych, więc dodasz, że jeden pociąg odwołali, a drugi się spóźnił. Nie martw się, Mel-vinowi nic się nie stanie. No, a poza tym nie możemy przecież psuć tak miłego dnia pośpiechem, prawda?

Zsunął dłoń między jej uda i delikatnie głaskał. Jill

132

Macklin nie mogła nic poradzić na to, że jej ciało znowu zanurzało się w cudowne nurty rozkoszy i gotowe było na kolejne chwile miłości.

Larry nakrył ją swoim mocnym, pożądliwym ciałem i pocałunkami sprowadzał spokój i zapomnienie. To, co robił przekonywało ją, że należy wykorzystać każdą cenną sekundę.

Dla Jill Macklin czas się zatrzymał. Na całej ziemi nie było nikogo innego tylko ona i Larry; oboje unosili się w miłosnych przestworzach i nic innego się dla nich nie liczyło.

Rzeczywistość stopniowo dawała o sobie znać. Na letnim niebie błyszczały miriady gwiazd, ale to nie był obraz ze świata marzeń. To Wyspa Muszli i późny, letni wieczór.

- Musimy wracać! - Jill usiadła i sięgnęła po skotłowane ubranie.

- O, Boże! Już za piętnaście dziesiątą!

- Nie panikuj! - Larry niechętnie naciągał obciste jeansy. - Zobaczysz, że dowiozę cię do domu przed północą.

- A to co? - Zamarła zapinając biustonosz.

- Co?

- Ten hałas.

- Nic nie słyszę.

- Oboje wsłuchiwali się w odgłosy letniej nocy. Lekki podmuch wiatru przyniósł dalekie odgłosy z pola namiotowego i... coś

jeszcze. Jakieś dziwne, szybkie stukanie, jakby bardzo pracowitego dzięcioła, wierzącego dziurę w szczególnie twardym pniu drze

wa.

133

KLIK-KLIK-KLIK.

Z każdą chwilą coraz szybsze. Ale... przecież w okolicy nie ma żadnych drzew, ani tym bardziej dzięciołów, które kułyby w nocy!

- Co to może być? - Ciekawość w głosie Lar-ry'ego zdominował strach.

Wstał i razem z Jill przytuloną do ramienia ruszyli wydeptaną ścieżką do tego miejsca na wydmach, z którego widać było morze.

- Boże jedyny! - Oboje zobaczyli je w tej samej chwili. Dwa szeregi ciemnych, zwalistych sylwetek wyszły z fal formując natychmiast olbrzymią literę V. Niezdarnie kolebiąc się na boki, armia cieni szybko posuwała się w głąb wyspy.

- Uciekajmy! - Larry odwrócił się i pociągnął za sobą Jill. - Musimy jak najszybciej się stąd wydostać!

Brakowało jej oddechu, kiedy przebiegłszy wydmy wydostali się na porośniętą ostrą trawą przestrzeń.

Poniżej, w niewielkiej dolince stały porozrzucane na całej jej szerokości kolorowe, różnej wielkości namioty. Przed niektórymi paliły się gazowe lampy.

- Musimy... ostrzec tych ludzi! - wyjąkała ledwo łapiąc powietrze.

- Nie ma czasu! - Larry znowu poderwał się do biegu. - Na pewno usłyszą je, zanim te obrzydliwa tu dotrą.

- Nie, Larry! - Chwyliła go, chcąc zatrzymać, ale on nie zwolniwszy ciągnął ją za sobą. Jill z trudnością zebrała siły i jak tylko mogła najgłośniejszym krzyknęła:

- Kraby są tutaj!!! - Jej przenikliwy wrzask.

134

zawisł na chwilę w powietrzu cichego wieczoru i rozlał się echem ostrzegając przed wielkim niebezpieczeństwem.

"Kraby ... kraby są tutaj ... tutaj... tutaj..." Poły namiotów w jednej sekundzie popodnosiły się, a mieszkańcy kolorowych letnich domów wyskakowali z nich jak oparzeni. Niektórzy z nich byli zupełnie nadzy - wyrwani ze snu wygrzebywali się ze śpiworów, niektórzy ubrani - kończący późną kolację. Panika. Dzieci trzymały się kurczowo rodziców, płacząc z przerażenia. Dorośli niepewni, zaskoczeni, nie mogli w to uwierzyć.

Wreszcie usłyszeli ten paraliżujący odgłos maszerujących krabów. Były kilkaset metrów od obozowiska, na wydmach.

- Szybkiej! - Larry biegł ku swojemu białemu MGB stojącemu samotnie na trawniku.

- Musimy dojechać do przejazdu, zanim dotrą tam obozowicze. Korek na drodze oznacza śmierć. Larry wskoczył za kierownicę i zapalił silnik. Wycieczona Jill osunęła się na siedzenie obok. Odwróciła się i przez tylną szybę patrzyła na wąską drogę za nimi.

Samochody ruszały jeden za drugim. Larry ostro wszedł w zakręt, jadąc z dużą szybkością. Opony zapiszczały, ale samochód mocno trzymał się nawierzchni. Kilka samochodów za nimi nie wyrobiło się i wypadło z trasy, z trudem mieląc kołami nierówne i piaszczyste poboczne. Larry i Jill byli pierwsi przy przejeździe. Dookoła stały gęsto oświetlone budki toalet i sklepików z pizzą. Larry poczuł skurcz w żołądku. W takiej chwili jeść? Ręce na kierownicy

135

drgnęły, skręcając ją o kilka milimetrów. Mało brakowało, a rozbiłyby budkę strażnika czuwającego przy przejeździe. Udało im się wyprzedzić tłum. Prowadzili w wyścigu o życie. Wygrali!

Larry'emu okrzyk ulgi już cisnął się na usta, kiedy gwałtownie nacisnął hamulec. Samochód obrócił się w poprzek wąskiej drogi, podskoczył i prawie przewrócił się do góry kołami. Tylny koło uderzyło o spory kamień leżący na drodze i opona pękła jak nadmuchany dziecięcy balonik. Jill nie mogła powstrzymać okrzyku przerażenia. Na domiar złego przed nimi, tam gdzie spodziewali się zobaczyć dalszą część szosy, była tylko ciemna i cicha woda. Przyptływ! Droga ratunku odcięta!

Larry wysiadł i podał jej rękę. Jill była roztrzęsiona z trudem mogła mówić.

- Czy nie dałoby się... tego... przejść? Rozpacz i strach podsuwały jej myśli ostateczne. Wszystko jest lepsze od dostania się w szczypcę krabów.

- Nie da rady! - mruknął. - Chyba nawet nie dałoby się tego przepłynąć. Słyszałem o silnych prądach, a poza tym, tutaj też mogą być kraby!

Jill wzdrygnęła się. Nadjeżdżały inne samochody reflektorami oświetlając wszystko dookoła. Kierowcy i pasażerowie wysiadali i tłoczyli się w małych grupkach. W ich oczach tlił się strach. Wiedzieli, że są w pułapce. Nasłuchiwali.

Grzechot szczypców stawał się coraz głośniejszy i przybliżał się. Kraby wiedziały, że ich ofiary są tutaj wszystkie zgromadzone w jednym miejscu.

Nagle oślepiło ludzi białe światło. Z ciemności

136

wyłoniły się zasięki, niskie betonowe budynki wyrastały z nocy jak grzyby po deszczu. Wibrujący ryk silników zagłuszył klekotanie atakujących krabów. Eskadra kilku dosłownie samolotów, przygotowana przez Departament Bezpieczeństwa, wystartowała. Jedna po drugiej od ziemi odrywały się niewielkie maszyny, leciały przed siebie zaznaczając kierunek jasnymi czerwonymi światełkami. Samoloty wlatywały w niebo, zataczały krąg nad krabami i wracały. Baza od dawna była przygotowana na taką akcję. Czekano tylko na odpowiednią chwilę.

Kraby rozniosły pole namiotowe jednym wściekłym uderzeniem. Tropiki, ubrania, całe wyposażenie fruwało w powietrzu, skorupiaki rozrywały wszystko. Nie zatrzymały się długo na polu. Szły dalej, wyczuwały człowieka i wiedziały, że go znajdują. Kiedy znalazły się niedaleko starej farmy i stodoły, nadleciał pierwszy samolot, zniżył nieco lot i otworzył ogień. Adeny - działa specjalne - w bezpośrednim kontakcie ścinały nawet najpotężniejsze drzewa i dziurawiły na sito grube blachy.

Łomot dział zagłuszał absolutnie wszystko. Kraby tymczasem zniknęły. Nadleciało więcej samolotów. Teraz przypominały stadko rozjuszonych os. Strumień ognia bluzgał z wnętrza maszyn raz po raz przecinając jasną błyskawicą letnią noc, zupełnie tak, jakby szalała burza z piorunami.

Całą wyspę przesłonił kurz wzniecony przez strzelaninę. Piloci latali dookoła. Czekali.

Z chmur pyłu i piasku kraby wyszły prawie nietknięte, a w każdym razie żywe i rozwścieczone, prace

137

naprzód w poszukiwaniu zemsty! Pierwsze runęły pobliskie budynki. Takiej pracy nie wykonałoby dwanaście buldożerów. Nie w tak krótkim czasie! Ściany przewracały się, jakby były z papieru, rozpadały się w drobny mak pod ciężkimi cielskami

maszerujących dalej krabów.

Grupa przerażonych ludzi tłoczyła się nad wodą. Larry przytulając mocno do siebie Jill, myślał co można by zrobić dla nich obojga. Jill spazmatycznie płakała, raz po raz przenikały ją dreszcze. Kilka osób próbowało ruszyć wpraw na stronę Lianbedr, ale nie udało im się. Wszystko co słyszeli tutaj, na brzegu, to kilka wrzasków, przekleństw, błagań. Ciemności nie pozwalały widzieć rozgrywających się tam scen, ale było pewne, że pod wodą ukrywa się więcej krabów.

Kraby schodziły do stłoczonych na dole ludzi. Znacznie zwolniły kroku w miejscu, gdzie kończyła się szosa. Wiedziały, że nie ma dla ludzi żadnego ratunku i nie trzeba się spieszyć!

Wtem nadleciały buczące jak bąki trzy helikoptery. Spuszczano sznurowe drabinki. Ludzie przepychali się, walczyli ze sobą, odpychali jedni drugich, próbowali za wszelką cenę jako pierwsi dostać się do zbawiennego, choć trudnego do złapania sznura.

Kraby zorientowały się o co chodzi i z wściekłością rzuciły się do przodu. Nie mogły pozwolić, żeby ich ofiary uciekły spod ostrych jak brzytwy szczypców.

W jakiś sposób Larry'emu udało się unieść Jill do drabinki. Krzyknął, żeby chwyciła się mocno i wspinała się, nie patrząc w dół. Dłonie innych ludzi odpychały go, ścigały w dół. Ich stopy wgniatały go

138

w ziemię. Larry krzyczał i bił napierających. Wszyscy bili się między sobą. -

Helikoptery odleciały. Przynajmniej dwanaście istnień ludzkich zostało ocalonych.

Kraby dotarły już do tego miejsca i z wściekłością rzuciły się na tych, którzy pozostali. Wpadły w furję, bo pozbawiono je części zdobyczy. Rozpoczęły masakrę, pozostawiając porozrywane i zmiażdżone ludzkie szczątki. Kilku żywych próbowało uciekać na oślep do wody, ale i tak spotkał ich ten sam, los co resztę. Samoloty wróciły, ale nie strzelały. Może lepiej by było, gdyby otwierając ogień dobiły tych nieszczęśników, którzy jeszcze żyli.

Kraby zmieniały kierunek. Do grupy działającej na lądzie dołączył spory oddział z wód nad zalaną szosą. Ich nowy kierunek był wyraźny Baza Departamentu Bezpieczeństwa. Płomień wytrysnął im prosto w oczy z ziemi i spadł z nieba na kark. Potwory wzięto w dwa ognie - artyleria z lądu i powietrza. Kawałki odprysniętych skorup latały w powietrzu jak pociski niszcząc zasieki, wybijając okna i robiąc dziury w tynku betonowych domów. Wróciły helikoptery i też otworzyły ogień.

Strzelanina nie przeszkadzała specjalnie najeźdźcom. Ewakuacja Wyspy Muszli trwała. Helikoptery ruszyły w głąb wyspy, by za chwilę wrócić. Zasieki, betonowe budynki zostały rozniesione w proch i pył, wdeptane w ziemię.

Adeny nie przerywały ognia, ale ich strzelanina była już tylko protestem przeciwko atakowi. Nie miała najmniejszego sensu.

139

Kraby zatrzymały się na chwilę, jakby podziwiały swoją pracę. Zrównanie z ziemią Wyspy Muszli było czymś wielkim. Ich poprzednicy nie mogli zrobić tego lepiej, bo byli słabsi, gorzej zorganizowani i nie było ich tak wielu. Teraz dawne zamierzenia zostały zrealizowane. Pole namiotowe, baza wojskowa nie istnieją. Nienawiść parowała z ich popękanych, poszarpanych pociskami pancery. Wielkie skorupy były potraskane, ale ciała ani odrobinę nie naruszone przez kule. Ciała gnily od środka. Zżerane przez rakowate naraśla. Tylko parę chwil pozwoliły sobie na podziwianie swojego kolejnego krwawego zwycięstwa. Czas je gonił. W ich przerażających oczach błyszczała nie tylko nienawiść, ale coś co było silniejsze nawet od tego uczucia, pchającego te istoty do walki z ludzkością. To była siła, która doprowadzała je do granic rozpacz - bó!

Zawróciły. Ruszyły z powrotem ku obozowisku, ciągnąc za sobą kawałki podartych tropików i ubrań. Wspięły się na wydmy i grzęznąc w miękkim piachu przeszły na drugą stronę, na plażę.

Nad nimi krążyły samoloty, sprawdzając ich trasę. Kraby doszły wreszcie do wody, która jak zwykle szybko, jak gdyby ich nigdy nie było, ukryła je przed ludzkim wzrokiem. Teraz pozostały widoczne tylko dla radarów. Skorupiaki nie popłynęły w głąb morza, ale wzdłuż wybrzeża, kierując się na południe. W tej ich wędrówce było coś niesamowicie dokładnego, tak jakby duchy ich przodków określały im trasę tej ostatniej zemsty.

Wyspa Muszli zniknęła, ale dziewięć mil dalej na

140

skalistym wybrzeżu wznosiło się Barmouth. Czekają. Jego mieszkańcy nie zapomnieli o tym, co się wydarzyło, tak jak nie zapomnieli o tym te potworne skorupiaki.

Rozdział dziewiąty

- To nie do wiary! - Profesor Cliff Davenport potrząsnął głową. W ciągu ostatnich trzech dni sypiał po kilka godzin między kolejnymi raportami o krabach, ich miejscach pobytu i atakach. - Rozniosły zupełnie Wyspę Muszli i, jak donoszą obserwatorzy, kierują się na Barmouth. Nabieram przekonania, że wróciły tutaj, by się zemścić.

- Zdaje się, że znowu będziemy musieli użyć chemii. - Grisedale patrzył na siedzących w jego biurze mężczyzn i czekał na ich decyzje.

- Nie mamy wyboru. Życie i własność obywateli są zagrożone. Jego słowa poparł pomruk akceptacji.

- Niestety - kontynuował Grisedale - jest tylko jedno miejsce, w którym możemy kraby zniszczyć:

Zatoka Cardigan. Nie wolno nam użyć środków chemicznych czy promieniotwórczych w pobliżu gęsto zaludnionej okolicy. Na przykład w okolicach Tamizy. W ostateczności możemy jeszcze brać pod uwagę kanał Bristolski.

- Przepraszam. - Podniósł się nadinspektor Wic-klow. - Mamy poważne problemy na East Endzie. Wszyscy mieszkańcy tej dzielnicy myślą o ucieczce. Nie dziwi mnie to, ale niestety, byliśmy zmuszeni otoczyć teren kordonami policji, co spotkało się z

142

ostrą krytyką prasy. Masakra w tunelu Blackwall była punktem zapalnym tej sytuacji. Zaczęło się od tego, że wszyscy chcieli uciec w tym samym czasie i utknęli w korku, z którego nikt nie wydostałby się przez dobre kilka dni. Wtedy nadeszły kraby. Ktoś z tych, którym udało się uciec z tunelu, podłożył ogień, bo, co zrozumieli, sądził, że to zatrzyma bestie. Teraz ktoś obwinia władzę za ten pożar i oskarża, że nie zważyła na własność obywateli. Oczywiście nikt, kto myśli realnie, nie da wiary tej plotce, ale parę takich głosów wypowiedzianych w parlamencie wystarczyło i teraz na całym East Endzie szaleją gangi, rabując i wzniciając burdy uliczne. Bardzo to nam dezorganizuje pracę. Mamy mało ludzi i wszyscy są zaangażowani w walkę z krabami i skutkami ich ataków. Kryminaliści bezbłędnie wynajdują miejsca nie strzeżone i organizują tam swoje siedziby. Triady i ludzie z Si-Kiang swobodnie otrzymują i wysyłają setki kilogramów narkotyków, a my nic nie możemy zrobić. Może się

zdarzyć, że zanim wszystko wróci do normy, stracimy kontrolę nad sytuacją. - Nadinspektor z trudem powstrzymał się, żeby nie dodać "o ile wszystko kiedykolwiek wróci do normy".

- Zadaniem służby porządkowej jest - odchrząknął - utrzymanie spokoju na ulicach. Nie mogę wysłać moich ludzi do walki z krabami, bo to jest działka regularnych oddziałów wojskowych.

Grisedale skinął głową. Zgodził się z nadinspek-torem, bo nie miał innego wyjścia. Radary śledziły nieustannie ruch krabów, a na ściennej mapie wciąż przybywało czerwonych chorągiewek, oznaczających

143

miejsca, gdzie bestie się pojawiły. Było ich wiele, ale wszystkie zdecydowanie wskazywały jeden kierunek

- środek kraju. W okolicach Richmond znaleziono ciała dwóch martwych krabów, a w niewielkiej zatoczce na rzece Heniey - kilku. Grisedale nie mógł się nadziwić, jak mogło im się udać dojść do samego serca Anglii.

- Jest tylko jedno wytłumaczenie. - Cliff Daven-port zagryzł wargi. Teraz dopiero wiedział, jak mógł się czuć Darwin, kiedy ogłaszał swoją teorię ewolucji.

- Wiadomo, że kraby giną z powodu ciężkiej choroby nowotworowej. Zgadza się też z tym, że przeprowadzają straszliwy plan zemsty, który prawdopodobnie ma w założeniu wyniszczenie całego rodzaju ludzkiego. Z jakiegoś niezrozumiałego dla nas powodu, skorupiaki kierują się w głąb łądu. Jak zdołałem ustalić, ten gatunek krabów-mutantów przezwyciężył w sobie potrzebę stałego przebywania w słonej wodzie. Nie wiadomo dlaczego. Dość, że mogą przeżyć w rzekach lub jeziorach słodkowodnych. Ale pozostaje, panowie, pytanie: dlaczego kraby decydują się na pewną śmierć na łądzie, kiedy mają setki tysięcy mil kwadratowych słonych oceanów, w których mogłyby z powodzeniem żyć? Na to jest tylko jedna odpowiedź. Z pewnością słyszeliście o tajemniczych miejscach w głębokiej dżungli, gdzie z dala od ludzkiego wzroku zdychają słonie. Wielu podróżników i łowców próbowało odnaleźć te tajemnicze cmentarze, ale bezskutecznie. Sądzę, że podobnie jest z krabami. Szukają jak najbardziej oddalonego od morza miejsca, gdzie mogłyby spokojnie umrzeć.

144

Westchnienia i pomruk niedowierzania przebiegły po sali. Wicklow nie ukrywał, że nie jest w stanie w to uwierzyć. Potrząsano głowami, parskano z niedowierzaniem, ale nikt z obecnych nie odważył się wypowiedzieć na głos swoich myśli. Wszyscy znali i szanowali profesora od lat. Teraz, kiedy, jak im się zdawało, zmienił kompletnie taktykę, nie wiadomo było, czego się spodziewać. Sytuacja była ogromnie napięta.

- Co wobec tego planujesz, Clifford? - Grisedale spojrzął na profesora zmieszany.

- Jadę do Walii. - Cliffbył już zdecydowany. - Wydaje mi się, że tam będę najbardziej przydatny, a poza tym mam do wyróżnienia pewne rachunki z tymi potworami. Pobiliśmy je kiedyś właśnie tam, więc teraz też chciałbym być przy ich zniszczeniu. Mam nadzieję, że tym razem ostatecznym. Wicklow może spokojnie rozpoczynać przywracanie porządku na East Endzie. Nad Tamizą i Severną jest sporo oddziałów. W razie, gdyby kraby pojawiły się tam i ruszały znowu na Londyn, żołnierze RAF'u i jednostek łądowych na pewno postarają się je powstrzymać. Ale jeśli te paskudne bestie dojdą do Barmouth - już my im zgotujemy krwawą łąźnię!

Północno-wschodnie wybrzeże Brytanii tradycyjnie rozkoszowało się wakacyjnym lenistwem. Hotelarze cieszyli się z przepięknej tego lata pogody, która umożliwiała im lepsze interesy i dawała szansę na konkurowanie nawet z południowym rejonem kraju, zwanym Brytyjską Riwierą. Co niektórzy wspominali o krabach i ich wyczynach na południu i zachodzie, ale mało kto wierzył, że skorupiaki mogą zająć tak

daleko na północ. Tylko jedna niewielka grupa krabów tam dotarła i słuch po niej zaginął. Nie, tu, do Skegness nie przyjdą! Tym bardziej do Mablethorpe i Filey. Oczywiście, że jest kilku wariatów, którzy chcieliby zobaczyć przerażające skorupiaki na własne oczy i najchętniej pojechaliby na południe. No, ale na szczęście jest ich zdecydowana mniejszość.

Rodzina Rega Clifforda od wielu lat przyzwyczajona była do rytuału łowienia ryb. Dla Rega nie było to tylko przyjemne spędzanie czasu z dala od domu i żony krzającą się przy kuchni. Bez względu na pogodę i dzień tygodnia potrafił godzinami przesiadywać nad wodą i nie zważać na nic. Na początku małżeństwa miała, okrągłutka, rudowłosa Hilda narzekała, że Reg zostawia ją samą z małym Samuelem, ale to nic nie zmieniło. Reg jak dawniej wychodził z kijami nad wodę. Raz udało mu się chwycić szczupaka. Co to była za radość! Niestety, trwała krótko, bo okazało się, że niewłaściwie przyrządzony "rekin jezior" ma twarde i gorzkie mięso. Reg jednak nie zważał na to i wmówił żonie, że to specyficzny smak, którym należy się delektować i w ten sposób szczupak stał się u Cliffordów delikatesem. Hilda drżała na samą myśl, że Reg może jeszcze kiedyś złowić następnego...

Stopniowo i Hilda wciągnęła się w te zabawy z kijem i żyłką. Zaczęła towarzyszyć mężowi w jego wyprawach, z książką na kolanach i pod wielkim, zielonym parasolem, który ochraniał ją w skwarne dni i w pluchę. Początkowo mały Sam sprawiał wiele

146

kłopotów. W czasie swojej drugiej wyprawy na ryby wpadł do wody i Hilda musiała go odwieźć do domu i przebrać. Ojciec,, uznawszy, że syn przeszedł chrzest, przyciął mu solidną, wierzbową wtkę i zamocował żyłkę i haczyk. W ten sposób sześćioletni Sam Clifford ruszył w ślady swego ojca. Szczęście uśmiechnęło się do niego zaraz na początku - złapał niedużego okonia. Sukces zaostrzył apetyt obu mężczyznom. Okoń nie wrócił do wody jako zbyt mały, ale przyrządzony niechętnie przez Hildę wylądował na talerzach.

Mniej więcej od tego czasu datuje się wstąpienie Hildy w szeregi miłośników wędkarstwa. Mówiła sobie stare przysłowie o wronach i krakanu i lżej robiło jej się na duszy. Już nie narzekała.

Doroczne wakacje oczywiście nie mogły obejść się bez wędkowania. Dodatkową atrakcją była możliwość wędkowania morskiego - a to była najlepsza rzecz w tym sporcie. Reg nalegał. Tłumaczył Hildzie, kiedy pierwszy raz przyjechali do Barmouth, że nawet jeśli się aktywnie nie wędkuje, to raz w życiu powinno się spróbować spędzić kilka godzin na morzu z kijem, w małej łódce.

Tak się złożyło, że morze powitało ich lekko wzburzone, ale Reg nie czekał ani chwili. Zabrał rodzinę i ruszyli na połów. Hilda i Sam bardzo to odchorowali, ale Reg, jak stary żeglarz, nie zważał na bujające łódką fale. Po tej przygodzie Hilda miała dosyć morskiego wędkowania - zdecydowała, że zostanie na brzegu.

W ostatnim tygodniu lipca rozpoczynały się urlopy. Reg odkładał zaległe wolne dni, żeby łązbierać bajeczne dwa tygodnie. Prognoza pogody na najbliższe kilkanaście dni przewidywała dalszy ciąg fali upałów, która nie opuszcza wysp od maja. Wszystko zapowiadało się wspaniale.

Do chwili, kiedy dowiedziano się o ataku na Wyspę Muszli.

Nawet Reg Clifford miał wątpliwości, czy powinien łowić nad zatoką. Nie chodzi tutaj o niebezpieczeństwo, ale o łąwicę ryb, które czują się zagrożone, uciekną. Stanie nad wodą będzie wtedy bez sensu. Kiedy wrócił z najnowszym numerem "Express

Star" przeczytał na pierwszej stronie wielki nagłówek:

KRABY WRACAJĄ, BY ZAATAKOWAĆ WYBRZEŻE WALII.

Hilda odetchnęła z ulgą, kiedy usłyszała te wieści. Miała nadzieję, że może wędkowania już w tym roku nie będzie. Ale to, niestety, nie było możliwe w ich rodzimym! Reg już przejrzał kolumny ogłoszeń i znalazł "idealne mieszkanie dla wędkarza" w Filey. Hilda zamruczała ze złością, ale musiała to zaakceptować. W Filey przynajmniej jest bezpiecznie.

Reg Clifford dobiegł już pięćdziesiątki i nie zachwycał się pracą wymagającą wysiłku fizycznego. Miał jedno wielkie marzenie: wygrać olbrzymią sumę w totalizatora! Ta myśl pomagała mu żyć z tygodnia na tydzień. Mieszkali we trójkę w niewielkim domu z ogrodem, który nie uprawiany przez jakiś czas zdziczał i porósł zielskiem. Wielokrotnie obiecywał Hil-dzie, że zabierze się do porządkowania grządek, jak tylko znajdzie odrobinę czasu. Na łowienie ryb czas znajdował się zawsze!

148

Teraz Reg studiował skomplikowane zasady wędkowania na otwartym morzu.

- Drogo. - Reg w zamyśleniu tarł policzki i podejrzliwie przyglądał się ubranemu w wytarte, wojskowe łachy właścicielowi wypożyczalni łodzi. - Trzy funty za godzinę! W Barmouth tylko...

- To nie jest Barmouth - odparł ponuro mężczyzna i dodał: - O ile to Barmouth jeszcze istnieje.

- Chłopiec płaci połowę, prawda? - Sam miał 12 lat, ale wyglądał na więcej.

- Pan chyba żartuje, proszę pana. Chłopak ma piętnaście lat, jak nic, a pan plecie o połowie ceny. Poza tym, jeśli pan łowi, płaci pan całość. O połówkach mogę rozmawiać z pasażerami statków wycieczkowych.

Reg szybko przeprowadził obliczenia. Pięć razy trzy funty za godzinę. O, rany! Wiedział, że to normalna stawka w tych okolicach. Każdy z wędkarzy i rybaków amatorów tyle płacił. Wszyscy, którzy wypożyczyli sprzęt wodny, umówili się na jedną cenę i wiedzieli, że w takiej sytuacji ludzie będą dawać tyle, ile zażądata. Pijawki!

Zasady Rega podpowiadały "A niech się wypchają!", ale przypomniały mu się te śliczne, ciężko zarobione pięciofuntowe banknoty, wpłacane w każdy piątek na pocztę. Zbierał je z myślą o wędkowaniu. "Jak się Hilda dowie, że zgromadził na koncie ponad 200 funtów, zarekwiruje je na jakiś domowy cel, jak amen w pacierzu" - pomyślał.

- No, dobra. - Skinął wreszcie głową na zgodę. - Bierzemy.

149

Na łódź ze sternikiem zabierało się ośmiu wędkarzy.

- Jezu, dziewięćdziesiąt funtów za jeden wypad, dwa razy dziennie i jeszcze noc, o ile było pogodnie. Ale pijawki! - kłął cicho.

Morze było spokojne, nawet zbyt spokojne. Łódź płynęła jak po stole, silnik buzował i śruba wzniesła burzę piany. Reg bał się, że łódź się rozleci, taka była sterana i niepewna. Zdzierają! Jak rany, zdzierają! Denerwował się.

Sternik był wyraźnie znudzony. Czuł się kimś lepszym od tych wariatów, chcących za wszelką cenę złapać wielką rybę. Miał nawet w pogardzie rybaków zawodowych - jego życie nie zależało od dobrego połowu. On miał wszystko ustalone!

Regowi Cliffordowi wydawało się, że minęła wieczność, zanim odплыli od brzegu tak daleko, że widzieli tylko kupkę skał na horyzoncie. Sam wpatrywał się maniacko w wodę, mając nadzieję, że złapie dużo olbrzymich ryb. Jak każdy nastolatek marzył o wysuszeniu swojej największej zdobyczy i postawieniu jej w charakterze trofeum w centralnym miejscu na biurku.

Reg myślał o szczupaku; tamta sztuka nie była wielka, ale trzeba przyznać, że to osiągnięcie! Chociaż nie było z tego dużo do jedzenia... No, ale wierzył, że pewnego dnia złapie większego i smaczniejszego szczupaka.

Silnik zakrzusił się i zgasł. Reg spojrzął na zegarek. Przypłynięcie tutaj zajęło im godzinę. Druga godzina z powrotem.

"Cholera, pełne 120 minut bez łowienia pochłonę 12 funtów! Ale przypilnuję tę pijawkę!

150

Niech tylko spróbuje się stąd ruszyć przed szesnastą, dopiero mu wygarne!"

Czas płynął. Bajeczne kształty chmur zmieniały co chwila wygląd popołudniowego nieba. Nad Flam-borough Head wisiała mgła. Reg zapalił kolejnego papierosa. Jest już druga trzdzieści, a spławik ani drgnął. Sam też nie miał szczęścia. Raz czy dwa wyciągnęli niewielkie makrele, ale tego, niestety, nie można nazwać połowem. Reg był zły. Z pasją wydmuchiwał kłęby dymu. To śmieszne. Przecież zawsze, kiedy wypływa się na morze, dookoła roi się od ryb. Coś przecież musi się złapać, jeżeli tylko wyrzucić sieć czy wędkę. Chyba że facet ich wykiwał i wywiózł w jakieś wymarłe miejsce.

A to pewnie też zмова - wykiwać turystów w czasie szczytu wakacyjnego, a potem samemu wypłynąć i nałapać, ile tylko się da. - Przeklinał w duszy.

Reg Clifford zrezygnował wreszcie ze snucia domysłów i po raz kolejny spróbował szczęścia. Samowi udało się coś chwycić, ale nie miał siły tego wyciągnąć i urwało się. Reg przez chwilę sądził, że złapał coś dużego, ale też stracił. O czwartej byli wykończeni. Usłyszeli zgrzyt wciąganej do luku kotwicy. Reg zjadliwie powiedział do syna;

- Nie dają nam więcej czasu, mimo, że niczego nie złapaliśmy. Ale to pewnie tak już zostało wcześniej ustalone!

Nie wiadomo czy sternik słyszał te słowa, w każdym razie nie dał tego po sobie poznać. Kilka minut później, wymęczony tak samo jak pasażerowie, silnik zaskowytał i ruszył.

Słońce z trudem przebijało się przez gęste chmury, morze parowało w dusznym powietrzu. Wiatr zmienił kierunek i wyraźnie wyczuwano się coś innego, płynącego z atmosfery.

- Chyba zbiera się na burzę - rzucił przed siebie sternik - Zdaje się, że nie wypłyniemy wieczorem.

Kiedy wracali, wydało im się w pewnej chwili, że wcale nie posuwają się w stronę brzegu. Reg myślał, że tak jest zawsze, kiedy płynie się pod prąd. Stara łódź z trudem walczyła z falami, silnik ryczał z wysiłku, wszystkim wstrząsały jakieś dziwne konwulsje. Coś zgrzytnęło pod dnem łodzi, szarpnęło i przechyliło ją tak, że niefortunni rybacy wylądowali na pokładzie.

Regiem cisnęło na twarde, zalane rybim tłuszczem dechy. Sam lekko spadł na ojca. Wszyscy próbowali się złapać czegoś, co umożliwiłoby im zachowanie równowagi.

- Ta pieprzona łódź wzięła na mieliznę - krzyknął ktoś histerycznie. Silnik krztusił się.

Rybak podbiegł do burty, przechylił się i wpatrywał w wodę z wyrazem kosmicznego zdumienia na twarzy. Tu nie było żadnych łach, tu było dobre dwanaście metrów. Coś, co uderzyło w dno było niemałe. Może to jakiś na pół zatopiony wrak... Zwolnili jeszcze bardziej. Silnik pracował coraz słabiej. Śruba psuła się chyba, bo wydawała jakiś świszczący dźwięk. Jim Quelland, właściciel "Nimfy Portowej" (ta cudaczna nazwa wypisana była kiedyś na burcie łodzi, ale już dawno zniknęła i Jim nie miał zamiaru tego odmalowywać), rozglądał się dookoła, próbując rozeznaczyć się w sytuacji. Filey Brigg po prawej. Przy odrobinie szczęścia udałoby się doskoczyć do brzegu.

152

Niebo ciemniało bardzo szybko i wyglądało na to, że nie uciekną przed nadchodzącym sztormem. Upewnił się, czy za sterem, jak zwykle, jest ubranie nieprzemakalne. Wszystko w porządku. Większość pasażerów miała na sobie tylko bawełniane

podkoszulki i spodnie. No, cóż, mają piekielnego pecha!

- Woda przedostaje się przez podłogę - wycedził powoli Sam Clifford. Gdyby zaczęli tonąć, prawdopodobnie poinformowałby wszystkich takim samym beznamiętnym tonem.

- Kurwa! - Jim Quelland rzucił się do miejsca, gdzie woda wydobywała się na pokład. "Nimfa Portowa" coraz bardziej przechylała się. Nie wyglądało to dobrze. Działo się za szybko.

Jim przypomniał sobie właśnie, że ma na pokładzie tylko osiem pasów bezpieczeństwa. Dwa tygodnie temu pożyczył cztery Frankowi Boltonowi z "Królowej Oceanu".

Spojrzał znowu w stronę Filey Brigg. Do kata! Mgła stawała się gęstsza i teraz prawie nic nie było widać. Wierzył, że nie są daleko od brzegu.

Jim cofnął się na rufę. Przewążył się silnik na CAŁA NAPRZÓD i ruszyli. "Nimfa" nie była taka zła; wyglądała na trupa, ale jeszcze potrafiła wykrzesać z siebie porządną szybkość. Biedaczka wyglądała żałośnie, jakby dopraszała się o generalny remont na suchym doku.

Nagle ostre światło błyskawicy rozdarło pociemniałe niebo, oświetlając daleki kształt Brigg. Quelland marzył, żeby znaleźć się tam jak najszybciej. Grom przetoczył się i pękł z rozrywającym uszy łoskotem.

153

Ciężkie krople deszczu zabębniły o deski pokładu i zaczęły powiększać sporą kałużę, która rozciągała się już od burty do burty. Pasażerowie siedzieli z podkurczonymi nogami, skuleni, nie mogąc schronić się przed chłodnym deszczem. Jim Quelland, tak na wszelki wypadek, przeklinał w duchu Franka Bol-tona. Burza rozszalała się na dobre, gromy waliły bez przerwy, zagłuszały kompletnie pracę silnika. Gwałtowne, oślepiające błyskawice raz po raz przecinały niebo. Wyglądało to jak pokaz fajerwerków w Filey Bay.

Ni stąd, ni zowąd zapadła cisza. Kompletna martwota. Silnik zamilkł! Reg Clifford straszliwie się spocił. Zdawał sobie sprawę, że łódź zanurza się coraz bardziej w bezdennej toni i idzie powoli... na dno. Twarz Sama poszarzała, a setki młodzieńczych przyszczy zdawały się wsiąkać w skórę. Chłopak był przerażony jak nigdy.

- Nie bój się - wyciągnął rękę i poklepał syna po kolanie. - Prawie jesteśmy w domu.

- Nieprawda! - chłopak rzucił głową jak żrebak - Dryfujemy w morze i jeszcze do tego toniemy!

Quelland musiał w jakiś sposób opanować panikę. Zaczął krzyczeć.

- Pod siedzeniami są pasy ratunkowe. Nie ma ich tyle, by wystarczyło dla każdego, dlatego musicie jednym dzielić się na dwóch. Ktoś na pewno nas dostrzeże, zanim pójdziemy na dno!

Wszyscy rzucili się na niego z krzykiem.

- To jest wrak, niezdatny do niczego i pan doskonale o tym wie!

154

- Trzy funty na godzinę, ani jednej ryby i do tego jeszcze toniemy!

- Mamy przecież pasy ratunkowe. Możecie ostatecznie spróbować pływać.

Jim odwrócił się, nie chciał patrzeć w ich twarze. Łądu dawno już nie było widać. Stało się jasne, że dryfują w głąb morza, a do tego jeszcze mają dziurę w dnie.

Deszcz uderzył w nich z zadziwiającą siłą, chłostał bezlitośnie twarze, błyskawicznie zamieniał ubranie w mokre, zimne szmaty. Quelland znowu pomyślał o nieprzemakalnym ubraniu, ale zdecydował się nie ruszać go. Nie miał sumienia teraz go zakładać, zresztą wiedział, że i tak za chwilę wszyscy wylądują w wodzie.

"Nimfa" osiągnęła poziom fal. Woda przelewała się przez pokład, napelniając łódź błyskawicznie.

- Wszyscy z pokładu! - wrzasnął, rozbierając się do kąpielówek. Marzył tylko o tym, żeby znaleźć się w wodzie i nie oglądając się na tamtych, ruszyć przed siebie, do brzegu. Każdy musi zadbać o siebie!

- Uciekajcie, zanim łódź pójdzie na dno!

Sam i Reg mieli pasy ratunkowe tylko dla siebie, reszta niefortunnych rybaków musiała się dzielić. Było ciemno i przerażająco! Jim Quelland ruszył przed siebie szybkim, pewnym krokiem. Fale sięgały coraz wyżej i uderzały z coraz większą siłą.

Błyskawice ciągle rozświetlały tchnące złością niebo. Huczało mu w uszach, nie był pewien czy to burza, czy jego własne serce.

W pewnej chwili wydawało mu się, że usłyszał wystrzał rakiety.

155

Niestety, to było tylko pobożne życzenie. Nie mieli szans, tym bardziej że morze z każdą sekundą było bardziej wzburzone. Quelland dotknął czegoś stopą i zdziwił się. Przypomniał mu się ten zgrzyt o dno łodzi. To nie mogła być ani lacha, ani kamień, bo nie byli na tyle blisko brzegu. Kopnął przy kolejnym zamachu i uderzył w coś twardego.

W tym momencie zaczął krzyczeć. Fala zalała go całego i wyniosła go wysoko do góry na spienionym grzbiecie, gdyby nie to, że coś trzymało go pod wodą za nogi i... cięło! Poczł trzask kości i poszedł na dno. Nie miał już nóg, by móc utrzymać się na powierzchni. Opadał wolno, zapadając się w ciemnozielony, ponury, poplamiony szkarłatem świat. Zobaczył straszliwe szczęki, przedziwną gębę, ale przekonywał siebie, że to nie dzieje się naprawdę.

"To tylko wybryki umysłu. Zawsze tak jest, kiedy człowiek tonie!"

Kleszcze sięgnęły po niego i otworzyły go tak, jak nieraz robił to sam Jim patrosząc ryby - od pachwiny do gardła. Zieleni już nie było. Tylko purpura i po chwili wszechogarniająca czerń.

Fala raz po raz zalewała młodego Sama. Reg był przerażony. I nim miały wielkie jak domy bałwany, ale wypływał. Rozglądał się, ale bardzo trudno było cokolwiek dojrzeć w spienionej wodzie. Raz wydawało mu się, że widzi wyciągnięte ponad poziom wody ramie, ale to chyba przywidzenie. Dokąd płynąć? Wszędzie i nigdzie. Nie ma dokąd. Reg połykał

156

wielkimi haustami zalewającą usta wodę i próbował dojrzeć coś szczypiącymi od soli oczami. Naszły go okropne myśli. Hilda go zabije, jeśli nie odnajdzie Sama.

Kolejna fala odwróciła go twarzą w przeciwnym kierunku i Reg zobaczył swojego chłopca. Sam obracał się miotany przez fale, zbliżał się do Rega. Kretyn! Pas ratunkowy założył odwrotnie, tak, że dookoła szyi piętrzył mu się spory kołnierz. Jak zwykle ten sam skretyniały wyraz twarzy, jakby mówił "O której podwieczerek, tato? Chyba mama nie zmoknie na deszczu, co?".

Reg Clifford wyciągnął rękę, był wściekły. Złapał za pas ratunkowy i z łatwością przyciągnął chłopca do siebie. Ale to zbyt łatwo poszło!

- Ty cholerny idioto, czy ty nigdy nie zrobisz niczego porządnie? Podnieś ręce i wóź pas jak trzeba, bo utoniesz!

Sam patrzył bezmyślnie na wyczyny Rega, który próbował jakoś przełożyć pas bezpieczeństwa.

Nagle wzburzona woda ukazała koszmarny widok. Głowa chłopca odskoczyła i zafalowała, przekrzywiając się na wszystkie strony, jak piłka rzucona do basenu. Sama głowa! Bez rąk, bez nóg, bez tułowia! Resztki żył zwiisały z uciętej szyi, pozostawiając czerwone ślady na wodzie. Reg Clifford mrużąc coś do siebie niewyraźnie, przytulił szczątki syna. Z pasa bezpieczeństwa zrobił małą kołyskę, do której włożył głowę i całował nieczute już usta, smakował słonawą, żelazistą krew. Wtedy kraby dosięgnęły go i rozszarpując dziko, pożerały jego ciało. Dwanaście niedu-

157

zych krabów zaatakowało łódź zupełnie przypadkowo. Były strażą przednią podróżującą od strony Morza Północnego armii. Zmierzały do kolejnych ujść rzek, by móc tym łatwiej dostać się w głąb kraju.

Rozdział dziesiąty

Wieści o inwazji na Humberside dotarły do Cliffa Davenporta krótko po jego przyjeździe do Barmouth. Nie był nimi zdziwiony. Żadna z dróg wodnych w kraju nie była bezpieczna. Tym razem kraby zaatakowały niewielką grupą. W porównaniu z innymi napaściami, ta niedaleko Grimsby była zaledwie małym zamieszaniem, w którym skorupiaki zniszczyły dwie łodzie rybackie. Potem w niezwykłym pośpiechu, jakby coś je goniło, ruszyły w górę rzeki.

W sztabie co chwilę otrzymywano nowe wiadomości o miejscach ich pobytu. Znalaziono także jednego martwego kraba. Padł w Manchester Ship Canal. Z całą pewnością wielkie grupy potworów czaiły się w głębinach. Cliff miał nadzieję, że wszystkie tam pozdychają.

Znowu myślał o miejscu spoczynku, do którego zmierzały. Uparcie porównywał to do wędrówki słoń. Oczywiście, mógł się mylić, ale coś mu mówiło, że jest na właściwym tropie. Kolorowy wzór, jaki utworzyły powbijane w mapę chorągiewki, nie był jeszcze dokończony. Z morza ciągle wychodziły setki nowych krabów. W najbliższym czasie będzie wiadomo, dokąd zmierzają.

Davenport stał na szczycie wieży obserwacyjnej Marine Drive. Przyglądał się rzędom prywatnych hoteli i pensjonatów. Prawie na każdym z domów świecił się

napis WOLNE POKOJE. Prawie wszyscy turyści wyjechali, zmuszeni przez władze. Na plaży ustawiły się kolumny czołgów i opancerzonych pojazdów. Wojskowa zieleń zdominowała malowniczy zakątek. Hotelarze i restauratorzy siedzieli w pustych baliach swoich lokali i marzyli, żeby to się wreszcie skończyło.

Helikoptery patrolowały wybrzeże, raz po raz wypełniając powietrze hukiem silników. Ich niekształtne sylwetki wyposażono w aparaturę rolniczą do spryskiwania pól. W zbrązowiałych, przybrzeżnych wodach umieszczano galony płynu chwastobójczego. Płynna śmierć oczekiwała na kraby, które, jak wskazywały wszystkowiedzące radary, czaiły się w zatoce.

Cliff Davenport westchnął, wspominając spokój i oryginalność nadmorskiego zakątka. Gdyby nie kraby, nigdy nie spotkałby Pat Benson. Ktoś mógłby powiedzieć, że to czysty egoizm. Pewnie, jeżeli tak się na to patrzy. Niemniej była to prawda. Tym razem także nie będzie żadnej litości dla wroga. Kraby muszą być zniszczone całkowicie. I nie będzie żadnych ciepłych wspomnień po tej bitwie.

Na brzegu wszystko było już gotowe. Słońce niepostrzeżenie zaczęło chylić się ku zachodowi. Ogromna duchota i bezruch w miasteczku sprawiały wrażenie, że wszystko zamarło w oczekiwaniu. I to właśnie było najgorsze. Oczywiście, wszyscy wiedzieli, że kraby przyjdą, pozostawało tylko pytanie KIEDY. obrońcy mieli nadzieję, że środek chwastobójczy spłynie do morza i utworzy barierę, której kraby nie będą w stanie przekroczyć i zdechną tam, nie wydostawszy się na brzeg.

160

Davenport zszedł na plażę. Wąski pas złotego piasku zdawał się falować i unosić. Panowała kompletna cisza, zakłócana tylko szumem morza. Tak nie powinno być w szczycie letniego sezonu. Cliff nie mógł znieść żalobnego przygnębienia, braku śmiechu, muzyki, krzyków bawiących się na plaży ludzi. Wzdrygnął się. Kraby przyjdą na pewno pod osłoną nocy, tak jak zwykły to robić dotychczas. Przeróżający, przebiegły wróg czekał na ciemności.

Otoczające miasto wzgórza rzuciły długi cień. Słońce już skryło się za horyzontem. Zerwał się łagodny, orzeźwiający wiatr. Cliff chciał być sam, tak jak pisarz, który przez wiele tygodni pracuje nad książką, potrzebuje chwili wytchnienia i oderwania się od myśli na ten temat. Cliff chciał przez moment nie myśleć o krabach. To wcale nie było proste, bo każdy nerw, każdy mięsień uwrażliwiony był na ten jeden dźwięk, na ten wygląd i blask straszliwych oczu.

Cliff przeszedł około ćwierć mili. Był zmęczony. Nogi potwornie bolały, głowa ciążyła, jakby była z ołowiu. Nagle coś poruszyło się tuż przy leżących na brzegu splecionych wodorostach. Cliff wpatrywał się uważnie, próbował z daleka określić, co to może być. W pierwszej chwili myślał, że to krab, ale nie... Było zbyt małe na kraba, zupełnie innego kształtu, a poza tym nie miało skorupy i poruszało się inaczej. To było bardziej czołganie się, niż kolebiący chód kraba. Przystanął, przyglądając się pełznące ku niemu istocie. Opanował go zwyczajny, ludzki strach przed nieznanym.

161

Kiedy zobaczył potworną gębę, omal nie krzyknął. Nie mógł oderwać wzroku od szeroko otwartych oczu, od głowy przybranej w śmierdzące wodorosty, które jak korona Neptuna wieńczyły czoło. Uszy drażniło nieznośne sapanie kogoś, kto pozbawiony kończyn z trudem się porusza.

- O, Boże! To niemożliwe! - jęknął Cliff. Czyżby to był Bartolomiej, plażowy włóczęga, jedna z ofiar skorupiaków sprzed tylu lat?

Przypomniał mu się koszmar, który nieraz nawiedza jego sny. Sposób, w jaki kraby zabiły tego człowieka. Zajął się nim osobiście król krabów. Odciął obie nogi nieszczęśnika i rzucił je swoim pupilom, a sam przypatrywał się żalostnemu, uparcie żyjącemu kadłubowi. Dopiero po pewnym czasie wielkie szczypce wyciągnęły się i jednym sprawnym ruchem wypatroszyły blagające o śmierć ciało. Król wyciągnął z rozprutego brzucha dymiące trzewia i wepchnął je między olbrzymie szczęki pochłaniając je, jakby to były świetnie przyrządzone flaczki.

I teraz Bartolomiej wracał. Nietknięty, żywy, zniekształcony, karykaturalny człowiek czołgał się w stronę Davenporta.

- Nie, to niemożliwe! - wzdrygnął się Cliff. To tylko przywidzenie. Bartolomiej nie mógł zmartwychwstać, nie mógł odrodzić się z pochłoniętych i przetrawionych przez kraby szczątków swego ciała. W zasadzie ta istota była podobna do włóczęgi tylko poprzez groteskowość kształtów. Wodorosty na głowie stworzyły wrażenie włosów i brody. Ale, Boże jedyny! Czym było to zniekształcone, obleczone w gnijące łodygi roślin wodnych, pełzające cielsko?

162

Cliff cofnął się, chciał uciekać, ale nie mógł oderwać wzroku od pełzającego stworzenia. Skądś je znał. Gorączkowo szukał w pamięci nazwy, wyglądu zwierzęcia. Musiał je rozpoznać. Próbował pobudzić do myślenia sparaliżowany strachem umysł. Bezkształtne cielsko, podczołgało się bliżej. Słyszał wyraźnie jego syk. Czegoś w tym dźwięku brakowało... Czy zabłyśły silniejszym ogniem, kiedy to coś zatrzymało się wyczerpane.

Chryste! Ono powinno klekotać potwornymi szczypcami i kolebać się pod ciężarem ogromnego pancerza! A tymczasem było tylko oślizglą kupą mięsa, pokrytego pękającymi od żółtawej ciecicy wrzodami. Powietrze wypełnił okropny odór gnijącego ciała. To był olbrzymi krab pozbawiony skorupy!

Davenport cofnął się kilka jardów. Wiedział, że zdychający krab nie będzie miał siły, żeby pójść za nim. Zmusił się i spojrzął jeszcze raz. Zwierzę przysiadło. Jego zaatakowane chorobą, nagie cielsko tętniło i pulsowało. Gdyby Cliff zobaczył coś takiego w innej sytuacji i innym miejscu, na pewno litowałby się nad biednym stworzeniem. Ale tutaj, na plaży w Bar-mouth, która była świadkiem najbardziej krwawej bitwy z krabami, nie było miejsca na współczucie i litość.

- Zdychaj, skurwysynu! Zdychaj!

- Nic się panu nie stało, profesorze? - Cliff odwrócił się gwałtownie. Przed nim stało dwóch żołnierzy z karabinami gotowymi do strzału. Był tak pochłonięty myślami i sparaliżowany widokiem pełzającego monstrum, że nie usłyszał ich kroków.

163

- Nie, nie. W porządku. Byłbym wdzięczny, gdybyście zastrzelili to coś.

- A co... co to jest, sir? - Chyba po raz pierwszy w życiu widzieli kraba.

- To jest krab. Jeden z wielu. Ten akurat nie ma skorupy. To po prostu zżerana przez chorobę, bezradna, żywa kupa mięsa.

Żołnierze głęboko odetchnęli. Szczęknął metal. Broń była odbezpieczona. Po każdym ze strzałów Cliffem wstrząsały dreszcze.

- "No, dalej, dalej do cholery, zastrzelcie go! Szybciej!" - poganiał w myślach żołnierzy. Zamki karabinów trzaskały po każdym ładowaniu. Pociski gwizdały w powietrzu i z głuchym łoskotem uderzały w nagie cielsko kraba. Cliff zamknął oczy. I tak wiedział, co się tam dzieje. Nie musiał się przypatrywać. Zaatakowany rakiem, pozbawiony pancerza skorupiak wiał się, kiedy raz po raz ogniste kule wbijały się w niego.

Chciał umrzeć, tak samo jak katowany wtedy na plaży Bartolomiew. Przed Cliffem i żołnierzami leżała krwawa, porozrywana prochem i pociskami kupa mięsa. Krab ciągle żył! Wyraźnie słyszeli jego przeraźliwy syk.

- "Strzelajcie, dranie, strzelajcie, aż zdechnie!" - krzyczał w myślach Cliff.

- Lepiej by było, gdybyśmy zabrali pana do domu, sir - odezwał się wysoki kapral, kładąc rękę na ramieniu profesora. - Przeżył pan straszliwą przygodę, my zresztą też. Na szczęście potwór już nie żyje.

- Dziękuję, sierżancie. Nic mi nie będzie. - Delikatnie strząsnął dłoń żołnierza i wyciągnął z kieszeni

164

fajkę i tytoń. - Myślałem... w tych ciemnościach łatwo o przywidzenia... myślałem, że to zupełnie coś innego...

- Coś innego, sir?

- Tak, kapralu. Na tej plaży miało kiedyś miejsce straszne wydarzenie. Myśląc o tym, poddałem się przywidzeniu, a nie powinienem był.

- Jak to możliwe, że udało nam się go zabić? Ten... ten krab nie miał skorupy, sir. Czy to dlatego?

- Być może. Teraz dzieje się tyle nieprawdopodobnych rzeczy, o których kiedyś nam się nie śniło. Ludzie są odpowiedzialni za te stworzenia. Rozwinięta technika nuklearna stworzyła je, a teraz niszczy. Ile jest takich krabów we wszystkich oceanach świata? Pięćset? Pięć tysięcy? Pięćdziesiąt? Stworzyło je promieniowanie radioaktywne i to samo powoduje, że zdychają na raka w potwornych męczarniach. Prawdopodobnie kolejnym etapem tej choroby jest odpadnięcie pancerza od gnijącego ciała. Czy możemy winić je za to, że nienawidzą ludzi, kapralu?

- Chyba nie, sir. Jeśli czuje się pan już dobrze, wracajmy lepiej do bazy. Tu jest niebezpiecznie.

Trzej mężczyźni ruszyli razem. Raz tylko odwrócili się, by spojrzeć na ścianę fali przypiływu. Łagodny szum koł i przynosił spokój. Oszukiwał.

Wiedzieli, że gdzieś tam, między falami, kryje się chory, cierpiący, ale gotowy na ostateczną walkę wróg. Byli przekonani, że kraby nie zatrzymają się na przygotowanej dla nich barierze środka chwastobójczego. One nie zdechną cicho, ukryte w oceanie.

Cliff Davenport wrócił do starej, pamiętającej jesz-

165

cze bitwę sprzed kilku lat kwatery w ratuszu Bar-mouth. Niewiele się tu zmieniło. Miejsca, w których dba się o tradycje, rzadko zmieniają swój wygląd. Prowizoryczne biuro, łóżko polowe i telefon, jak wtedy. Na ścianie wielka mapa, pokryta taką ilością znaków i zapisów, że już prawie nieczytelna, smętnie wisała na gwoździu. Wszyscy teraz posługują się takimi mapami.

Zgodnie z najnowszą modą.

Cliff rozpiął koszulę i wykręcił numer do Griseda-le'a. Musiał mu powiedzieć o krabie bez pancerza.

- Wiemy o tym. - Zmęczony głos komendanta zahuczał w słuchawce. - Takiego samego znaleziono dziś po południu w błocie opodal Tamizy. Zdaje się, że one są już prawie skończone, Clifford. Pięć z nich wyszło na brzeg przy Wells-next-the-Sea.

Chyba odłączyły się od wielkiej grupy idącej w stronę Wash, bo nie mogły za nią nadążyć. Ostrzał artyleryjski odepchnął je z powrotem do morza. Wyobraź to sobie, Clifford! Kiedy ostatni raz udało nam się przegonić je konwencjonalną bronią? Jasne, że żadnego z nich nie zabiliśmy i kule jak zwykle odbijały się od ich pancerzy, ale te dranie nie starały się w ogóle walczyć. Podały tyły i uciekły do wody! Do licha, Clifford! One zwiewają!

- Nie mów hop, Grisedale. - Davenport zamknął oczy, był już kompletnie wykończony. Wiedział, jak kraby muszą się teraz czuć. - To jeszcze nie koniec. Nie możemy ani na chwilę spuszczać ich z oczu.

Odłożył słuchawkę i pomyślał, że powinien zadzwonić do Pat. Spojrzął na zegarek. Było późno. Mogła się już położyć. Nie będzie przerywał jej od-

166

poczynku, którego tak potrzebowała. Postanowił, że zadzwoni do niej z samego rana.

Kiedy tylko ułożył się w miarę wygodnie na twardym łóżku i przyklnął oczy, zadzwonił wściekle telefon.

- Davenport? - To był pułkownik Matthews. Cliff do końca życia będzie pamiętał chrapliwe brzmienie jego głosu. Pułkownik, stary bohater walk z krabami, doskonale wiedział, o wszystkich zmaganiach.

- Tak, pułkowniku. Rozumiem, że już tu są.

- Przy ujściu. Możemy znowu stracić most.

- Skoro są przy ujściu, to, jak sądzę, nie mają zamiaru zmieniać kierunku i uderzać na Barmouth. Dziwne. Lejcie dalej płyn

chwastobójczy, może się uda. Zaraz u was będę.

Davenport z wściekłością zapinał koszulę i wypchał ją za pasek wymiętych spodni. Pocieszało go tylko to, że nie czuł już zupełnie zmęczenia.

Skorupiakom chyba bardziej zależy na szybkim dostaniu się w górę rzeki, niż na atakowaniu Barmouth. Nie miały zamiaru postąpić tak samo, jak w przypadku Wyspy Muszli, East Endu, Wells, Slimb-ridge czy innych miejsc.

Wszystko stało się jasne. Z każdym dniem były bardziej osłabione. Musiały dostać się w głąb łądu, zanim zdechną.

Cliff Davenport wdrapał się na siedzenie czekającego land rovera. Umundurowany kierowca natychmiast włączył silnik.

- Dokąd, sir?

167

- Do Toll Bridge. Pułkownik Matthews już tam jest.

Profesor usadowił się wygodnie i próbował zrelaksować. Wyjechali z portu i ruszyli pod górę. Na skrzyżowaniu paliło się czerwone światło, ale nie zważali na nie. Droga była zamknięta dla ruchu cywilnego.

Kiedy Land Rover zatrzymał się przy Toll Bridge, Cliff nie mógł ukryć podziwu dla sprawności Matthe-wsa. Wszędzie dookoła wszelkiego rodzaju sprzęt wojskowy prezentował swoją siłę. Ustawione w rzędzie czołgi barykadowały ujście, gotowe do startu helikoptery szczerzyły groźne zęby karabinów pokładowych, grupki oficerów i żołnierzy oczekiwali na rozkazy.

- Kraby idą w górę rzeki - powiedział Matthews z błyskiem entuzjazmu w szarych oczach. - Świadkowie zeznali, że uszkodziły trochę wiadukt, ale to nic poważnego.

Startyby go na miazgę, gdyby mogły - pomyślał Cliff. Ale do tego potrzeba im całej siły. Wiedzą już, że są słabe! Mają przed sobą cel, do którego muszą dojść!

Pierwsze kraby pojawiły się w godzinę później. Brązowa, błotnista woda zakotłowała się, bryzgając naokoło brudnymi strugami i po chwili na powierzchni pojawiły się ciemne sylwetki krabów. Wyraźnie miały kłopoty z poruszaniem się. Ciężko im było płynąć, a fala to przynosiła je bliżej, to znów odciągała od brzegu.

- Mój Boże! - jęknął Cliff. W szarawym świetle wstającego dnia skorupiaki z trudem wychodziły na pokryty grząskim błotem brzeg.

168

- Wychodzą! - Ciężki, zmasowany ogień bluznął rozrywając ciszę. Trysnęły fontanny brudnej wody, piachu i błota. Kraby pogrążyły się w kraterach po pociskach.

Cliff obserwował całą operację przez lornetkę.

- Nie uda im się! - krzyczał do stojącego obok Matthews. Pociski z rykiem waliły w zbite w gromadę kraby.

- Nie mają tych samych sił, co dawniej! Nie potrafią się już zorganizować! Teraz kieruje nimi tylko ślepy instyngt. Niech pan patrzy, wycofują się, idą do wody!

Ruchy skorupiaków były powolne i jakby od niechcienia. Wracaly do rzeki. Zrezygnowały z możliwości powrotu do morza. Na rozdartym pociskami brzegu pozostało sześć nieruchomych kształtów. Reszta szybko znikala we wzburzonej toni. Mocne uderzenie tylko raz wstrząsnęło drewnianą konstrukcją mostu, ale nie zawaliło jej.

- Wspaniale. - Cliff opuścił lornetkę i wciągnął głęboko przesiąknięte zapachem spalonego prochu powietrze. - Nie wiadomo jak daleko odejda, ale możemy być pewni, że na brzeg już nie wyleżą. W każdym razie, na pewno nie ta grupa. Jakies trzy czwarte mili stąd rzeka się rozwidla. Niech pan spróbuje powstrzymać je przed Dolgellau, pułkownik. Dobrze by było skierować je na północ, w kierunku Coed-y-Brenin. Rzeka bardzo się tam zwęża i jest płytka. Ach, wtedy moglibyśmy postać je do wszystkich diabłów! Chciałbym obejrzeć te krabie trupy. Muszę sprawdzić, jak bardzo zaszкодził im

169

środek chwastobójczy i w jakim stadium raka już się znajdują.

Cliff brnął przez błoto, grzęznąąc po kostki. Wcale mu to nie przeszkadzało. Czuł się jak kiedyś, gdy zaczynał pracę naukową. Fala ciekawości i marzeń o odkryciu czegoś nowego, fascynującego, napłynęła do serca. Poczucie zwycięstwa nad olbrzymimi krabami pchało go do przodu. Za nim w pewnej odległości szli uzbrojeni żołnierze.

Skorupiaki leżały pokryte grubą warstwą błota. Jeszcze przed chwilą takie nienawistne i niezwykłe, teraz gnijące. Dranie!

Cliff podszedł do najbliższego. Był ogromny. Smród rozkładającego się ciała nie pozwalał oddychać. Powodował mdłości.

Cliff podszedł do kraba z tyłu, obejrział poszarpaną, rozłupaną skorupę. Wstrzymywał oddech.

- Chryste, co za odór! - szepnął.

Gęba kraba była przedziwna. Bardzo przypominała ludzką twarz: pomarszczona, karykaturalna, z wykrzywionym czymś, co mogłoby być wargami, zamknięte oczy.

"Przynajmniej - pomyślał Cliff - nie muszę patrzeć na te okropne ślepie!". Poszarpane pociskami ciało kraba krwawiło. Wielkie wrzody ciągle ropiały.

Nagle krab otworzył oczy! W ułamku sekundy Cliff pomyślał, że to pewnie skurczony wcześniej nerw teraz dopiero puścił, ale to nie była prawda. Czerwone oczy patrzyły na niego płonąc z nienawiści. Czulki wyprostowały się, a olbrzymie kleszcze wzniosły się i zaklekotały groźnie.

Cliff Davenport reagował wolno, zbyt wolno. Wy-

170

czerpanie i zaskoczenie opóźniły bardzo refleks. Powtarzał sobie ciągle: TO NIEMOŻLIWE! Kilka sekund później wiedział już, że jednak to prawda. Krab żył i był gotowy mordować. Otwarte kleszcze zbliżyły się do profesora. Cliff olbrzymim wysiłkiem wyzolił się z paraliżu, odwrócił się, by uciekać, ale nie mógł.

Utknął w bulgoczącym błocie. Gwałtowny obrót o mało go nie przewrócił. Zachwiał się i poczuł muśnięcie szczypców, które oddały mu porządny kawałek koszuli. Zrobiło mu się zimno. Wzdrygnął się. Nieprzyjemne dreszcze raz po raz przenikały go całego. Krab zaczął się podnosić, sycząc z wściekłością i pluąc czymś obrzydliwym, żółto-zielonym. Nieokreślona substancja poleciała w stronę Cliffa i opryskała mu twarz. Poczul palący ból.

Rozpacz. Davenport próbował wydostać się z błota. Krótkie, gumowe buty cmokały, kiedy podnosił nogi. Co chwilę padał, boleśnie wykręcał stopy, twarzą uderzał w miękką, rozwodnioną glinę. Czuł, jak cały stopniowo oblepia się błotem. Oddychanie przychodziło mu z trudnością, prawie nie widział przez grubą skorupę, która zalepiała mu oczy. O mało nie krzyknął z rozpacz, kiedy znowu zaczął grzęznąć.

Oczy powoli przesłaniała ciemność, próbowała za wszelką cenę go zagarnąć.

KLIK-KLIK-KLIK.

Ogluszający klekot szczypców zabrzmiał tuż przy uszach. I nagle Cliff poczul potworny, rozrywający ból i ucisk na nadgarstku.

Usłyszał okropny trzask łamanej kości. Ogarnęła go nieoczekiwana słabość,
171

która nadeszła wraz z myślą, że nie uda mu się uciec w bezpieczne miejsce.

Lepkie, cuchnące błoto przyklejało się do twarzy. Cliff instynktownie odwrócił głowę, by odetchnąć. Pprzed oczami migały mu czerwone i brązowe plamy. Jeszcze jeden, ostatni wysiłek. Spróbować się wyczołgać... W tym momencie Cliff zdał sobie sprawę z przerażającej rzeczy - nie miał palców! Nie miał w ogóle lewej dłoni!

Profesor Cliff Davenport poddał się ostatecznie. Leżał tak twarzą w dół i nie wiedział, czy jest świadomy, czy nie. Czuł tylko, jak olbrzymi ciężar przeszedł po nim, wdeptując go w błoto.

Cały świat stawał się powoli czarny. Jedyne dźwiękami, jakie ledwo rozpoznawał, były znajome głosy ludzi i huk wystrzału. Potem zobaczył biegnących dokądś żołnierzy. Wreszcie wszystko zagarnęła ciemność.

Rozdział jedenasty

Ben Hendrix od czterech lat był zarządcą niewielkiego skrawka ziemi, należącego do klubu wędkarskiego z Birmingham. Kiedy skończył pięćdziesiąt lat, zdecydował się porzucić pracę w fabryce samochodów i poszukać czegoś spokojniejszego. Dla zapalonego wędkarza nie było lepszego niż to zajęcie, które umożliwiałoby połączenie przyjemnego z pożytecznym. Podobało mu się, że mógł chodzić na ryby, kiedy tylko zapragnął. Nie musiał nikogo słuchać - sam dla siebie był szefem.

Miał wiele satysfakcji z tej posady, ale niewiele pieniędzy. Obliczył, że dostaje mniej niż dwie trzecie tego, co zarabiał poprzednio. Jego żona, Rosę, robiła mu gorzkie wymówki, ale Ben bronił się mówiąc, że dostali w dzierżawę domek, którego nie muszą opłacać. W ostateczności mogą przecież zrezygnować. Tak przekonywał żonę Ben, ale wiedział, że nie porzucą tego miejsca. Za bardzo mu się tutaj podobało. Życie było całkiem znośne. Z dnia na dzień największym problemem stawali się kłusownicy. Zarząd klubu przesłał Benowi chłodne oświadczenie, że powinien poświęcić więcej czasu tej sprawie, jeśli chce pozostać na stanowisku. No i zaczęły się nocne patrole, niedosypianie i ataki ze strony mieszkańców, którzy, jak wszędzie, zawsze

narzekają na wszystko. Ben już był gotów wrócić do swojej fabryki i starej kanciapy. Taki stan utrzymywał się przez jakiś czas, ale teraz powoli zaczynało się znowu układać.

Tydzień temu Ben znalazł ogromnego kraba. Wiedział, że potwór nie żyje - nie musiał podchodzić, żeby się o tym przekonać. Skorupiak był wielkości krowy. Ben zobaczył go, jak znoszony przez prąd rzeki płynął na grzbiecie i po chwili utknął w kępie trzciny i przybrzeżnych krzewów.

Ben żałował, że zawiadomił władze. Mógł spokojnie zepchnąć to paskudne stworzenie na głębszą wodę i pozwolić, by popłynęło dalej. Niechby komu innemu przysporzyło kłopotów. A tymczasem zawiadamiając odpowiednie służby ściągnął sobie na głowę żołnierzy, penetrujących brzegi po obu stronach. Zupełnie tak, jakby spodziewali się znaleźć całą armię ukrytą w tych wodach. No i, co było zdecydowanie najgorsze, krab zważył dziesiątki reporterów, którzy za wszelką cenę starali się przypisywać Benowi słowa, których nigdy nie wypowiedział. Nie zależało mu zupełnie na zdjęciach w gazetach ani lokalnych, ani nawet ogólnokrajowych, tym bardziej że nie miał nic do powiedzenia w tej sprawie. Wściekał się, że za to całe zamieszanie i za wywiady, których udzielił, nie dostał złamanego grosza. Przysiągł sobie, że choćby przypłynęło jeszcze ze sto krabów naraz, za Boga nikogo nie powiadomi.

Następny krab pojawił się w trzy dni po pierwszym. Ben stał w wierzbowym zagajniku nad wodą, kiedy zobaczył to bydlę w wodzie. Było akurat tam, gdzie rzeka miała nie więcej niż kilka stóp głębokości.

174

Hendrix postąpił krok do tyłu. Bestia, klekocząc, szła w poprzek koryta rzeki. Poruszała się powoli. Chodzenie najwyraźniej sprawiało jej trudności. Ciężka skorupa przytłaczała ją. Raz po raz krab zatrzymywał się i odpoczywał. Ben miał wrażenie, że zwierzę wiedziało o jego obecności. W pewnym momencie przysiadło i wpatrywało się przed siebie, głośno sycząc. Coś z tym krabem było nie tak. Oczywiście Ben wiedział, że wielkie skorupiaki są zarażone czymś w rodzaju raka. Czytał o tym w gazecie, która wydrukowała jego zdjęcie obok zdjęcia martwego kraba. Więc pewnie ten już zdychał.

Boże! - pomyślał Ben - Mam nadzieję, że to bydle nie padnie tutaj. Znowu zaczęłoby się błędne koło z wojskiem, policją, dziennikarzami.

Ben stał bez ruchu i obserwował wielkie zwierzę. Po pięciu czy dziesięciu minutach skorupiak podniósł się i powoli ruszył w dół rzeki. Hendrix odetchnął z ulgą. Pozostał na miejscu, dopóki krab nie zniknął za zakrętem.

Z doniesień prasowych Ben wiedział, że skorupiaki kierują się w głąb łądu. Teraz bał się, że wszystkie będą tędy szły w dół rzeki. Musiał coś wymyślić.

Na samą myśl o krabach dostawał dreszczy. Nie, to nie był efekt ostatnich wydarzeń w kraju. Od dzieciństwa bał się ich.

Wszystko zaczęło się tego dnia, kiedy ojciec przyniósł żywego kraba w wiaderku pełnym słonej wody. "Nie ma nic lepszego, niż świeży krab" - powiedział ojciec i razem z Benem poszli do garażu. Mały był ciekawy, jak wygląda przyrządzanie potrawy z kraba. Ojciec cisnął zwierzę na betonową

175

podłogę, potem podniósł i położył na stole. Chwycił młotek i dłuto i zaczął rozbijać twardą skorupkę. Jezu, to było potworne! Stary przeklinał na głos. Nie mógł sobie poradzić. Krabik próbował uciekać. Z trudem wstał i kolebiącym kroczeniem chciał dostać się w jakieś bezpieczne miejsce. Niestety! Dosięgnął go ciężki młotek. Po chwili mały Ben widział rozbity skorupę i pulsujące jeszcze małe ciało. Krab chciał żyć!

Tommy Hendrix wściekł się, kiedy waląc młotkiem porządnie stłukł sobie palec. Zamroczony z bólu, myślał teraz tylko o tym, żeby sprawić jak największy ból małemu stworzeniu. Nie zależało mu już na mięsie, nie tylko chciał usunąć skorupę - chciał się zemścić na krabie za to, że tak kurczowo trzymał się wątpliwej nitki życia.

Przerażony Ben widział, jak ojciec, uporawszy się z pancerzem, chwycił obcegi i zmiażdżył nimi groźnie wyglądające, a w gruncie rzeczy nieszkodliwe szczypce. Ten sam los spotkał osiem drobnych odnóży. Biedne, torturowane zwierzę jeszcze wtedy żyło. Konwulsje raz po raz wstrząsały nagim, pozbawionym skorupy ciałem. Nawet bez kleszczy i reszty kończyn krabik chciał uciekać. Tommy wrzucił wreszcie biedaka do wiadra, w którym pozostało jeszcze trochę słonej wody.

Nie zważając na tryskający krwią palec, ojciec Bena trzy razy biegł do domu i garnkami przynosił wrzącą wodę.

- Ugotuję sukinsyna! - mruczał i wlewał płyn do wiadra. Oparzony mały krab próbował odstraszyć wroga groźnym sykiem. W

nie widział wściekłość, nienawiść i ból agonii. Woda burzyła się i rozpryskiwała. Powoli stawała się różowa.

Na kolację cała rodzina jadła potrawę z kraba. Ben położył na talerzu tylko jeden mały kawałek mięsa i natychmiast zwymiotował. Minęło wiele miesięcy, zanim pozbył się mdłego zapachu mięsa zamordowanego przez ojca kraba.

Nie, wcale nie nienawidził ojca za to, co zrobił ze skorupiakiem. Nienawidził kraba za to, że tak się bronił, że tak chciał żyć, że wygrał wtedy wieczorem, kiedy Ben przypomniał sobie, co się działo w garażu, musiał zwymiotować. Był górami nawet po śmierci.

A teraz kraby przysparzały Benowi nowych kłopotów. Minęło kilka dni i chociaż nie było więcej śladów obecności morskich bestii, wściekłość na nie co chwilę chwytała Hendrixa za gardło. Boże, jakże on chciał zobaczyć choć jednego z tych wielkich skurwysynów, katowanego młotem tak długo, aż jego skorupa rozleciałaby się w drzazgi, odsłaniając pokrwawione mięso. Z jaką przyjemnością patrzyłby na odrzynane kleszcze i odnóża i pozostawiony samemu sobie, złany krwią, beznogi, skręcany bólem kadłub. Ach, jak miło byłoby słuchać nienawistnego syku nie mogącego zdechnąć potwora.

Niestety. Ben zdawał sobie sprawę, że te kraby są zbyt silne i nic nie było w stanie ich powstrzymać... chyba, że...

Nagle przypomniał sobie brudną, zawaaloną różnymi niepotrzebnymi rzeczami starą szopę, która

stała tuż obok jego domku. Zgromadzone w niej śmieci nie należały do niego, ale Ben doskonale orientował się, co tam jest.

Przypomniał mu się olbrzymie siadła na kłusowników. Należały prawdopodobnie do poprzedniego strażnika. Parę lat temu nikt nie litował się nad złodziejami, stąd takie wnyki. Miały olbrzymią, szczerzącą wielkie kły szczękę i gruby, stalowy łańcuch.

Parę godzin później, ku zdziwieniu żony, Ben poszedł do szopy. Znalazł zaplątaną w różne inne rzeczy "łapkę", pobieżnie ją oczyścił i wyciągnął na podwórze, żeby lepiej się jej przyjrzeć. Była mocno zardzewiała i nie dawała się otworzyć. Hendrix zaraz zabrał się do roboty. Odciągnął siadła za dom i w cieniu rozklekotanego, drewnianego budynku porządnie je nasmarował i wyszorował. Co chwilę spoglądał niespokojnie w stronę domu. Bał się trochę, że Rosę zobaczy co robi i będzie musiał jej wszystko tłumaczyć.

Siadła były bardzo podobne do tych, których używano w latach pięćdziesiątych do polowań. Tylko, że wtedy nikt nie myślał o ustanawianiu prawa zakazującego łapania zwierzyny we wnyki. Ech, ludzie bardzo zmiękli przez ostatnie dziesięć lat. Może się tak skończyć, że Ben za jakiś czas nie będzie miał pracy jako strażnik, bo ludzie dojdą do wniosku, że to, co rośnie w ogródku, na polu i to, co się rusza - trzeba chronić. Dojdzie do tego, że karać się będzie tych, którzy ośmielili się wyrwać choćby żdzibło trawy - bo to przecież czująca istota. Ciekawe, że człowiek jest dobry i czuły dla roślin i zwierząt, a swoją złość i

nienawiść wyładowuje na drugim człowieku. Bij i poniżej starszych ludzi (po co tak długo żyją?), przetrzepuj skórę dzieciom (trzeba gówniarzy wychować!), ale nie wolno ci znęcać się nad kotem czy psem, który sika na stojące pod drzwiami butelki z mlekiem.

- "Co za pieprzeni hipokryci! Na początek należy znowu zezwolić na używanie wszelkiej maści siadeł. Najlepiej zacząć od siadeł na ludzi". - myślał Ben ze złością.

Kiedy nad zadrzewioną okolicą zapadł wieczór, pułapka była sprawna i gotowa do użycia. Dobrze naoliwione, rozwarte szczęki straszły wielkimi, stalowymi zębami. Zwolniona lekkim naciskiem sprężyna sprawiała, że zatrzaśkiwały się z olbrzymią siłą, miażdżąc gałęzie o grubości męskiego ramienia.

Ben z błyszczącymi oczami mrucał z zadowoleniem. Przypomniało mu się, co jego ojciec zrobił z małym krabem czterdzieści lat temu. Chłopek, który wtedy był tylko zaszokowanym widzem, teraz miał powtórzyć ten wyczyn, ale na krabie-gigancie.

Upajał się tą myślą.

Było już prawie zupełnie ciemno, kiedy pułapka znalazła się na specjalnie wybranym dla niej miejscu. Ben porządnie się napracował, zanim udało mu się zamontować siadła na brzegu rzeki. Pot łał się strumieniami, serce waliło ze zmęczenia.

Śpieszył się. Perspektywa zostania na noc w tym miejscu przyprawiała go o dreszcze. Spoglądał raz po raz na rzekę. Trochę się bał.

Hendrix wiedział doskonale, że łańcuch mocujący pułapkę do drzewa nie powstrzyma silnego kraba. W zasadzie nie miało to większego znaczenia, tym bar-

dziej że stalowe zęby były ostre jak brzytwy. Ben długo i dokładnie je szlifował. Jeśli tylko krab dostanie się w żelazny zgryz, nie uwolni się od niego. Chryste, trzeba uważać, żeby samemu nie wleźć w te cholerne siadła! - myślał z przerażeniem.

Wreszcie koniec. Ben wspiął się na brzeg i podziwiał dzieło. Nie było wiele widać, ale to dobrze. Wszystko zgodnie z planem.

Pułapka ukryta była tuż pod powierzchnią wody i umocowana tak, by nie uniósł jej prąd. Ben wbił kilka solidnych sworzni, przytrzymujących stalowe szczęki na dnie. Gruby łańcuch przymocował do pnia rosnącej przy brzegu wierzy. Prawie zupełnie nie był widoczny. Błoto i glina poprzyklejały się do niego, maskując go idealnie.

Żadna przynęta nie była potrzebna. Krab miał dziesięć kończyn, a wystarczyło, że tylko jedna z nich wpadnie w potrzask, żeby wyrządzić mu krzywdę. Niech jeden skorupiak przejdzie się po błocie...

Ben Hendrix roześmiał się. Wyobraził sobie, jak wielki krab wpada w pułapkę. Tamten mały krab w garażu syczał z bólu i wściekłości. Jeden z tych przerośniętych też będzie cierpiał. Uciekając znad rzeki Ben pomyślał, że im większy się złapie, tym lepiej.

Tej nocy Hendrixowi znowu śniło się to samo. Garaż, ojciec... Tylko krab był większy. Może taki jak pies. Szczękał okropnie kleszczami i syczał, a im za nic nie udawało się wepchnąć go do wiadra. Był za duży! Przysiadł na klatce ściekowej i patrzył na nich pałającymi wściekłością, czerwonymi oczkami.

Tommy trzymał w dłoni młotek, ale tym razem narzędzie było małe i lekkie jak zabawka. Ojciec

nawet nie zamierzał go użyć, przytulał się tylko do ściany i obserwował, jak krab toruje sobie drogę do wyjścia, wycinając dziurę w drzwiach. Przytulony do ojca Ben płakał. Potwornie się bał.

Krab zrezygnował z wiercenia dziury w drzwiach i sycząc złowrogo podszedł do 'nich'. Zatrzymał się pół metra od nich i przysiadł, ani na ułamek sekundy nie zamykał oczu. Wpatrywał się w nich z nienawiścią. Wiedział, że te dwie ludzkie istoty nie mają żadnych szans na ucieczkę. Miał czas. Napawał się ich strachem.

Tommy Hendrix przełknął głośno ślinę i oblizwał wargi. Poczł słony pot spływający po twarzy. Zdecydował się. Wiedział, że krab jest dość powolny, więc nagły sus do drzwi na pewno go zaskoczy. To była szansa ratunku przed ostrymi szczypcami.

Ojciec, nie oglądając się na syna, rzucił się ku drzwiom.

Ben wrzasnął. Zobaczył kleszcze, które błyskawicznie i precyzyjnie chwyciły Tommy'ego za nogę. Ojciec stracił równowagę,

odwrócił się tylko, zobaczył, co się stało i runął na ziemię.

Ostre jak żyłotka szczypce sprawnie pozbawiły go stopy, która razem z butem i w skarpetce, krwawiąc, potoczyła się po pochyłej podłodze. Tommy wolny próbował czołgać się do drzwi. Za sobą ciągnął bryzgającą fontannami krwi nogę. Krab oczekiwał chwilę i następnym błyskawicznym cięciem pozbawił Tommy'ego drugiej nogi.

Mężczyzna wrzeszczał, ale nikt go nie słyszał oprócz Bena, wciskającego się z przerażenia w przeciwległy kąt garażu. Krab wskoczył na Tommy'ego. Jego ruchy

181

przypominały kopulowanie. Skorupiak onanizował się na leżącym, bezradnym człowieku! Ben widział, jak ojciec odwraca twarz, nie chcąc patrzeć na gębę kraba i krzywi się od wydzielanego przez zwierzę smrodu.

Nagle krab objął głowę krzyczącego ciągle człowieka i zaczął go całować! Ben poczuł w gardle palącą gorycz. Patrzył. Nie mógł oderwać wzroku od tej okropnej sceny, słyszał, jak ohydny skorupiak ssie i mlaska przytulony do twarzy ojca. Wreszcie skończył i odsunął się, i patrzył, jakby oceniał swoje dzieło. Wtedy Ben zobaczył coś strasznego. Jego ojciec nie miał już twarzy, tylko pokrwawioną, odartą ze skóry, mięśni i włosów czaszkę. Nie istniejącymi już ustami wylewała się spieniona, jasnoczerwona krew.

Teraz krab rzucił się na resztę ciała. Jadł łapczywie, jakby głodował całe życie, żeby móc pochłonąć ofiarę. Zjadał wszystko, systematycznie posuwając się w dół. Najpierw wyżerał mięso, potem jak spaghetti wysysał żyły, a na koniec zostawiał sobie kości, które miażdżył i pochłaniał z lubością. Wreszcie na cementowej podłodze zostało tylko poszarpane, przesiąknięte krwią ubranie. Krab jeszcze raz wszystko dokładnie przejrzał, obwąchał jak pies. Musiał się upewnić, czy nie zostawił jakiś ocalałych. Kiedy już wszystko sprawdził, odwrócił się powoli w stronę zmartwiałego ze strachu chłopca. Straszliwe, czerwone oczy zabłyśły pożądaniem. Ben chciał krzyczeć; ale nie mógł z siebie wydobyć żadnego dźwięku. Był pewien, że nic go nie ocali przed nieuchronnym losem.

Ben wiedział, że to wszystko mu się śni, ale świadomo-

182

mość tego nie usuwała strachu. Próbował się obudzić, ale nie mógł. Ten skurwiel nie może go zjeść, sny nigdy nie prowadzą tak daleko!

Krab podchodził. Był coraz bliżej. Ben widział zalane krwią szczęki i ostre szczypce, na których zawisł kawałek ścięgna.

Wstrząśnięty nagłą czkawką skorupiak wypluł coś na ziemię. Ben wiedział, co to jest. Kawałek ludzkiego mięsa. Wreszcie krab rzucił się i na niego.

Ben nie walczył ani nie uciekał. Zamknął tylko oczy i czuł, jak zimne, cuchnące cielsko kraba przylega do niego, nieomylnie szczypce rozrywają brzuch, a w przepastnych szczękach znikają wnętrzności.

Po chwili pozostała już tylko głowa. Wybaluszone oczy wypatrywały reszty ciała i za nic nie mogły jej dojrzeć. W polu widzenia uwijał się tylko ciągle nienażarty krab. Pozbawiona reszty ciała głowa potoczyła się po pochyłości i zatrzymała na kratce ściekowej. Słychać było spadające do wody krople krwi, spływające tu z całej podłogi. Nieprzyjemny, duszący zapach ciepłej jeszcze krwi. Głowa Bena jak korek w wannie zatykała odpływ. Krew zbierała się, coraz bardziej podnosił się jej poziom. Ben próbował oddychać, ale udawało mu się tylko wydmuchiwać powietrze. Na powierzchni tworzyły się wielkie, gęste, czerwone bąble, które rozpryskiwały się, bryzgały na ściany. Powoli krzepnący płyn spadał czerwonym deszczem na pozbawioną ciała głowę Bena i wlewał się do ust.

Wreszcie Benowi udało się obudzić. Usiadł w złanej potem pościeli i z trudem wracał do siebie. Najpierw

183

sprawdził, czy wszystkie części ciała są na swoim miejscu.

Och, co za ulga! Leżał w swojej sypialni w domu i próbował oddychać normalnie. Obok spała spokojnie jego żona. Ben zmarszczył nos. Doleciał go kwaśny, drażniący nozdrza odór potu spod pach małżonki. Ben pomyślał, że w porównaniu ze smrodem śmierci to najcudowniejszy zapach na świecie.

Ben Hendrix wstał zaraz po wschodzie słońca. Popijając mocną herbatę wyglądał przez zakratowane okno w kuchni. Nad łąkami wisi wąskie pasmo mgły. Pomyślał, że może jest to specjalna, gruba kurtyna, która po odejściu nocy ma coś ukryć przed oczami ciekawskich. Wzdrygnął się. Wiedział, że znowu będzie gorąco, że trudno będzie oddychać. Poziom wody w rzece szybko się obniżał. Jeśli w ciągu najbliższego tygodnia lub dwóch nie spadnie deszcz, koryto rzeki zamieni się w bagnistą dolinkę i... kraby nie będą miały gdzie się ukryć. To była przerażająca myśl.

Nie mógł zapomnieć o nocnym koszmarze, ciągle czuł ohydny smród krabiego cielska. To było idiotyczne. Niewinne wspomnienie tamtego małego kraba spowodowało taką lawinę myśli. Jeszcze ten sen...

Ben nalał sobie kolejny kubek herbaty. Zwlekał. Nie miał ochoty iść nad rzekę.

- Niech się zupełnie rozjaśni - pomyślał - niech zniknie ta mgła.

Tego dnia miał sporo rzeczy do zrobienia: między innymi sprawdzić pułapki zastawione na dzikie norki. Najlepsze ze wszystkich są sidła. Jasne, że to okrutny sposób na łapanie zwierząt, ale co, do cholery! Naj-

184

ważniejsze, żeby chwyciły i nie puszczały. Tak, jak pułapka na ludzi.

Ben czekał, aż pierwsze promienie słońca rozpędzą snującą się nad łąkami mgłę. Czyścił starą, dwunasto-kalibrową flintę.

Wiedział, że nie była całkiem sprawna, ale dodawała mu odwagi.

Hendrix wyszedł wreszcie z domu i ruszył na obchód. Nie spieszył się. Maszerował okrężną drogą, żeby najpierw sprawdzić sidła zastawione na norki.

- "Do tego czasu mgła na pewno opadnie" - pomyślał.

Poziom wody był przerażająco niski. W ciągu nocy ubyło ponad cal. Czyżby wyschło źródło? Nie wiedział, skąd tą rzeką wypływa. Nigdy się nad tym nie zastanawiał. Dla niego najważniejszy był odcinek, nad którym sprawował opiekę.

Jedna z pułapek zmiażdżyła szczura. Hendrix splunął. Gryzoń jeszcze żył, chociaż tylna część jego ciała była prawie odcięta stalowymi zębami. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie skrócić cierpień stworzenia, ale po chwili namysłu sarknął, przywołując się do porządku.

- A niech skurwiel cierpi. I tak zdechnie w swoim czasie.

Uśmiechnął się z politowaniem. Przypomniał mu się program telewizyjny, w którym pokazywali ludzi hodujących szczury.

- No, to może się wydarzyć tylko w mieście! - pomyślał. - Najgorzej jest, jeśli zbyt dosłownie interpretuje się ustawę o ochronie zwierząt. Wtedy wszystko staje na głowie i nawet szczury otrzymują prawo do życia. Nie wolno ich zabijać, nie wolno tresować kotów, bo to szkodzi biednym, małym gryzoniom. A niech boże stworzonka się rozwijają, niech się mnożą. Na ziemi znajdzie

się miejsce dla wszystkich. Precz z sidłami, pułapkami, wnykami i potrzaskami! Ale jak tylko mała mysz pojawi się w pokoju, wszyscy miłośnicy zwierząt gotowi są wołać o najskuteczniejszą łapkę na myszy. Może nie powinno się też krzywdzić wielkich krabów? O, nie! A niech ustawę o ochronie zwierząt trafi szlag - Ben Hendrix nie miał zamiaru litować się nad olbrzymimi zabójcami.

Z daleka zobaczył co się dzieje nad brzegiem rzeki. Serce skoczyło mu do gardła, żołądek ścisnął strach. Widział naprężony łańcuch i tylko do połowy zanurzone szczęki sidła. Coś się złapało!

Ben wyteżył wzrok. Co to mogło być? Na pewno nie krab. To coś nie miało pancerza, ale było duże. Większe od owczarka alzackiego. Hendrix zerwał się do biegu.

Po kilku chwilach był już na miejscu i wpatrywał się w płyciznę przy brzegu. Otwartymi szeroko ustami łapczywie wdychał powietrze do nadwęzłowanych płuc. Co to może być, do diabła! Oślizgłe, nagie cielsko, pokryte wielkimi jak dłonie guzami i ropiejącymi wrzodami.

Cokolwiek to było - żyło jeszcze. Sidła uwięziły kilka odnóży. Ostre zęby stalowych szczęk prawie je odcięły. Stworzenie szarpało się, ciągnęło, próbowało jakoś uwolnić. Powoli jednak opadało już z sił. Nagle wyczuło obecność człowieka i znów się ocknęło, odwracając przodem do oniemiałego z wrażenia Bena.

186

Woda i błoto powoli ociekały z przerażającej gęby i Ben rozpoznał, co to była za istota. Patrzyły na niego te same, czerwone, złe oczy, które widział we śnie. Krab, którego ojciec zabił w garażu i który wczoraj trafił go we śnie, wrócił spragniony ludzkiego mięsa. Wrócił po resztę! To był z pewnością ten krab, tylko... bez skorupy!

Krab chciał wy leż z wody i szarpnął się, wzbijając fontannę błotnistej wody, która poleciała w stronę Bena. Widział człowieka i odyskiwał siły. Szarpał się wściekle na łańcuchu, sycząc z bólu i złości. Uwięzione odnóży krwawiły, ale on nie zwracał na to uwagi. Zapierał się pozostałymi, zdrowymi kończynami i próbował zerwać powstrzymujący go łańcuch.

Ben Hendrix otarł wierzchem dłoni spoconą twarz. To było zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. Udało mu się złapać jednego z tych przerażających, pieprzonych skorupiaków! Bał się, mimo że bydlę było uwięzione i bezbronne. Cofnął się o krok. Podniósł strzelbę do oczu i już miał naciskać spust, kiedy nagła myśl przyszła mu do głowy. Jasne, że mógłby zastrzelić potwora. Nawet ze zdezelowanej flinty, ale nie! Śmierć byłaby dla niego wybawieniem od męki, jaką gotowało mu zarażone, oblepione wrzodami cielsko. Niech cierpi! I szlag niech trafi ustawę o ochronie zwierząt z 1911 roku!

Krab przysiadł na chwilę i wpatrywał się w Bena złowrogo. Wiedział dlaczego człowiek to robi i marzył tylko o małej chwili, która pozwoliłaby mu zemścić się przed śmiercią. Krab czekał na taką szansę i chciał umierać powoli!

187

Na przeciwległym brzegu rzeki wniebogłosa wydzieriała się sroka. Śmiała się. Gdzieś dalej w górze rzeki inna, czarno-biała gaduła powtórzyła ten sam dźwięk. Wszędzie dookoła rozlegał się chrapliwy śmiech. Wróg natury cierpiał. Wróg natury wreszcie zdychał. Zgodnie z prawem.

W pewnym momencie krab napiął słabnące mięśnie i podjął ostatnią próbę uwolnienia się. Łańcuch zazgrzytał, uwięzione w potrzasku dwa odnóży bluznęły krwią z naderwanych żył. Zwierzę znowu zamarło. Zbierało siły. Następnym razem na pewno się uwolni. Strata dwóch kończyn była błahostką. Krab miał przecież jeszcze osiem innych.

Ben Hendrix obliznął wargi. Wiedział, że w końcu będzie musiał zabić to bydlę. Z trudem udało mu się załadować zdezelowaną dwururkę, podniósł ją do oczu i dokładnie wymierzył. Przez celownik widział dwoje błyszczących, nienawistnych oczu skorupiaka. Widział, jak co chwilę to zamykają się, to otwierają. Na sekundę zapaliły się nienawiścią, ale po chwili były już tylko otępiełe. Krab pogodził się ze śmiercią.

Ben powoli naciskał podwójny cyngiel. Stara flinta jęknęła przy wystrzale, jakby miała się rozlecieć i silnie kopnęła, boleśnie uderzając Bena w ramię. Zwielokrotniony ładunek o mało nie rozsadził lufy. Krab wzdrygnął się uderzony kulami i cofnął. Pod wpływem nagłego bólu wyprostował czułki i kończyny. Jedno z uwięzionych odnóży wyrwało się ze stalowego uścisku pułapki. Krab przewracał się jak na zwolnionym filmie, drgał targany konwulsjami. Czułki najpierw wyprostowały się, a potem zwiótzały, jak

188

łodygi nie podlewanym kwiatów. Wreszcie nadeszło to, na co czekał. Śmierć.

Nagły bezruch i cisza były straszne. Ben Hendrix opuścił dymiącą jeszcze lufę. Popatrzył na zmasakrowanego kraba. Było wyraźnie widać, w jaki sposób pociski dosięgły bestii. Oba trafiły w głowę i pokiereszowały straszliwą krabią gębą. Po skorupie ostanającej łeb skorupiaka płynęły teraz cienkie strużki krwi. Ben żałował, że tak to się skończyło. Pocieszał się jednak, że bestia i tak dostała za swoje.

Ben postanowił później zabrać stąd sidła. Na samą myśl o tym, że miałyby dotykać oślizgłego ciała, robiło mu się niedobrze. Może złapie jeszcze jednego? Kto wie? No, ale teraz musi koniecznie sprawdzić inne sidła - pomyślał.

Ni stąd, ni zowąd poczuł się trochę słabo. Rozejrzał się niepewnie dookoła. Co, do licha! Poranna mgła wcale nie opadła. Wprost przeciwnie. Gęstniała i posuwała się naprzód. Okrywała lepkiem, wilgotnym płaszczem leżące na swojej drodze łąki, głużyła przenikliwy wrzask czajki.

Ben zatrzymał się. Odwrócił. Pomyślał, że to pewnie sroki zgłupiały i wydzierają się wniebogłosa. Ale... ten dźwięk był trochę inny... KLIK-KLIK-KLIK.

To brzmiało za szybko! Mgła rozplywała się, nabierała jakichś niesamowitych, nierealnych kształtów. Hendrix zdrętwiał. Rozpoznawał już kolebiące się, klekoczące stwory. Poczuł dotkliwy ból ściśniętego ze strachu żołądka.

189

Kraby. Dziesiątki krabów maszerowały w zwartych szeregach, jak najlepiej wyszkolona armia. Kiedy go zobaczyły, wściekle zaszczekały kleszczami i rozwinęły szyki w tyralierę. Sunęły jak wielka, bezlitosna fala, niosąca śmierć i zniszczenie. ^

Ben cofnął się. Zapomniał, że stoi na brzegu rzeki i z krzykiem runął w dół. Ze strachu i bólu w pogruchotanych żebrach wymiotował, nie myśląc o ucieczce. Marzył tylko, żeby wyczołgać się jak najdalej od zastrzelonego przed chwilą kraba. Ben upadł na jedno z jego rozsuniętych odnóży. Krabia krew, wydzielina z wrzodów na skórze i resztki guzów oblepiły mu całą twarz i ręce. Klęczał i czekał na tę maszerującą hordę skorupiaków. Ich gęby były zupełnie jednakowe, jak maski powykrzywiane nienawiścią. Zobaczyły zmasakrowanego brata i jeszcze głośniejsze załomotały szczypcami. Nie zatrzymały się nawet. Uderzyły z marszu, miażdżąc jakby przypadkiem zaplątanego między ich wielkimi skorupami człowieka.

Ben czuł, jak go popychają, jak kleszcze od niechcenia zatapiają się głęboko w ciele i rozrywają je. Poślizgnął się. Był teraz w lesie, gdzie rosną olbrzymie drzewa, a większe od ludzi grzyby zasłaniają światło dzienne. Bał się, że zwariuje.

- Nie, to nie w porządku! - krzyknął. Znowu był w garażu ojca, tylko że staruszek zapomniał zapalić światła! No, do cholery,

gdzie ten Tommy? Och, Chryste! Te kraby pożarły go i nie zostawiły ani jednej kosteczki! Skąd one się tu wzięły? Przecież nie wylazły z jednego małego wiaderka!

Nie, nie. To tylko sen i Ben wiedział o tym. Coś boli, ale to nie jest wcale taki ostry ból. To tylko wyobraźnia.

190

Coś nagle przeleciało mu przed oczyma. Ben przestał widzieć. Lepka, ciepła krew... Próbował ją wytrzeć, ale i tak nie przywróciło mu to wzroku. Ręce i nogi... czuł, jak drętwieją... miał wrażenie, że w ogóle ich już nie ma...

Ciągle ten sam dumy sen. To przestało być już straszne. Teraz jest już tylko nudne. Głowa toczy się po ziemi, kraby kopią ją jak piłkę, dopóki nie utkną... Boże, kratka ściekowa? W każdej chwili może przypląć fala krwi i utworzy basen... poziom cieczy podniesie się... Ben utonie.

Dźwięki stały się mniej denerwujące, ból ucichł prawie zupełnie. Miał nadzieję, że wreszcie nadszedł czas, żeby zakończyć ten senny koszmar i spokojnie zapaść w solidną drzemkę. Zabawna rzecz. Krab bez skorupy. Można by go nazwać NIEUBRANYM KRABEM! Ben śmiał się serdecznie z dowcipu. Był przekonany, że to rzeczywiście tylko sen... Nawet nie próbował myśleć o wszechogarniającej go ciemności.

Kraby wróciły do sideał. Któryś z nich podniósł szczypcę. Jedno szybkie cięcie. Delikatne mięso okaleczonej ofiary - człowieka rozpadło się na kawałki. Skorupiaki zapomniały o człowieku. Rzuciły się na mięso zabitego kraba.

Bez jakiegokolwiek szacunku, bez współczucia. Rozrywały na strzępy, biły się między sobą o większe kawałki, pochłaniały wszystko. W taki sam sposób postępowali z ludźmi na trasie całej swej wędrówki. Padlinożercy oczyszczają teren nawet z ciał przedstawicieli swego gatunku. Jakby nie chciały zostawić po sobie żadnego śladu.

Była to armia, która żywiła się swoimi słabszymi żołnierzami. Armia KANIBALI!

Rozdział dwunasty

Craniarich. Zapomniane szkockie miasteczko, leżące u szczytu doliny, jak zwykle żyło swoim stałym rytmem. Nad niewielkimi domkami unosiły się dymy z kominów, wokół panowała cisza nastrojowego, letniego wieczoru. Loch Merse pobłyskiwało wesoło w ostatnich promieniach słońca zachodzącego za oddaloną nieco od doliny górę Criffel.

Częściowo odbudowany dom znowu chylił się ku wrzosowiskom, jakby zastanawiając się, czy już definitywnie się zawalić, czy może jeszcze poczekać. Odbudowujący go ludzie uciekli stąd czym prędzej, zabrali ze sobą drabiny, co znaczyło, że już nie wrócą. John Blockley zaginał ponad dwa tygodnie temu, a co najważniejsze - nikt nie zapłacił za wykonaną już pracę, więc wszyscy zwinęli się i odjechali do pobliskiego Moffat, gdzie podobno mieli pewniejsze zajęcie.

Posterunkowy Glendon przyjechał do miasteczka w południe. Widział wyraźnie, że w oknach domów, obok których przechodził, poruszają się firanki. Kiedy uparcie wpatrywał się w zakurzone okna, widział szybko chowające się głowy i powykrzywiane niechęcią i podejrzliwością twarze. Znał tych ludzi. Jego dziadek całe życie spędził w Craniarich. Tutaj nic się nie zmieniało, a najmniej zyczą i charaktery ludzi.

192

Kiedy wszedł do zasnutego dymem baru wszystkie rozmowy nagle ucichły. Spotkał nieprzyjemne spojrzenia tych, których ciekawskie kobiety zdążyły już poinformować o jego przybyciu. Blacklaw, właściciel baru, tylko raz spojrzął na przybysza i zajął się wycieraniem swoich kufla, szklanek, kieliszków i nalewaniem piwa - to była dla niego najważniejsza na świecie czynność. Paul Glendon trzy lata temu przeszedł na emeryturę. Nie był wcale stary. Siwizna tylko trochę przyprószyła włosy, twarz miał gładką, pogodną i nie poraną zmarszczkami. Dwa razy odrzucił proponowany a-wans - na więcej ofert nie miał co liczyć. Nie chciał żadnych nobilitacji, awansów i promocji. Ulica była jego życiem, poświęcił się tej robocie, bo dbał o społeczeństwo. Jutro miał pojechać na patrol do Bladaggon. To góra, na której szczycie samica orła szczęśliwie wychowywała młode. Wszystko było w najlepszym porządku, ale sprawdzić nigdy nie zaszkodzi. Ballinger nie pojawił się w tych okolicach od kilku miesięcy, ale mógł przyjechać w każdej chwili i chcieć zabrać ten lęg, nawet tak już rozwinięty. To żaden problem zabrać takie młode ptaszki. Nawet jeśli są orłami. Wystarczy solidna siatka. To dziwne, że Ballinger nie przyjechał. I niepokojące. Co się mogło stać?

- Proszę whisky - powiedział do barmana i oparł się o kontuar. Zamówienie przyjął ponury facet, po którym od razu było widać, że nie lubi glin. Gdziekolwiek indziej Glendon nie ryzykowałby picia w barze w pełnym umundurowaniu, ale nie w Craniarich. Tutaj to nie miało żadnego znaczenia. Poza tym, tylko tu w

193

Royal Stag, mógł zasięgnąć jakichkolwiek informacji. Tutaj wiedziało się wszystko o wszystkich.

Właściciel napełnił szklanekę whisky Black Label ze zrozumiałym ociąganiem się i niechęcią. Pięćfuntowy banknot rozmiął całe wieki.

- Szukam Johna Blockleya. - Glendon odezwał się na tyle głośno, żeby usłyszeli go siedzący w barze ludzie. Prawdopodobnie domyślali się tego już wcześniej. Nie ukryłby niczego, nawet gdyby chciał.

- Nic panu nie pomogę, oficerze. - Blacklaw rzucił dźwięczną resztę na ladę. - Nikt go nie widział od dwóch tygodni i nie sądzę, żeby jeszcze się tu pojawił. Craniarich to dziwne miejsce. Pan wie, bagno ma swoje tajemnice.

- Tyle to słyszałem. - Glendon siorbał głośno whisky. - Chciałem tylko zapytać. Ot, tak, z ciekawości. Gdybyście coś wiedzieli, nie musiałbym niczego szukać, a tak... Ech, jednak będę musiał zabrać się do poszukiwania.

- Straci pan tylko czas. - Blacklaw znalazł jeszcze jedną szklanekę do wycierania. - Niech pan nie myśli, że my nie chcemy panu pomóc. Po prostu nie możemy.

- Dobra, rozumiem. - Policjant wypił whisky do końca i postawił pustą szklanekę na kontuarze. - Ale i tak będę musiał go szukać. Boże, ale duszno! Nie było czym oddychać, rozpalone powietrze rozrywało umęczone płuca. Dwadzieścia minut później Glendon wyprowadził samochód na wąską, krętą drogę, prowadzącą nad jezioro. Przez pnienie wysokich sosn widać było niebieską taflę wody,

194

która tajemniczo błyskając, zapraszała do kąpieli. Glendon wysiadł z samochodu i zdjął marynarkę. Poszukiwania rozpoczęte... czy we właściwym miejscu? No, cóż. Miejsce tak samo dobre, jak każde inne.

Przeszedł się drogą wzdłuż lasu. Dopiero tutaj poczuł chłodny, orzeźwiający powiew łagodnego, pachnącego sosnami wiaterek. Wewnątrz, między drzewami, było trochę strasznie i ciemnawo. Starł się za wszelką cenę nie poddawać

ogarniającemu go uczuciu ulgi i odprężenia, kiedy wyszedł na zalaną słońcem drogę. Znał Merse tak dobrze, jak wszystko dookoła. Jako dziecko spędzał każde wakacje u dziadków i teraz po tylu latach z przyjemnością zauważył, że tak niewiele się zmieniło.

Te same owcze ścieżki, deptane przez setki raciczek od wieków, prowadziły serpentynami w te same tak kochane za szczenięcych lat miejsca. Głupi, tchórzliwy człowiek zbudował sobie okrężną drogę, prowadzącą z dala od Bagnisk Craniarich, ale to nie szkodzi. Trzęsawisko jest cierpliwe i prędzej czy później dopadnie swoją ofiarę.

Tuż przy brzegu jeziora droga stawała się twardsza i bardziej kamienista. Wielkie głązy narzutowe, które nie wiedząc skąd wzięły się nad samą wodą, psuły trochę gładki, piękny krajobraz.

Glendon usiadł na płaskiej skale i zapalił papierosa. Dzień nadawał się tylko do leniuchowania. A on mimo ogarniającej go senności i rozluźnienia musiał być czujny. Wiedział, że na wrzosowiskach nie znajdzie ciała Blockleya. Tak chciał powiedzieć swoim przełożonym i koniec. Będą musieli przyjąć to do

195

wiadomości, nawet jeśli początkowo sądzili, że właśnie tam należy szukać. Wiedzą, że Paul Glen-don nie opuściłby nigdy i za nic posterunku. Gdyby przeczuwał, że Blockleya można znaleźć na wrzosowisku, to szukałby tak długo, aż by znalazł.

Glendon siedział na skale i ćmił papierosa, przyglądając się uważnie dwóm małym punkcikom na niebie. Po chwili zobaczył myślołowy lecące ponad wzniesieniami Criffel. Pomyślał, że mogłyby właśnie wracać z uczytą złożonej z ludziego mięsa. Nikt nie był tak pewien, że John Blockley nie żyje, jak Glendon. Nie, nie było żadnych śladów, żadnych dowodów. Po prostu przecucie. Paul domyślał się też, gdzie raczej należałoby szukać Blockleya. Prawdopodobnie zginął tam, na dole; może nieuważnie spacerował po bagnie.

Jeśli tak rzeczywiście było, to na pewno nikt go już nie znajdzie. Tymczasem, zanim coś nowego nie pojawi się w sprawie, policjant będzie obserwował i słuchał. Tyle akurat mógł zrobić, a nigdy nie należał do ludzi, którzy niepotrzebnie się eksploatują.

Słońce powoli chyliło się już ku zachodowi. Gorączka całego dnia opadała, zmieniając się w nieco chłodniejszy, ale też nie dający oddech wieczór. Glendon ciągle obserwował. Za pół godziny w dolinie będzie zupełnie ciemno.

Było zupełnie cicho. Jakby wszystkie ptaki i inne zwierzęta uciekły. Ani jednego krzyku pardwy, ani szumu skrzydeł przelatujących kaczek krzyżówek czy cy ranek. Cisza.

196

Glendon poczuł raczej, niż zobaczył pierwsze poruszenie w wodzie.

Wydawało mu się, że to wydra płynie jakieś dwadzieścia jardów od brzegu. Ciekawość zmusiła go do podejścia bliżej. Nie spuszczał wzroku z tafli jeziora ani na ułamek sekundy. Cokolwiek to było, płynęło do brzegu. Jeśli wyjdzie na brzeg, to około trzydziestu jardów od niego, po lewej stronie. Do diabła! Cienie na wodzie nie pozwalały widzieć niczego wyraźnie.

Coś wyraźnie się ruszało, wypychało się na powierzchnię. Glendon widział już ciemniejszą od cieni plamę płynącą do brzegu. Nie, nie. To było dużo większe i powolniejsze od wydry. Policjant wytrzeszczał oczy, próbował szybko zidentyfikować zwierzę. Od początku wiedział, że nie jeden, a kilka dziwnych, dużych zwierząt płynęło ku plaży jeziora. Słyszał, jak się wynurzyły. Woda rozpryskiwała się na wszystkie strony, chrzęścił drobny żwirek plaży. Wydawały jakiś dziwny, klekoczący, grzechotliwy dźwięk...

Nagle Paul Glendon zobaczył co to za zwierzęta wychodziły na brzeg jeziora Loch Merse. Olbrzymie kraby, takie jak te, które zaatakowały Londyn i inne miejsca w całej Brytanii. Wiedział już, jaki los spotkał Johna Blockleya.

Policjant przykucał za sporą kupką kamieni. Kraby ciągle wychodziły na brzeg, wyczołgiwały się na mokry piasek. Nocne powietrze napelniało się ich smrodem.

Glendon pocił się straszliwie. Jakiś jard przed nim przeszedł, kolebiąc się, jeden z olbrzymów. Kilka

197

innych przycupnęło parę jardów obok. Zastanawiał się nad krabimi zdolnościami wyczuwania ofiary na lądzie... Gdyby go odkryły, na pewno spokojnie można byłoby wpisać jego nazwisko na listę zaginionych w Craniarich osób.

Próbował ocenić to, czego był świadkiem. Księżyc nie pokazał się, tylko nikiłe światło gwiazd podświetlało sylwetki krabów poruszających się właśnie tutaj, nad jeziorem. Cholera, jak bociany przed odlotem do ciepłych krajów! Od czasu do czasu któryś szcześnie kleszczami, ale ogólnie, panowała niczym nie zakłócona cisza. Kraby wyraźnie na coś czekały.

Nogi Glendona to cierpły, to stawały się miękkie jak z waty. Był zmęczony i żadna z pozycji zmienianych z narażeniem życia nie przynosiła mu ulgi. Modlił się, żeby potwory wróciły do wody przed rankiem. Jeśli zostaną tu dłużej, na pewno go odkryją i zginie.

Godziny mijały. Noc płynęła początkowo wolno, a potem jak szalona poskoczyła ku porankowi. Glen-don jęknął, kiedy zobaczył pierwsze szare pasma na wschodniej części nieba. Do szosy prowadziła tylko jedna droga. Ta wąziutka ścieżka, którą teraz zapewne obstawiły wielkie skorupiaki. Miał dwie drogi do wyboru. Obie prowadziły do śmierci: kraby albo bagno. Chociaż... gdyby miał wybierać, zdecydowanie wolałby to drugie.

Światło dnia wpętało powoli i oświetlało pogrążone w ciszy, zwaliste kształty. Żaden z nich nie ruszał się. Glendon próbował wprasować się mocniej w skałę, za którą siedział. Wiedział, że za kwadrans

198

będzie zwiewał popędzany przez olbrzymie szczypce. O, nie! Nie podda się tak łatwo. Woli walczyć, niż siedzieć tutaj i czekać na śmierć. Biegać, skakać, zwiewać. Była szansa. Nie zastanawiał się nad tym, czy to dobry plan, czy zły. Lepiej nie wiedzieć. Różowa poświata rozciągnęła się wzdłuż szarego dotychczas horyzontu. Co za piękny widok! Policjant zachwyił się, cały czas kucając za skałą. Prawdopodobnie już nigdy nie zobaczy wschodu słońca. Wyteżył więc wszystkie swoje siły, żeby docenić i zapamiętać ten ostatni.

Kręciło mu się w głowie. Prawie się udusił, nie mogąc kaszleć i wdychając obrzydliwy odór, rozchodzący się w nieruchomym powietrzu. Przypomniał mu się ogier, którego znalazł martwego na wrzosowisku któregoś dnia. To był okaz! Wspaniały koń! Nazywał się Quicksilver. Odstawili go od polowań, bo podobno zachorował na nowotwór złośliwy. Weterynarz, który go oglądał, dawał mu trzy miesiące życia. Nie wiadomo, czy zwierzę rozumiało, czy samo wiedziało, że jest chore, w każdym razie któreś nocy ogier wyłamał drzwi od boksu i uciekł. Poszedł na wrzosowiska Bładaggon. Zdecydował się zdechnąć samotnie, pośród dzikich pól i łąk, które tak kochał. Paul Glendon doszedł do miejsca jego ostatniego snu po zapachu. Odór śmierci jest zawsze taki sam, a w każdym razie podobny.

Policjant nie zważał na to, że ma całkiem zeszyw-niałe nogi i zaczął uciekać. W pewnej chwili potknął się, prawie upadł, ale odzyskał równowagę i biegł dalej.

Kraby były wszędzie. Skorupy piaskowego koloru wyraźnie odcinały się od zielonego tła. Kraby trochę przypominały śpiące z głową pod skrzydłem ptaki. Cisza, spokój, żaden z nich nie zwrócił na niego uwagi. Ani się nie poruszył. Stały pojedynczo, jeden za drugim wzdłuż owczej ścieżki, która miała zaprowadzić Paula w bezpieczne miejsce. Kraby były wszędzie. Dziesiątki krabów.

Glendon zwolnił. Jakiś wewnętrzny głos podpowiadał mu, żeby się poddał, bo i tak mu się nie uda. Coraz bardziej kręciło mu się w głowie. Od intensywnego, ostrego smrodu zbierało mu się na wymioty.

Nagle przyszła mu do głowy szalona, lecz najbardziej prawdopodobna w tej sytuacji myśl. Zatrzymał się i zaczął się śmiać jak szaleniec, któremu w ostatniej chwili podesłano łaskawe uwolnienie.

- Nie umrzesz! - krzyknął do siebie. Usiadł wykończony na trawie. Wiedział, że nie ma dokąd się śpieszyć. Do niego należał cały ziemski czas.

Wszystkie kraby od brzegu jeziora do lasu BYŁY MARTWE!

200

Rozdział trzynasty

- Zdychają setkami. - W głosie Cliffa Davenporta brzmiał triumf. Profesor siedział na łóżku w swoim pokoju, w prywatnym szpitalu Wrexham. Właśnie weszła Pat. Cliff uśmiechnął się.

- Masz szczęście, że żyjesz. - Na twarzy Pat widać było świeże ślady łez i okropne zmęczenie. Nie spała przez ostatnie trzydzieści osiem godzin. - Kraby zrobiły z mojego męża kalekę. Czy to dla ciebie jest zwycięstwo?

- Nie jest aż tak źle - uśmiechnął się znowu. - Złamana noga zrośnie się prędzej czy później. Trochę pokuśtykam i będzie po strachu. A dłoń? No, cóż, dobrze, że to nie prawa. Poza tym szybko nauczę się żyć z protezą.

Pat usiadła na krześle obok łóżka. Nie miała odwagi zapytać... Wreszcie wydusiła z siebie:

- Już wszystko skończone, prawda? Kraby już nigdy nie wrócą... prawda?

- Nie wiem. - W pierwszej chwili chciał powiedzieć TAK, ale nie chciał kłamać.

- Ale przecież zdychają całymi setkami. Ich cielska są wszędzie. W rzekach i jeziorach, nawet na odkrytych, suchych przestrzeniach. Wyczołgiwały się z wody, żeby tam zdechnąć.

- Jasne. Za tydzień, może nawet mniej, nie będzie już ani jednego żywego kraba. Jakąś godzinę temu był tutaj Grisedale.

Podobno znaleziono ich około setki nad jednym z jezior w Szkocji. Część padła tuż przy

201

wodzie, ale większość wypełzła na wrzosowisko. I to mnie bardzo niepokoi. Kraby się zmieniły. Mogą długo wytrzymać w słodkiej wodzie, ale teraz nawet to im nie wystarczało. Wychodziły na brzeg.

- Słuchaj. - Pat położyła rękę na ramieniu męża.

- To nie jest twoje zmartwienie, Cliff. Władze przejęły kontrolę nad wszystkim. Musisz teraz dużo wypoczywać i zapomnieć o krabach.

- Najpierw porzuciły morze, teraz rzeki. - mówił Cliff, nie słuchając Pat. - Myślałem, że mają jakiś cel, jakiś punkt, do którego dążą, żeby tam zdechnąć. Nie jestem teraz tego pewien. Chyba się trochę zagalopowałem.

Pat patrzyła na Cliffa zdziwiona. Zobaczyła, że w szarych oczach profesora czai się... strach?

- Może zależało im na tym, żeby zdechnąć gdziekolwiek na suchym lądzie. - Cliff coraz bardziej ściszał głos

- Albo wyszły z oceanu, bo... musiały. Może wiedzą o jakimś promieniowaniu radioaktywnym, o którym my nie mamy pojęcia, albo... albo czegoś się boją!

- Czego na przykład?

- Może jakiegoś większego, silniejszego, okrutniejszego od nich zmutowanego gatunku. Nie mamy nawet pojęcia, co powstaje w głębinach oceanów.

Pat zdrętwiała. Przerazenie wielką falą przepłynęło przez całe ciało. Czuli się, jak obudzona ze straszliwego snu. Serce waliło jak oszalałe, zimny pot kropelkami zrosił jej czoło.

- To tylko domysły. - Starła się, żeby jej słowa brzmiały przekonująco.

- Może tak, może nie. Acha, jutro stąd wychodzę.

202

- Nie. Nie wychodzisz. - Spojrzała na niego ze złością. - Nie jesteś jeszcze zdrowy. Pielęgniarki mówiły, że przynajmniej jeszcze tydzień...

- Wracam do domu. - Davenport był zdecydowany. Pat знаła jego nastroje i wiedziała, że nic nie jest w stanie powstrzymać jej męża przed wypełnieniem powziętego postanowienia. - Jeśli doktor Marriott nie pozwoli mi, sam się wypiszę.

Pat była tak rozstrojona, że nie potrafiła opanować napływających jej do oczu łez.

Nad naturalne, piękne jezioro Chasewater w Zachodnim Midlands zawsze przyjeżdżało na weekend mnóstwo turystów. Nic dziwnego. Okolica była naprawdę urocza. Od wielu lat urządzano tu jarmarki, pokazy sztucznych ogni, na wodzie zawsze tłoczyły się różne łodzie, motorówki, jachty.

Niestety, przestoczenie się Chasewater z cichego i spokojnego w jazgotliwe, kolorowe miejsce festynów spowodowało, że dzikie ptaki zostały przegnane. O-siedla mieszkaniowe budowano bardzo blisko jeziora i nie było już mowy o ciszy i spokoju.

Ale, tak jak się rzekło, Chasewater zyskało nowy, kolorowy wizerunek wiecznego karnawału.

Bili Wallace zajeżdżał do Chasewater około szóstej rano. Przebierał się w swój nieprzemakalny kostium i na głos przeklinał swego kumpla Toma Cartera. Na niego zawsze trzeba było czekać! Spóźniał się nieraz tak koszmarnie, że Bili na wszelki wypadek umawiał się z nim godzinę wcześniej, niż było trzeba. Tak jak i teraz. Zamiast o siódmej, powiedział mu, że spotkają

203

się o szóstej. W ten sposób wykorzystają szansę spokojnego popływania na nartach przed pójściem do pracy. Wieczorami Chasewater było zbyt zatłoczone, zbyt dużo tu pływało łodzi, które zawsze powodowały niemałe zamieszanie i problemy. Bili pomyślał, że chyba będą zmuszeni poszukać jakiegoś spokojniejszego miejsca.

Nie było to wcale takie proste, bo dokładnie każdy człowiek nad Chasewater myślał o tym samym.

Bili siedział na zderzaku starego spitfire'a, gładząc krótką bródkę. Przyglądał się gładkiej tafli jeziora i otaczającym je lasom.

"Nic specjalnego. Ot, dziura w ziemi wypełniona wodą, umilająca ludziom życie. Gdyby zabrać stąd łódki, karuzele, domki i sklepiki, pozostałoby smutne bajorko. Za kilka lat pewnie przybrałoby swój pierwotny wygląd" - myślał Bili.

Usłyszał warkot silnika zbliżającego się pojazdu i spojrzał do tyłu. Powybijaną drogą, wznosząc tumany kurzu, z trudem przedzierał się nieduży samochód. Nieźle! Dwadzieścia minut spóźnienia. To naprawdę mało, jak na Toma. Poczuli się trochę

głupio. Tom nie bardzo chciał dzisiaj jechać, robił to tylko dla Billa. No, ale przyjaźń wymagała poświęceń.

- Cześć. - Tom ubrany był w poszarpany, niebieski sweter i wypłowiałe dzinsy. Widać, że się śpieszył, chciał dojechać na miejsce jak najszybciej. - Odpalę rurę. Nie traćmy czasu. Nie chcę się znowu spóźnić do roboty, wczoraj odbiłem kartę dziesięć minut po czasie.

Bili zakładał narty. Słyszał, jak silnik starego Kor-204

morana kichnął, zakrztusił się i zapalił dopiero za trzecim czy czwartym razem. Tom podpłynął do pomostu. Rzucił linę. Obaj byli już gotowi. Nie rozmawiali ze sobą, bo i tak nie usłyszeli się w ryku silnika motorówki.

Kilka minut później lina napięła się i nagle szarpnięcie pociągnęło Wallace'a na wodę. Powstała wspaniała, wysoka fala. Chciało mu się śpiewać, nie obchodziło go, że ktoś mógł usłyszeć. Nic nie mogło równać się z tym sportem.

To było jak orgazm. Najpierw gorąco ogarniało całe ciało, krew pulsowała, rozsadzając skronie i pierś, a po chwili miało się ochotę wybuchnąć. Człowiek czuł się zupełnie oderwany od świata, był sam, nic doczesnego nie istniało. Żył tylko dla motorówek i nart wodnych. Tom i Bili stanowili nierozłączną parę, obaj czerpali z życia to, co było dla nich najlepsze.

Płynęli wielkim półkolem aż do strony Nortona. To tylko przygrywka.

Brownhills - to najwspanialsze miejsce do akrobacji. Osiem razy na dziesięć traciło się równowagę na tej niesamowitej trasie. Ale właśnie to miejsce Bili postanowił przejechać z największą szybkością i nie wpaść do wody.

Chryste, rzeczywiście coś dzisiaj nie idzie. Wszystko przez ten pośpiech. Bili naprawdę chciał dziś pobić poprzedni rekord, ustanowiony w tym miejscu.

Kiedy Tom zmieniał kierunek. Bili poczuł, że coś jest nie tak.

Zdawało mu się, że woda go wciąga. Może to przez źle przymocowaną nartę? Nie.. Wszystko było dobrze pozapinane.

205

Jezu Chryste! Tom oszalał! - pomyślał. Pływa, jakby go nawiedziło, jakby omijał przeszkody w jakimś dzikim slalomie. Ucieka przed wielkimi falami, których nie powinno tu być!

Bili skoncentrował się, odpiął klamrę. Rozluźnił mięśnie, puścił linę i wpadł z pluskiem do wody. Spojrzał szybko na motorówkę. Zanurzała się rufą w wodzie, jakby coś ją wciągało. Po chwili Bili nie widział już nic. Porwała go ciemna, mroczna woda.

Wiele razy musiał ratować się z podobnych opresji. To była część tej dyscypliny sportu. To, że w pierwszej chwili czuł nieprzyjemny chłód i nic nie widział, było skutkiem gwałtownego zanurzenia. Przedziwny, podwodny świat. Lokalne legendy głosiły, że to jezioro nie ma dna. Bili wzdrygnął się. Machał nogami i starał się jak najszybciej wypłynąć na powierzchnię. Z każdym metrem stawało się jaśniej. Od powietrza dzieliły go może dwa, trzy jardy. Nagle coś mocno zacisnęło się wokół jego kostki i zatrzymało go. Szarpnięcie o mało nie urwało mu stopy. Bili rzucił się ku górze, ale to coś trzymało mocno. Poczul, że ciągnie go w dół.

Nie mógł już oddychać. Otworzył usta i woda wdarła się do gardła. Klatkę piersiową rozsadzał potworny ból. Bili skręcał się, szarpał, próbował zobaczyć to coś pod nim. Bał się okropnie. Dookoła panowała całkowita ciemność. Otaczały go jakieś dziwne, czerwono świecące punkciki. Węgorze? Nie wiedział zbyt dużo o podmorskim życiu. Nie mogło to być nic niebezpiecznego. Przecież to zamknięty zbiornik. Chociaż mogły to być jakieś tajemnicze, zatopio-

206

ne śmieci, w które się zaplątał. Kiedyś utonął tu samochód. Ot, właściciel nie mógł zapalić i zdenerwowany zepchnął go z pomostu. Nie wiadomo, co kryje się na dnie tego jeziora.

Nagle zaatakowało go coś potwornie ostrego. Bili poczuł śmiertelne niebezpieczeństwo. Ciągłe nic nie widział, ze wszystkich stron otaczały go szarpjące, rozrywające ciało noże. Bili skręcał się, próbował uciekać, ale nic z tego. Otworzył usta, by krzyknąć i woda zalała wszystko.

Wiedział, że umiera! Wyrывał się z mocnego, miazdzącego kości uścisku, widział strużki krwi rozplływające się w wodzie.

Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że to kraby-olbrzymy, wędrując rzekami i kanałami, dostały się do Chasewater.

Woda kotłowała się tak, jakby nagle powstały wielkie wiry szarpjące na wszystkie strony zmasakrowanym ciałem Billa Wallace'a. Jeszcze świadomy pomyślał o Tomie Carterze. Nikt inny nie jest temu winien, tylko on sam. Namawiał Toma na te kilka rundek na nartach z samego rana i teraz ma za swoje. Musi umrzeć.

Grupa nastolatków uzbrojonych w siatki na ryby wędrowała wzdłuż Pool Road w stronę kanału. Po dwóch tygodniach wakacji chłopcy zaczęli się już nudzić. Nie interesowały ich płotki czy okonie, po prostu mieli zamiar powłóczyć się trochę.

Pojedyncze kamienie śmigwały w powietrzu i uderzały w powierzchnię wody, tworząc rozchodzące się, wielkie koła. Pusta butelka po lemoniadzie dźwięcząc rozprysła się

207

na kupie cegieł, którą chłopcy poprzedniego dnia ustawiali.

- Chodźcie przez Pool - rzucił do kolegów rudy Timmy. Trzej jego towarzysze nie próbowali z nim dyskutować. Cokolwiek powiedział Timmy, było przyjmowane bez dyskusji. Uważali, że w tym co mówi i robi ma zawsze rację. Przy tym był sprytny i nikt mu nie podskakiwał. To był jego pomysł, żeby przyjść tutaj wcześniej rano. Teraz wszyscy byli straszliwie znudzeni, ale nikt nic nie mówił. Pójdą do domu, gdy Timmy o tym zdecyduje. Była za dziesięć siódma rano.

Ściana zapory zasłaniała im widok na jezioro. Słyszeli, jak gdzieś potwornie wył silnik motorówki. No, przynajmniej będzie na co popatrzeć. Jasne, że już nie raz oglądali pływających na nartach ludzi.

Chłopcy na czworakach wdrapali się na spadzistą ścianę tamy. Piasek osypywał im się spod stóp, co uszli parę jardów, to zsuwali się znowu. Nie uznawali żadnych normalnych dróg. Zawsze dostawali się tam, gdzie chcieli, swoimi własnymi ścieżkami.

Nagle skowył silnika umilkł. Zrobiło się zupełnie cicho. Chłopcy spojrzeli po sobie. Wreszcie wlepili wzrok w Timmy'ego. On zawsze wiedział dlaczego i w jaki sposób dzieje się wszystko, co widywali. Niech i teraz wytłumaczy im tę nagłą i niespodziewaną ciszę. Tym razem jednak Timmy nie miał pojęcia co się dzieje. Na pokrytej pryszczami twarzy malowało się zdziwienie, zmieszanie, strach.

Zgrzyt gniecionej blachy i łomot uderzenia słysząc było zbyt wyraźnie, żeby sądzić, że to wypadek na pobliskiej szosie. Po chwili znowu zapadła cisza.

208

- Chodźcie. - Timmy wdrapywał się szybko na wzniesienie. - Ten kretyn w coś wałnął. Najprawdopodobniej w molo. Zaraz to coś zobaczymy!

Czterech szukających sensacji chłopców wdrapywało się gorączkowo na kamienną ścianę tamy. Stojąc na górze, wpatrywali

się przed siebie z niedowierzaniem!

Po łodzi, którą słyszeli, nie było żadnego śladu. Chyba, że... Nie!

Szczałki tonącej łodzi nie mogłyby wzburzyć całej powierzchni jeziora! - pomyślał Timmy. Na siedmio-milowym obwodzie, woda kotłowała się tak, jakby całe Chasewater się gotowało.

Wysokie na kilka stóp fale z białymi grzywami rozbijały się na betonowych brzegach, piana rozpryskiwała się w powietrzu.

Wieża obserwacyjna, górująca nad Brownhills nie istniała. Pobliski plac zabaw także zniknął z powierzchni ziemi, jakby przeszło po nim tornado. Stojące w ciemnej wodzie olbrzymie skorupiaki walczyły między sobą!!!

- To one! Te pieprzone kraby! Widziałem je w telewizji! - krzyknął Timmy.

Pozostali chłopcy nie odpowiedzieli. Wszyscy stali tutaj na górze i byli pewni, że nic im nie grozi. Kraby nie mogły wspiąć się po stromej ścianie tamy, żeby ich pochwycić. Nagle życie przestało być takie nużące, jak im się wydawało!

Kraby biły się na oślep. Część z nich prowadziła walkę w wodzie, większość jednak stała na łodzi. Całe oddziały ścierały się, zderzały, meły szczypcami powietrze. Panczerze z głuchym łoskotem uderzały jeden o drugi, wielkie cielska zalewała ohydna sub-

209
stacja, wyciekająca po każdym celnym uderzeniu razem z krwią. Wściekle, nieczule, ich jedyną myślą było zabić każdego, kto nawinie się pod szczypcę. Odbijające się od ścian tamy echo wielokrotniało straszne odgłosy.

Wiele krabów było już martwych. Kilka z rozłupanymi skorupami lub bez nich dogorywało na piaszczystym brzegu. W tej ostatniej walce człowiek zupełnie nie brał udziału. To była walka na śmierć. Akt samozniszczenia gatunku. Tylko to wchodziło w grę. Kraby nie zwracały uwagi na leżące dookoła ciała i płynącą krew. Nie były tu po to, by jeść. Miały tu walczyć i umierać. Na brzegu, od strony Norton Canes zgromadził się tłum ludzi ściągniętych odgłosami bitwy z Chasetown i Brownhills. Ziemia usłana cielskami martwych skorupiaków zabarwiła się na czerwono. W rozgrzanym pierwszymi promieniami słońca powietrzu unosił się nieznośny, drażniący smród rozkładającego się mięsa.

Na miejsce samozagłady przyjechały ciężarówki z uzbrojonymi po zęby żołnierzami. Żaden z nich nie ruszył się w stronę krabów. Wszyscy przyglądali się z daleka. Nie padł ani jeden strzał. Helikoptery ze zbiornikami wypełnionymi środkiem chwastobójczym zostały w bazie. Nie było potrzeby ściągać ich tutaj. Kraby - wróg, który zagrażał cywilizacji - za parę godzin przestaną istnieć. To był niezaprzeczalny fakt.

Kiedy słońce chyliło się ku zachodowi, wody Cha-sewater były już spokojne. W powietrzu unosił się tylko nieznośny smród śmierci. Przyleciały mewy.

210
Wielkie stada białych ptaków rzuciły się na przygotowaną dla nich ucztę. Rankiem pojawiły się wrony. Kolejna zmiana padlinożerców. Nikt ich nie przeganiał, nikt nie przeszkadzał. Mogły tu żerować, mogły rozrywać ścierwo, bo tak urządziła to natura.

- No, wydaje mi się, że to już koniec - powiedział Grisedale, rozpierając się w fotelu. Odwiedził właśnie Davenporta w jego domu w West Hampstead i teraz przyglądał się człowiekowi, który przeżył atak kraba. - Wszystkie przesyłane informacje dotyczą tylko martwych krabów. Są wszędzie. Angażujemy nowe siły do uprzążania krabich trupów z Severny i Tamizy. Znalezione kilka krabów bez skorup. Wygląda na to, że rak najpierw pozbawił je broni i tarczy, a potem zabijał. Nie sądzę, żebyśmy mieli czym się teraz przejmować, co, Clifford? Niesamowite, że ten nowotwór tak je skołował, że walczyły same ze sobą.

- Wczoraj mówiłem Pat - Cliff ściszył głos i niespokojnie spojrzał na drzwi - że nie podoba mi się to. W DDrządku, pozbyliśmy się krabów, ale najgorsze jest to, że pod wodą ciągle odbywają się niekontrolowane wybuchy jądrowe. Kraby powstały właśnie w ten sposób! Stworzyło je nadmierne promieniowanie! Kto da głowę, że Rosjanie nie będą wypróbować swoich nowych bomb atomowych i nie stworzą kolejnej armii krabów, albo czegoś jeszcze innego, o wiele bardziej groźnego? Kraby wyszły z oceanów z jakichś powodów, które bardzo chciałbym znać. Czy one wiedziały o promieniowaniu w morzach? Czy dlatego stamtąd uciekały? Czy może w oceanach jest

211
coś o wiele bardziej przerażającego, co było w stanie przegonić nawet olbrzymie kraby?

- O, Boże! Nie mówisz chyba tego poważnie? - skrzywił się Grisedale.

- Tak sobie wymyślam. - Uśmiechnął się z przymusem Davenport. Dopóki nic się nie dzieje, trudno dochodzić do ostatecznych wniosków. Miejmy nadzieję, że wszystko będzie w jak najlepszym porządku. Będę naprawdę bardzo szczęśliwy, kiedy wreszcie dostanę protezę i zdejmą mi te cholerne łubki z nóg. Może znowu będę mógł się do czegoś przydać.

Grisedale i Davenport uśmiechnęli się rozluźnieni, ale gdzieś głęboko w ich podświadomości tkwiło przekonanie, że mają jeszcze dużo pracy przed sobą.

Epilog

Klin, rybak, ani trochę nie postarzał się przez te lata. Ciągle poruszał się ze swobodą dwudziestopięcioletniego biegacza, był wysoki, dobrze zbudowany, opalony na ciemny mahoń. Włosy i broda zachowały głęboki, czarny kolor, a ciemne oczy zawsze świeciły nieprawdopodobną pogodą i chęcią życia.

Na wyspę Haymana przyplłynął tylko po to, żeby rozładować łódź z ostatniego połowu i znowu ruszyć na nieco oddalone wyspy Zatoki Barbecue. Ach, jak tam było pięknie. Kochał te wyspy najbardziej ze wszystkiego. W ogóle najbardziej liczyła się dla niego przyroda, cywilizację odrzucił bardzo dawno.

Niektórzy mówili, że znalazł skrzynię ze skarbem, ukrytą gdzieś na wyspach, a ryby łowił tylko dlatego, że kochał to zajęcie; inni twierdzili, że na pewno ma gdzieś dziewczynę, pochodzącą z miejscowego plemienia, którą ukrył głęboko na jednej z wysp. Wszyscy gadali, ale nikt nic nie wiedział. Klin był dla nich nieodgadnioną tajemnicą. Od zawsze.

Pewnego ranka ktoś zauważył jego łódź zacumowaną przy nabrzeżu portu na wyspie Haymana. Niewielka skorupa kołysała się leniwie na fali. Na pokładzie nie było nikogo. Kiedy nadszedł zmierzch, łodzi już nie było. Oczywiście, to zupełnie prywatna sprawa i nikt się tym nie zajmował. Zawsze ktoś przyplynał na

wyspę i z niej odpływał. Zachowanie Klina było jedną z tajemnic, której nikt nigdy nie rozwiąże.

Klin wrócił na tę maleńką wyspę po pięciu latach. Odbił wtedy przedziwną wycieczkę. Trzy dni objeżdżał Zatokę Barbecue. W tym czasie ani nie łowił ryb, ani nie spał. Zapadał tylko w krótkie drzemki. To było tylko... no, cóż, chciał znowu zobaczyć to miejsce, gdzie razem z Shannon i Davenportem spalili kraby-olbrzymy, pochwycili je w pułapkę ognia, z której nie było ucieczki...

Teraz te sukinsyny wróciły, zaatakowały Brytanię, korzystając z jej dróg wodnych. Ta wielka dziwka dała się zapłodnić i wychowała tak liczne potomstwo. Diabelski pomiot! Teraz są wszędzie. Wróciły z chęcią zemsty. Klin myślał o tej maleńkiej wyspie. Praktycznie nikt o niej nie wiedział, nikt tu nigdy nie był. Wszystko stało się właśnie tutaj. A teraz kraby wróciły upomnieć się o swoje. Jak Feniks odrodziły się z popiołów.

Było południe, kiedy wydostał się na plażę i wypchnął łódkę na brzeg. Oślonił dłonią oczy i spojrzał na niewielkie wzniesienie, gdzie zaczynał się las mang-rowy. Nie było śladu po ogniu i zniszczeniach. Wszystko się odrodziło. To dziwne rośliny, mangrowce. Jakieś pięćset akrów ziemi zupełnie bez celu rzucone w samym środku Wielkiej Rafy Koralowej. Brzegi o-staniały kolonie koralu, które nie ułatwiały niechcianym gościom wizyty. Większa część wyspy była pozbawiona wody i tylko gdzieś tam w gęstwinie dżungli połyskiwały małe tafle wody.

Piętnaście lat temu Klin po raz pierwszy postawił stopę na tej wyspie. Wtedy była to zwyczajna kupa

214
piachu. W ciągu dziesięciu lat pojawiły się tutaj nasiona drzew mangrowych, które potrafią przeżyć nawet rok, niesione przez morze. Znalazły tu podatny grunt i rosły coraz wyższe i piękniejsze.

Klin wzdygnął się, kiedy szedł w kierunku plaży. Wstępując na leżące na brzegu kamienie poczuł o-brzydliwy odór gnijącego mięsa. Śmierć! Ryzykował życie przychodząc tutaj, próbując przepłynąć rafy koralowe, które mogły w każdej chwili pograćzyć w morskiej toni jego łódź. Wiedział jednak, że będzie w stanie ryzykować jeszcze wiele razy, także w drodze powrotnej. Wszystko to było beznadziejne i bezcelowe, bo i tak na końcu nie pozostanie tu nikt żywy. No, ale Klin musiał się upewnić.

Szedł wzdłuż brzegu lasu mangrowego. Kiedy dotarł do wąskiego strumyczka, jego oczom ukazał się utworzony przez wielkie, powyginane gałęzie tunel, który biegł w głąb wyspy. Tym samym przejściem brnęli wtedy, razem z Cliffem i resztą. Teraz nie było nawet śladu, ani jedna poczerniała od ognia gałąź nie rzuciła mu się w oczy. Wszystko dookoła wyglądało tak, jakby piekło, które tamtego roku tu stworzyli, nigdy nie istniało.

Klin wszedł do środka i ruszył wzdłuż tunelu. Z trudem odrywał stopy od lepkiego, błotnistej podłoża, zaczepiał się co chwila o kolczaste krzewy, wpadał w kałuże, czuł, jak glina szczelnie oblepia mu nogi do kolan. Miejscami kałuże rozlewały się w niewielkie, płytkie, ciche stawy. Mulista, cuchnąca woda nie zachęcała do kąpeli. Klin czuł się dziwnie. Dookoła było smętnie i ponuro, jak we wnętrzu zamkniętego, starego kościoła. Wilgotno i nieprzyjaźnie.

215
Szedł wolno. Nie był w stanie określić godziny. Słońce stojące wysoko na niebie stąd było zupełnie niewidoczne. Wrócił myślami do starych wspomnień. Harvey Logan - łowca. Nigdy nie rzucał się na byle jaką zwierzynę. Interesowało go tylko to, co największe. Ubzdurał sobie, że upoluje kraba, da go wypchać, a potem będzie używał jego skorupy do kołysania dzieci. Caroline de Brunner - och, co za gorąca dziewczyna. No i Shannon. Facet z brygady Rekinów. Przeżył to wszystko i teraz prowadził ekskluzywne biuro na wyspie Haymana. Niewielu ludzi przeżyło spotkanie z krabami. A ci, którzy przetrwali, nieraz zrywali się zlanym mokrym potem, ścigani przez senne koszmary. On też tego doświadczył. Miał jednak nadzieję, że po dzisiejszym dniu pozbędzie się wreszcie tego krabiego piętna. Może będzie mógł wreszcie zacząć normalne życie.

Kilka minut trwało, zanim dotarł do sporej polanki otoczonej martwymi stawami. Setki małych, uciążliwych komarów rzuciły się na odkryte miejsca na ciele Klina, jak eskadry spitfire'ów.

Klin zupełnie nie zwrócił na nie uwagi. Rozejrzał się wokoło. Starał się niczego nie przeoczyć w tym królestwie cieni. Drzewa mangrowe, poskręcane w przedziwne kształty, przypominały baśniowe smoki. On, człowiek, wtargnął na ich terytorium. Zdawało mu się, że się poruszają... no, przynajmniej jeden z nich.

Złamana gałąź wpadła z pluskiem do wody. W półmroku, panującym dookoła, pobłyskiwały czerwono potworne oczy. Obrzydliwa, ohydna gęba wysuwała się pomiędzy mangrowych pni i gałęzi. Po

216
chwili cały las jakby przestał istnieć wobec wielkości stworzenia, które kolebiącym krokiem wyszło z zarośli.

W tym momencie rybak uświadomił sobie straszliwą rzecz. To był ten krab, którego Shannon określił jako KRÓLOWĄ KRABÓW. To ta samica wydała na świat setki jaj, z których wykluły się oddziały zabójców. Gdyby zdechła, inna zajęłaby jej miejsce. Królowa była tutaj, tylko kilka jardów dzieliło ją od sparaliżowanego Klina. To nieistotne, czy miał przed sobą młodą królową czy starą, która przeżyła poprzednią zagładę.

KLIK-KLIK-KLIK.

Szczytce podniosły się jak dźwig. Klekot odbił się echem po zagubionej w ciszy wyspie. Potwór znowu się poruszył. Tym razem po to, żeby wejść do wody. Wielka fala, wywołana olbrzymim cielskiem, które zsunęło się o ciężale do cuchnącego stawu, bryzgnęła na Klina. Ta cholerna dziwka szła po niego! Najgorsze, że nic, do cholery, nie mógł zrobić!

Przez mózg, jak błyskawica, przeleciały setki myśli. Czegoś przez ułamek sekundy żałował, by zaraz się wzruszyć tym czy innym wspomnieniem. Powinien był wziąć strzelbę! Ech, co za bzdury! Równie dobrze mógł zabrać kuszę albo katapultę do wyrzucania kamieni - pomyślał. Najbardziej żałował tych dwudziestu tysięcy funtów, które znalazł, a potem znowu zakopał. Nikomu już się teraz nie przydadzą.

Strugi potu ciekły mu po czole i zalewały oczy. Nie, to nie strach! To ten upał! Klin nie bał się. Przecież po to tu przyjechał. Wiedział, że musi zabić tego szatana, który nawiedzał cały czas jego sny.

217
Krab zbliżał się. Był już na tyle blisko, że mógł spokojnie sięgnąć i zdusić wąż, ludzkie życie. Ale widocznie nie śpieszyło mu się. Na paskudnej, pomarszczonej gębie malowało się coś więcej, niż tylko nienawiść i żądza krwi. To była... ciekawość. Ciekawiła go ta ludzka istota. Stał w pewnej odległości bez ruchu, jakby się... bał?

- No, chodź, ty wielka, pieprzona dziwko! - wrzasnął Klin. - Na co, do nędzy, wyekasz? No, chodź i weź mnie!!!

Echo odbiło się od czarnej ściany mangrowego lasu i powtórzyło ostatnie wywrzeszczane słowa bezbarwnie i płasko: Chodź i weź mnie... weź mnie... mnie... mnie.

Czas płynął. Strumienie potu, płynące po całym ciele, zaznaczały minuty, przerażone serce wybijało sekundy. Robiło się coraz ciemniej i Klin słabo widział ciągle nieruchomego wroga. Wiedział, że jeszcze tam jest, bo widział czarną plamę. Ciemniejszą, niż otaczający ich las.